

Ciborowski:
Uniwersytet z dala od centrum

Kieraciński:
Subwencje 2020

Węgrzyn:
Dokonania i problemy RDN

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 6/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

Uniwersytet lokalny Str. 20-37



Niedźwiecka-Filipiak, Lewandowska, Karwowski:
Badacze regionalnej tożsamości

Izdebska:
Sztuka w przestrzeni publicznej

30 FORUM AKADEMICKIE LAT

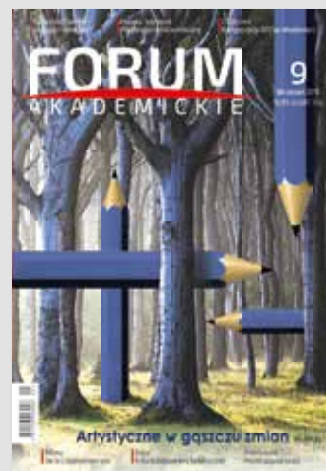
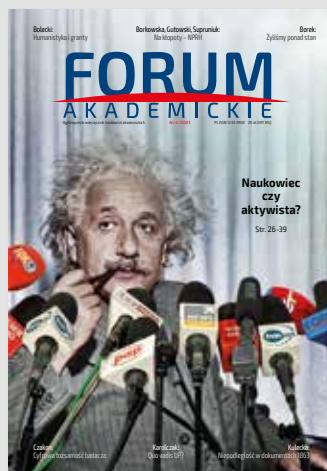
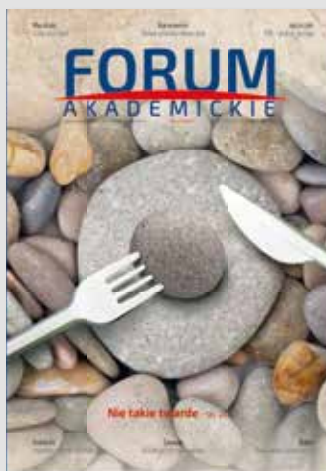
„Forum Akademickie” towarzyszy polskiej nauce i szkolnictwu wyższemu od roku 1991 (początkowo jako „Przegląd Akademicki”). Przez cały ten okres informuje o najważniejszych wydarzeniach z obszaru nauki i szkolnictwa wyższego, rozwiązaniach instytucjonalnych i prawnych, reformach systemowych i codziennych problemach badaczy. Tysiące uczonych i pracowników sektora nauki i uczelni przedstawiało na łamach FA swoje opinie i pomysły. Głos zabierali

ministrowie i rektorzy, profesorowie i studenci, a także przedstawiciele otoczenia społecznego i gospodarczego uczelni i instytutów naukowych.

Miesięcznik informuje o wydarzeniach ze środowiska akademickiego znacznie pełniej niż gazety codzienne i portale poświęcone nauce. Pod prąd medialnych tendencji do upraszczania pokazujemy skomplikowany świat badaczy, ich motywacji, dążeń, marzeń. Objawiamy konteksty kulturowe, społeczne, historyczne, które kształtują polską naukę i edukację wyższą.

Częściej widzimy życie akademickie od lepszej strony, bo warto prezentować nowe inicjatywy i udane przedsięwzięcia. Nie stronimy też od krytyki działań osób i instytucji.

Pismo interesuje się wszystkimi dyscyplinami nauki. Dzięki temu daje Czytelnikowi, który jest najczęściej specjalistą w określonej dziedzinie, wgląd w inne obszary, obraz całości.



Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2022 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 230 zł;

prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę,

w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok

i 86 zł za pół roku.

Redakcja



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Subwencje 2022 – Piotr Kieraciński	6
Czas odsłania wady przepisów – Grzegorz Węgrzyn	8
Po co firmie doktorat wdrożeniowy?	10
Akademie z planem odbudowy ukraińskiej nauki	11
Powstanie Uniwersytet Trójmorza?	12
Nowa Rada od humanistyki	13
UwB: 25 lat samodzielności – Katarzyna Dziedzic, Piotr Kieraciński	14
UwB: Insignia rektorskie	15
20 lat wrocławskiej Almae Matris	16
Absolwenci w regionie – Robert Musiałkiewicz	17
Gdańszczanie z hat trickiem – Mariusz Karwowski	18
Ponad pół tysiąca reprezentantów	19
Nowi profesorowie	60

ROZMOWA FORUM

Poza centrum – rozmowa z prof. Robertem Ciborowskim, rektorem UwB	20
--	----

UNIwersytet lokalny

Uniwersytet w małym mieście? – Janusz S. Gruchała	24
Lokalność uniwersytecka – Zbigniew Chojnowski	27
Spółczesność chłopstwa i jego uniwersytety – Izabella Bukraba-Rylska	30
Konteksty relacji uniwersytetów z otoczeniem społecznym – Krzysztof Szewior	34

Lokalne dziedzictwo kulturowe w badaniach

Dziedzictwo kulturowe w krajobrazie wiejskim – Irena Niedźwiecka-Filipiak	38
Dziedzictwo kulturowe... wciąż odkrywane – Izabela Lewandowska	42

Życie naukowe

Z archiwum nieuczciwości naukowej (190)

Unieważniona habilitacja z botaniki – Marek Wroński	48
--	----

Życie akademickie

Ukraińska misja UMCS – materiał sponsorowany	52
Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	54
Poważny uczyony – Zbigniew Drozdowicz	55

Publikuj lub giń

Na cienkim lodzie – Marek Misiak	58
---	----

Z LABORATORIÓW

Odnajdują ducha małych ojczyzn – Mariusz Karwowski	61
Sztuka publiczna – Karolina Izdebska	65

W STRONĘ HISTORII

Kartki z dziejów nauki w Polsce (249)

Encyklopedie i słowniki – Piotr Hübner	69
---	----

Portrety nauki polskiej

Wirtuoz chirurgii – Marcelina Smużewska	73
--	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Mistrzostwo w sztuce bycia człowiekiem – Mariusz Karwowski	77
Letni dom na wyspie – Marek Misiak	77
Z wyciszonych głosów uczynić orkiestrę – Aneta Zawadzka	78
Akademicka walka ze smokami – Justyna Jakubczyk	78
Archeologia opowiedziana ciekawie – Juliusz Gałkowski	79
„Osobne” warianty lubuskości – Zbigniew Chojnowski	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Relatywizm w działaniu – Piotr Müldner-Nieckowski	76
--	----

Na marginesach nauki

Europa Środkowo-Wschodnia – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

Nowy rektor UW

WROCŁAW Prof. Robert Olkiewicz wygrał 6 czerwca przedterminowe wybory rektora Uniwersytetu Wrocławskiego. Do wyłonienia zwycięzcy potrzebne były trzy tury. W dwóch wcześniejszych żadnemu z pięciorga kandydatów nie udało się uzyskać poparcia minimum 101 elektorów. W decydującej rundzie prof. Olkiewicz (112 głosów) pokonał dr hab. Patrycję Matusz (31) i prof. Roberta Wieczorka (27). Co ciekawe, był jednym z dwóch pretendentów, którzy nie otrzymali poparcia Rady Uczelni. Jest fizykiem specjalizującym się w metodach matematycznych fizyki, podstawach matematycznych modeli statystycznych oraz układach kwantowych otwartych. Wcześniej (2008–2012)



Fig. UW

był dziekanem Wydziału Fizyki i Astronomii, następnie sprawował funkcję prorektora UW ds. ogólnych (2012–2016) i dyrektora ds. informatyzacji (2016–2020). Obecnie jest dyrektorem Instytutu Fizyki Teoretycznej. Prof. Olkiewicz zastąpi w fotelu rektora prof. Przemysława Wiszewskiego, którego mandat wygasł wskutek podjęcia przez niego prac zarobkowych bez zgody Rady Uczelni, co potwierdził w marcu minister edukacji i nauki. Na stanowisku rektora UW prof. Olkiewicz dokończy kadencję 2020–2024.

Podwawelskie Dioscure

WARSZAWA Trzy nowe Centra Dioscure powstaną w Krakowie. Na Wydziale Matematyki i Informatyki UJ dr Mikołaj Frączyk (Uniwersytet Chicagowski) będzie rozwijał metody probabilistyczne i dynamiczne w celu rozwiązania otwartych problemów dotyczących przestżeń lokalnie symetrycznych, krat arytmetycznych, grup klas odwzo-



Fig. NCN

rowań i grup przekształceń interwałowych. Dr Przemysław Nogły (ETH Zurich) wykorzysta nowe metody eksperymentalne do badania molekularnych mechanizmów działania białek na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ. Dr Mateusz Sikora (Instytut Biofizyki im. Maxa Plancka we Frankfurcie) zajmie się modelowaniem modyfikacji potranslacyjnych w Małopolskim Centrum Biotechnologii UJ. Dioscure to inicjatywa Towarzystwa Maxa Plancka realizowana wspólnie z Narodowym Centrum Nauki i finansowana przez Ministerstwo Edukacji i Nauki oraz niemieckie Federalne Ministerstwo Edukacji i Badań. W Polsce działa już pięć takich centrów. Każde otrzymuje do 1,5 mln euro na okres 5 lat, z możliwością przedłużenia o kolejnych pięć.

Uphageny dla badaczy UG

GDAŃSK Po raz drugi z rzędu Nagroda im. Jana Uphagena, najważniejsza na Pomorzu wyróżnienie dla młodych badaczy, trafiła w obu kategoriach do przedstawicieli Uniwersytetu Gdańskiego. W dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych wyróżniono mgr Natalię Lubińską z Wydziału Historycznego, której obszarem badań są zagadnienia związane z kulturą i historią Dalekiego Wschodu, a wśród zainteresowań naukowych m.in. obrazy chińskiej kultury i społeczeństwa w świadomości Polaków na przestrzeni wieków i rozwój sinologii w Polsce. W kategorii nauk przyrodniczych i ścisłych uhonorowano dr. Igora Rafała Obuchowskiego, który



Fig. Alan Stocki

zajmuje się mechanizmami molekularnymi zapewniającymi komórce ochronę przed skutkami takich czynników, jak wystawienie na skrajne temperatury czy nieprzyjazne chemicznie środowisko. Jego domeną są białka opiekuńcze odpowiedzialne za ochronę i „naprawianie” wszystkich białek komórki, które mogą ulegać uszkodzeniom w nieprzyjaznych warunkach.

Po raz trzeci

WARSZAWA Prof. Paweł Rowiński, wiceprezes PAN, został po raz trzeci wybrany na członka zarządu Europejskiej Federacji Akademii Nauk (ALLEA). Kadencja 8-osobowego zarządu potrwa do 2024 roku. Prof. Rowiński jest hydrologiem i hydrodynamiczkiem związanym z Instytutem Geofizyki PAN. Od 2006 r. kieruje Międzynarodową Szkołą Hydrauliki pod auspicjami International Association of Hydraulic Research IAHR oraz Komitetu Gospodarki Wodnej PAN. Jest także zastępcą przewodniczącego rady europejskiej sieci akademii SAPEA (Science Advice for Policy by European Academies). ALLEA zrzesza 61 akademii nauk z 40 europejskich krajów. Powstała w 1994 roku, a PAN jest jej członkiem założycielem. W 2000 roku do organizacji dołączyła również Polska Akademia Umiejętności z Krakowa. Na czele ALLEA stoi obecnie prof. Antonio Loprieno ze Szwajcarii.



Fig. PAN

Japoński order dla byłego rektora UJ

KRAKÓW Prof. Wojciech Nowak otrzymał Order Wschodzącego Słońca – Złote Promienie ze Wstęgą. To odznaczenie nadawane osobom cywilnym za specjalne zasługi dla Japonii. Jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego aktywnie angażował się w rozwój współpracy naukowej z uczelniami japońskimi. Podczas jego kadencji (2012–2020) podpisane zostały umowy z 16 uniwersytetami z Kraju Kwitnącej Wiśni. Szczególnie owocna jest współpraca z Kobe University, w wyniku której na Wydziale Prawa i Administracji UJ utworzono Szkołę Prawa i Kultury Japońskiej. Order Wschodzącego Słońca to trzecie w hierarchii ważności odznaczenie – po Orderze Chryzantemy i Orderze Kwiatów Paulowni, a przed Orderem Świętego Skarbu – przyznawane w Japonii. Został ustanowiony w 1875 roku przez cesarza Mutsuhito.



Fig. UJ

Rekrutacja dla Ukraińców

WARSZAWA Uniwersytet Warszawski we współpracy z Międzyuniwersyteckim Centrum Informatyzacji przygotował ogólnopolską platformę Internetowej Rekrutacji Kandydatów z Ukrainy. Z inicjatywą jej uruchomienia wyszła Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Pol-

skich, chcąc ułatwić kandydatom na studia, studentom, doktorantom i pracownikom uczelni oraz jednostek naukowych z Ukrainy zapoznanie się z ofertą kształcenia lub możliwościami podjęcia pracy zarobkowej w polskich uczelniach, a także instytutach naukowych. W serwisie ukraina.irk.edu.pl udostępniono ofertę studiów zarówno w trybie rekrutacji na pełny cykl kształcenia, jak i kontynuacji wcześniej rozpoczętej nauki. Zawarto też propozycje udziału w wybranych zajęciach dydaktycznych, podjęcia kształcenia w szkołach doktorskich czy współpracy (staże, stypendia naukowe) i pracy w polskich podmiotach systemu szkolnictwa wyższego i nauki (uczelniach, instytutach PAN, instytutach badawczych).

Młodzi nobliści

WARSZAWA Dziewięcioro studentów reprezentujących różne obszary nauki i sztuki zdobyło statuetki Studenckiego Nobla: Paweł Gut z Akademii Górniczo-Hutniczej (nauki techniczne), Natalia Komorowska z ASP



Fot. NZS

we Wrocławiu (sztuka), Karolina Król z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Aleksandra Bandzerewicz z Politechniki Warszawskiej (nauki przyrodnicze i energetyka), Karol Łukanowski z Uniwersytetu Warszawskiego (fizyka i astronomia), Alicja Forma z Uniwersytetu Medycznego w Lublinie (medycyna i farmacja), Paweł Bącal z UW (nauki społeczne), Marcei Hązła z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu (nauki ekonomiczne), Agata Szewczykowska z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu (działalność społeczna). Każdy z laureatów otrzymał 5 tys. zł. Konkurs organizowany jest od 2009 r. przez NZS. W tym roku odbył się pod hasłem „Moc do bycia najlepszym”. Laureaci zostali wyłonieni spośród 614 kandydatów.

Obronią i zabezpieczą

KIELCE Centrum Naukowo-Wdrożeniowe Technologii Obronnych i Systemów Bezpieczeństwa powstanie na Politechnice Świętokrzyskiej. Będą tam projektowane systemy sterowania oraz naprowadzania pocisków rakietowych, a także nowoczesne drony. W skład Centrum wejdą: Ośrodek Nowoczesnych Technologii Obronnych, Ośrodek Systemów Bezpieczeństwa oraz Ośrodek Kompetencyjny Zarządzania Produkcją Uzbrojenia. We współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową naukowcy opracują m.in. zdalnie sterowany i autonomiczny system artyleryjsko-rakietowy do zwalczania nisko lecących celów powietrznych, optoelektroniczną głowicę skanującą-sledzącą dla samonaprowadzających pocisków rakietowych krótkiego zasięgu czy autonomiczny pojazd lądowy specjalnego przeznaczenia współpracujący z bezałogowym obiektem latającym. Do zadań jednostki będzie też należało monitorowanie zagrożeń i ochrona cyberprzestrzeni.

Ogrodowa siedziba

POZNAŃ Na przypadające w 2025 roku stulecie powstania Ogród Dendrologiczny Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu będzie miał wreszcie swoją siedzibę. W budynku znajdują się: wielofunkcyjna sala edukacyjna, pomieszczenia biurowe, a także ekspozycja zbiorów. Głównym założeniem było jak najlepsze wkomponowanie obiektu w otoczenie. Lekka, nowoczesna konstrukcja ma promować rozwiązania ekologiczne w budownictwie i drewno jako surowiec odnawialny. Centrum powstanie ze środków własnych Wydziału Leśnego i Technologii Drewna UPP. Ogród Dendrologiczny kolekcjonuje drzewa i krzewy dla celów dydak-



Fot. UPP

tycznych i naukowych, ze szczególnym uwzględnieniem gatunków dendroflory polskiej. Pierwsza kolekcja powstała w 1922 roku, ale oficjalne otwarcie Ogródu miało miejsce trzy lata później.

Nowy prezes amerykanistów

KATOWICE Dr hab. Paweł Jędrzejko z Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Śląskiego został powołany na stanowisko prezesa International American Studies Association. To jedyna na świecie niezależna, pozarządowa organizacja skupiająca amerykanistów z ponad 50 krajów. Jej celem jest wspieranie międzynarodowej wymiany idei i informacji między uczonymi, którzy badają i przekazują wiedzę o Amerykach. Nowy prezes pracuje w Instytucie Literaturoznawstwa UŚ. W latach 2013–2020 kierował Zakładem Studiów Amerykańskich i Kanadyjskich w Instytucie Kultury i Literatury Anglojęzycznych. Jego zainteresowania badawcze obejmują teorię i historię literatury i kultury, teorię przekładu oraz filozofię. Jest twórcą pierwszych pełnowymiarowych polskojęzycznych opracowań dotyczących Hermana Melville'a.



Fot. UŚ

Ruszył kwantowy Klaster Q

WARSZAWA W Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego zainaugurowano działalność Klastra Technologii Kwantowych. Skupia on 19 podmiotów, w tym pięć uniwersytetów: im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Warszawski, Gdański, Jagielloński, Mikołaja Kopernika w Toruniu, Politechnikę Wrocławską oraz Instytut Fizyki PAN i Centrum Fizyki Teoretycznej PAN. Będą wspólnie pracować nad zastosowaniem technologii kwantowych m.in. w medycynie, metrologii, robotyce, telekomunikacji i cyberbezpieczeństwie, bankowości, a także symulacjach układów złożonych. Nowa inicjatywa ma być swoistym parasolem nad działaniami prowadzonymi przez różne ośrodki. Naukowcy liczą na wsparcie władz publicznych i ustanowienie długofalowego programu rozwoju badań kwantowych, podobnego do tych, które funkcjonują w innych krajach.

Biblioteczne 100 lat

KRAKÓW Biblioteka Główna Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie obchodzi jubileusz 100-lecia. Posiada zbiory liczące ponad 440 tys. książek, 148 tys. wol. czasopism drukowanych i ponad 340 tys. jednostek



Fot. AGH

obliczeniowych zbiorów specjalnych. Zapewnia dostęp do ponad 730 tys. zasobów elektronicznych (m.in. artykułów, rozdziałów książek, referatów w materiałach konferencyjnych), w tym 98 specjalistycznych i wiedziedzinowych baz danych. Prowadzi Punkt Informacji Normalizacyjnej oferujący pełny dostęp do ponad 100 tys. norm polskich i zagranicznych oraz Regionalny Ośrodek Informacji Patentowej PATLIB, który udostępnia wszystkie polskie opisy patentowe. Na 6100 m² mieści się także dwupoziomowa Czytelnia Główna (97 miejsc), Czytelnia Norm, Patentów i Zbiorów Kartograficznych (42), Czytelnia Książek Własnych, a także Strefa Wolnego Dostępu, gdzie zgromadzono około 60 tys. podręczników z możliwością samodzielnych wypożyczeń.

Wyszkoła w ratownictwie

SZCZECIN Polski Ośrodek Szkoleniowy Ratownictwa Morskiego zostanie utworzony w Akademii Morskiej w Szczecinie. Będzie kształcił wysoko wykwalifikowane kadry na potrzeby gospodarki morskiej, żeglugi międzynarodowej i śródlądowej, transportu, ratownictwa, geodezji morskiej i lądowej. Uczelnia zabiegała o budowę ośrodka od 10 lat. Jego uruchomienie będzie kosztować ponad 73 mln zł. Ma to być najnowocześniejsza jednostka szkoleniowa przeznaczona do podnoszenia kompetencji osób dorosłych pracujących w branżach i jednostkach ściśle związanych ze służbami publicznymi, takimi jak: Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa SAR, Straż Pożarna, Policja, Wojsko Polskie itd. Umożliwi również realizację ćwiczeń w ramach międzynarodowych grup reagowania kryzysowego w zakresie wypadków morskich. Dzięki specjalistycznemu wyposażeniu pozwoli na szkolenie w warunkach maksymalnie zbliżonych do sztormowych, m.in. z użyciem i wodowaniem symulatora helikoptera. Znajdą się tu także centra symulacji medycznej oraz walki z ogniem i wodą.

Doktorat h.c. – prof. Andrzej Seweryn

LUBLIN Prof. Andrzej Seweryn, dziekan Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Okrętownictwa Politechniki Gdańskiej, specjalista w zakresie inżynierii mechanicznej, dołączył do grona 19 doktorów honoris causa Politechniki Lubelskiej. Od wielu lat współpracuje z naukowcami lubelskiej uczelni, a zwłaszcza Wydziału Mechanicznego. Zajmuje się mechaniką materiałów i konstrukcji, metodami komputerowymi mechaniki, zmęczeniem materiałów i konstrukcji, mechaniką uszkodzeń i pękania, wytrzymałością elementów konstrukcyjnych oraz metodami eksperymentalnymi mechaniki. Jest autorem około 350 publikacji naukowych i 7 monografii. Jego prace były cytowane 1096 razy (wg Web of Science), a indeks Hirscha wynosi 15. Zasiada w Komitecie Mechaniki PAN.



Fot. Michał Pytlak

Doktorat h.c. – prof. Marek Rudnicki

KATOWICE Mentor setek studentów medycyny i lekarzy specjalizujących się w chirurgii w Polsce i Stanach Zjednoczonych otrzymał tytuł doktora honoris causa Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. Prof. Marek Rudnicki



Fot. Michał Pytlak

należy do grona wybitnych chirurgów przewodu pokarmowego. W jego naukowej domenie znajdują się m.in. problemy związane z konsekwencjami zabiegów operacyjnych, endokrynne interakcje przewodu pokarmowego oraz minimalnie inwazyjna chirurgia. Jest autorem pierwszego w Polsce podręcznika jej poświęconego. Od 35 lat pracuje na amerykańskich uczelniach, ostatnio w University of Illinois w Chicago. Należy do Amerykańskiego Towarzystwa Chirurgów. Od dwóch dekad prowadzi założony przez siebie Polsko-Amerykański „Program Walki z Rakiem Piersi – Amber Coalition”. W latach 2009–2016 kierował Światową Federacją Polonijnych Organizacji Medycznych.

ALK na rzecz naukowców-uchodźców

WARSZAWA Akademia Leona Koźmińskiego jako jedyna uczelnia z Europy Środkowej weszła w skład międzynarodowego konsorcjum na rzecz naukowców-uchodźców. Znalazło się w nim blisko 50 instytucji edukacyjnych z całego świata. Powstanie sieci szkół wyższych, które udzielają schronienia i dają możliwość dalszej pracy naukowcom zmuszonym do emigracji ze swoich krajów i macierzystych instytucji, zainicjowała nowojorska The New School. Do konsorcjum przystąpiły m.in. uniwersytety Carnegie Mellon, McGill, Northwestern, Columbia, Yale. Program dla naukowców-uchodźców obejmuje wolny dostęp do zasobów bibliotecznych i webinarów, możliwość kontynuacji własnych badań oraz udział w stacjonarnych seminariach w The New School dla wszystkich stypendystów o statusie uchodźcy, którzy znaleźli schronienie w uczelniach goszczących.

Platforma dla śledczych

WARSZAWA Mobilną Platformę Kryminalistyczną do szybkiego zbierania i analizowania danych z miejsca ataku terrorystycznego lub katastrofy stworzyli inżynierowie z Politechniki Warszawskiej. To labo-



Fot. PW

ratorium zainstalowane w rozkładanym kontenerze. Składa się z sześciu modułów, które umożliwiają dokumentowanie miejsca zdarzenia, wykonanie badań biologicznych i daktyloskopijnych, analizy zabezpieczonych telefonów komórkowych i nagrań z monitoringu oraz rekonstrukcję zdarzeń na podstawie danych balistycznych. Platforma może być zasilana bezpośrednio z sieci energetycznej, ale ma również autonomiczny system zasilania z wbudowanym agregatem prądowórczym oraz układ podtrzymania napięcia. Działa w różnych warunkach terenowych i atmosferycznych. Może stanowić wsparcie dla policjantów i strażników granicznych.

Uczelnie z miast post-industrialnych

ŁÓDŹ Uniwersytet Łódzki dołączył do międzynarodowej sieci UNIC. Został tym samym szesnastą polską uczelnią o statusie Uniwersytetu Europejskiego. UNIC (European University of Post-Industrial Cities) to jedno z 24 konsorcjów wyłonionych w ostatnim konkursie Komisji Europejskiej. Sojusz skupiał dotąd osiem uczelni partnerskich, którym przewodził holenderski Erasmus Universiteit Rotterdam. Ponadto sieć tworzyły: Universidad de Deusto (Hiszpania), Ruhr-Universität Bochum (Niemcy), University College Cork (Irlandia), Koç Üniversitesi (Turcja), Université de Liège (Belgia), Oulun yliopisto (Finlandia), Sveučilište u Zagrebu (Chorwacja). Oprócz UŁ dołączył także Malmö universitet (Szwecja). W sumie

w dwóch dotychczasowych konkursach Komisja Europejska wyłoniła 41 konsorcjów, które na zwiększenie mobilności studentów, kadry akademickiej i środowiska naukowego, a także wspieranie jakości, integracji i konkurencyjności europejskiego szkolnictwa wyższego, otrzymały łącznie 287 mln euro.

Zbadają procesy poznawcze

KRAKÓW Laboratorium Badań Neuropsychologicznych i Psychofizjologicznych otwarto na Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji Narodowej. Będą w nim prowadzone badania z zakresu psycho-



Fot. Marcin Kania

logii dotyczące procesów poznawczych i emocjonalnych u dzieci, młodzieży i osób dorosłych. Posłużą do tego m.in. komputery o dużej mocy obliczeniowej, przeznaczone do prowadzenia zaawansowanych analiz statystycznych oraz przetwarzania surowych danych rejestrowanych w trakcie badań; stanowiska eyetrackingu, pomiarów psychofizjologicznych i stabilometrycznych oraz VR, system EEG i stanowisko do biofeedbacku i neurorehabilitacji. Zasoby pracowni posłużą również do celów dydaktycznych, zapewniając bazę sprzętową między innymi do specjalistycznych zajęć laboratoryjnych czy badań realizowanych przez studentów starszych lat w ramach seminariów magisterskich pod opieką promotora.

Już prawie stu

WROCŁAW Prof. Rafał Weron z Politechniki Wrocławskiej został przyjęty do Academia Europaea zrzeszającej naukowców z różnych dziedzin.



Fot. PWR

Wśród jej członków jest już 99 Polaków. Prof. Weron jest piątym naukowcem z PWR, który znalazł się w tym gronie. Jest specjalistą od zarządzania ryzykiem, symulacji komputerowych, prognozowania na rynku elektroenergetycznym oraz stosowania narzędzi statystyki obliczeniowej do zagadnień finansowych i ubezpieczeniowych. Obecnie pełni funkcję pełnomocnika rektora ds. ewaluacji jakości działalności naukowej.

Kieruje Katedrą Badań Operacyjnych i Inteligencji Biznesowej. Jest również członkiem Komitetu Statystyki i Ekonometrii PAN. W 2018 r. zdobył nagrodę główną PTM im. Hugona Steinhausa za osiągnięcia w dziedzinie zastosowań matematyki. Academia Europaea zrzesza blisko 5 tys. specjalistów z medycyny, chemii, fizyki, matematyki, ekonomii, nauk humanistycznych i społecznych.

Udany powrót Wiosny

LUBLIN Twórcy spektaklu *Przesilenia* z Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów w Łodzi zdobyli Grand Prix Studenckiej Wiosny Teatralnej, która po blisko pół wieku powróciła do lubelskiej Chatki Żaka. To ogólnopolski festiwal teatrów studenckich, który odbywał się w Lublinie w latach 1966–1974. Został wznowiony pod hasłem „BUDOWAĆ MOSTY”. Wystąpiło 8 grup teatralnych: Teatr Politechniki Warszawskiej, BARTER z Chatki Żaka, Teatr ITP, Teatr Chwila, Akademia Muzyczna



Fot. Jan Lezak

im. Grażyny i Kiejstuty Bacewiczów w Łodzi, Teatr Imperialny z Chatki Żaka, Martyna Strychalska (Stowarzyszenie Młodych Animatorów Kultury) i Teatr Inaczej. Nagroda Publiczności trafiła do Teatru Imperialnego. Ponadto nagrodzono: Malwinę Giedyk, Aleksandrę Najdę, Martynę Sabak i Jana Filipa, Jagodę Stanicką i twórców spektaklu *Więcej grzechów nie pamiętam*.

Nowy rektor Akademii Ignatianum

KRAKÓW Dotychczasowy dziekan Wydziału Filozoficznego Akademii Ignatianum, dr hab. Tomasz Homa SJ, będzie od 1 września nowym rektorem uczelni. Zastąpi ks. prof. dr. hab. Józefa Bremera SJ, który sprawował tę funkcję od 2015 roku. Z krakowską uczelnią związany jest od 1994 r. W latach 2010–2014 był dyrektorem Instytutu Kulturoznawstwa AIK. Później objął stanowisko dziekana Wydziału Filozoficznego. W swoich badaniach zajmuje się problematyką dotyczącą filozofii społecznej i politycznej, egzystencjalnej oraz etyki i kultury. Akademia Ignatianum w Krakowie jest uczelnią katolicką z prawami państwowymi prowadzoną przez Prowincję Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego. To jedna z blisko dwustu uczelni jezuickich na świecie. Oprócz Wydziału Filozoficznego funkcjonuje także Wydział Pedagogiczny.



Fot. AIK

Nie ma mocnych na UJ

WARSZAWA Absolwenci Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskali – po raz 14 z rzędu – najlepsze wyniki podczas egzaminów na aplikacje. Dobrze poszło też absolwentom Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Łódzkiego. Do egzaminów przystąpiły 6373 osoby, tj. o 255 więcej niż w najgorszym pod tym względem od lat roku 2020. Zdało 3800. Na aplikacji komorniczej zdawalność wyniosła 64,2%, na notarialnej 60,7%, na adwokackiej 59,8%, a na radcowskiej 59%. Do egzaminów przystąpiło 4060 kobiet, z których pozytywny wynik uzyskało 2315.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Ewa Barlik, Andrzej Charytoniuk, Monika Chrobak, Iwona Cieślak, Iwona Czajkowska-Deneka, Kamil Dziewit, Anna Korzekwa-Józefowicz, Elżbieta Michalak-Witkowska, Krzysztof Szymański, Jacek Szymik-Kozaczko, Paweł Spiechowicz, Katarzyna Uzcwikiewicz

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



Wielkość uczelni można mierzyć na różne sposoby: liczbą studentów, kadry czy wysokością budżetu. W naszym kraju jednym z najważniejszych składników budżetów uczelni jest subwencja państwowa na utrzymanie potencjału naukowego i dydaktycznego. Jest ona określana przez poszczególnych ministrów, którym podlegają szkoły wyższe. Najwięcej uczelni podlega ministrowi edukacji i nauki. On też odpowiada za subwencje dla placówek PAN i instytutów badawczych.

W tym roku subwencje MEiN dla instytucji naukowych po raz trzeci z rzędu nie były liczone według algorytmu, ale będą podlegały rewarytoryzacji o 2% w stosunku do ubiegłorocznych. Jednym uczelniom ta wiadomość przyniosła ulgę, gdyż na podstawie algorytmu spodziewały się zmniejszenia subwencji, a inne zmartwiła, gdyż algorytm wyraźnie pokazywał jej wzrost.

Od lat największymi beneficjentami subwencji państwowej są uniwersytety Jagielloński i Warszawski, które otrzymają w tym roku – wraz ze zwiększeniami, o których MEiN poinformowało w tym samym komunikacie, w którym przedstawiło wysokość subwencji dla uczelni podległych ministerstwu – odpowiednio 912 mln zł (gdy dodamy do tego premię za udział w grupie laureatów konkursu IDUB będzie to prawie miliard złotych!) i 841,2 mln zł. UW jest jedyną uczelnią, która otrzyma w tym roku ponad 900 mln zł. Kolejne miejsca pod względem wysokości subwencji zajmują: Politechnika Warszawska (607,3 mln zł) i Akademia Górniczo-Hutnicza (607,1 mln zł). Na miejscu piątym jest Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z subwencją w wysokości 574 mln zł. Kolejne miejsce zajmuje Politechnika Wrocławska z kwotą 532,7 mln zł (nawet 9-milionowy dodatek za udział w IDUB nie pozwoli na dogonienie poprzednika). To ostatnia uczelnia z subwencją wyższą niż pół miliarda zł. Znajdujący się na 7. pozycji Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu otrzyma 431,6 mln zł (to 100 mln zł mniej niż PWR), a kolejny Uniwersytet Łódzki – 413,7 mln zł. Miejsca 9. i 10. zajmują Politechnika Śląska w Gliwicach – 404,8 mln zł i Uniwersytet Wrocławski – 399,6 mln zł. Wszystkie uczelnie z pierwszej dziesiątki uczestniczyły w konkursie IDUB, a aż 8 jest jego laureatami, zatem otrzyma dodatkowe środki z podziału obligacji o wartości 496,73 mln zł (zostały już wyemitowane). UŁ i PWR też uczestniczyły w tym konkursie, za co otrzymają „tylko” dodatkowe 2% subwencji, czyli odpowiednio 6,9 mln zł i 9 mln zł.

Oprócz pierwszej dziesiątki, subwencje wyższe od 300 mln zł otrzyma jeszcze 5 publicznych uczelni akademickich: Uniwersytet Śląski (369,2 mln zł), Uniwersytet Warmińsko-Mazurski (352,3 mln zł), Politechnika Łódzka (334 mln zł), Politechnika Gdańska (327,3 mln zł) i Uniwersytet Gdański (325,6 mln zł).

Między 200 a 300 mln zł dostanie 6 uczelni. Są to uniwersytety: Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie (298,5) i Rzeszowski (207,4), politechniki: Poznańska (283,5) i Krakowska (237,2), Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego (281,3) oraz Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny (201,8).

Subwencję w wysokości między 100 a 200 mln zł otrzymają 22 publiczne uczelnie akademickie, a poniżej 100 mln zł – 16 z nich. Najniższą subwencję – 8,8 mln zł – ma Chrześcijańska Akademia Teologiczna w Warszawie. To ponad sto razy mniej od UW. W dole listy znajdują się też AWF-y z subwencjami między 32,3 a niemal 70 mln zł. Łączna wartość subwencji dla 59 publicznych uczelni akademickich nadzorowanych przez MEiN wyniesie prawie 13 mld zł, z czego 5,1 mld zł (39,5%) trafi do dziesięciu laureatów konkursu IDUB (do tej kwoty należy dodać dodatki za zwycięstwo w konkursie IDUB; dziesiątym laureatem jest Gdański Uniwersytet Medyczny,

ale za jego subwencje odpowiada minister zdrowia). Dziesięć najhojniej finansowanych przez MEiN uczelni otrzyma 5,724 mld zł, czyli 44,3% całej subwencji (z dodatkami za IDUB, które uczelnie otrzymają w formie obligacji).

Uczelnie, które uczestniczyły w konkursie IDUB, ale minister nie podpisał z nimi umowy, otrzymają dodatkowo zwiększenie subwencji o 2%. Łączną wysokość tych dodatków minister edukacji i nauki określił w komunikacie z 22 maja na 49 mln 116,3 tys. zł. Najwyższy otrzyma wspomniana Politechnika Wrocławska (UŁ z 6,9 mln jest na drugiej pozycji), a najniższe – Uniwersytet Medyczny w Białymostku (2,365 mln zł) i Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie (2,493 mln zł). Pozostałe uczelnie w tej grupie (warto przypomnieć) to UŚ (6,196), PŁ (5,782), UG (5,356) oraz uniwersytety medyczne w Łodzi (4,288) i Poznaniu (3,559), a także Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu (3,113). W ostatnich dniach min. S. Skuza zapowiedział dodatkowe 100 mln zł dla uczelni akademickich z przeznaczeniem na szkoły doktorskie.

Wśród pięciu uczelni kościelnych najwyższą subwencję otrzyma Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II (174,6 mln zł). Pozostałe, znacznie mniejsze uczelnie, obejmą się niemal symbolicznymi kwotami. Łączna wartość subwencji dla tej grupy wynosi 260,1 mln zł. Pomiedzy publiczne uczelnie zawodowe podzielone zostanie 767,2 mln zł. Najwięcej dostanie Akademia Nauk Stosowanych w Tarnowie (48,7 mln zł). Powyżej 40 mln trafi do Akademii Kaliskiej, która ma ambicje uniwersyteckie oraz PWSZ w Nowym Sączu. Powyżej 30 mln zł subwencji trafi do 7 uczelni. Najniższe (poniżej 10 mln zł) subwencje w tej grupie mają 4 uczelnie: w Wałczu, Tarnobrzegu, Głogowie i Koszalinie. Uczelnie zawodowe otrzymają jednorazowe (bez skutków przechodzących) dodatki do przedstawionej subwencji w wysokości 136 mln zł – 18%, czyli więcej niż wynosi inflacja. Minister zdrowia zapowiedział dodatkowe jednorazowe przekazanie im obligacji o zbliżonej wartości z myślą o wzmocnieniu kierunków medycznych – ich podział między uczelnie będzie zależał od zakresu realizacji tego typu kształcenia.

Minister edukacji i nauki odpowiada też za subwencjonowanie uczelni niepublicznych, które uzyskały kategorie naukowe w wyniku ewaluacji działalności naukowej w 2017 r., a było to 16 szkół wyższych. Na ten cel przeznaczono z budżetu państwa prawie 9,3 mln zł. Najwyższą subwencję na utrzymanie potencjału badawczego – 2,9 mln zł – otrzyma Uniwersytet SWPS. Druga z kolei Akademia Leona Koźmińskiego dostanie 1,129 mln zł, a trzecia Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie – 943,1 tys. zł. Najniższą subwencję otrzyma Wyższa Szkoła Bankowa w Poznaniu – 55,6 tys. zł. Jednak wszystkie 4 uczelnie, których założycielem jest poznańska firma TEB Akademia, łącznie otrzymają 808,5 tys. zł.

Instytuty Polskiej Akademii Nauk dostaną łącznie 801,437 mln zł. Największą subwencję – 59 mln zł – ma Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN w Krakowie. Między 30 a 40 mln zł otrzymają dwa instytuty: Chemii Fizycznej (35,6 mln zł) i Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego (35 mln zł), między 20 a 30 mln zł – 6 instytutów, między 10 a 20 mln zł – 19 jednostek, a poniżej 10 mln zł – 41. Warto zwrócić uwagę, że w gronie subwencjonowanych instytutów jest najmłodsze dziecko PAN – IMol, czyli Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych, który niedawno świętował pierwszą rocznicę utworzenia. Otrzyma on 2,1 mln zł. Najniższą subwencję – 1,3 mln zł – otrzymało Europejskie Regionalne Centrum Ekohydrologii. Subwencja

Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej wynosi 14,8 mln zł.

Wartość subwencji dla 66 instytutów badawczych (nie ma w tej grupie instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz, za które odpowiada minister rozwoju) wynosi 376,6 mln zł. Najwyższą subwencję – 45,5 mln zł – dostanie Narodowe Centrum Badań Jądrowych. Na drugim miejscu jest Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – PIB (20,8 mln zł), a na trzecim – Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych (18,3 mln zł). Powyżej 10 mln zł dostanie jeszcze 6 innych instytutów. Większość – 53 instytuty – zadowolą się subwencją na poziomie 1-10 mln zł. Najniższą subwencję – 335,6 tys. zł – otrzyma Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Poligraficznego. Poniżej miliona dostaną też: Instytut Badań Edukacyjnych (529,4 tys. zł), Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej (669,2 tys. zł) i Instytut Pracy i Spraw Socjalnych (896,1 tys. zł).

Subwencję w wysokości 7,7 mln zł otrzyma też od ministra edukacji i nauki Polska Akademia Umiejętności. Łącznie Ministerstwo Edukacji i Nauki na finansowanie subwencji na utrzymanie potencjału badawczego i dydaktycznego przeznaczy w 2022 r. 15 mld 174 mln 260,2 tys. zł.

W ustawie budżetowej na 2022 r. w części 28 Szkolnictwo wyższe i nauka, dział 730 Szkolnictwo wyższe i nauka znajduje się rozdział 73020 - Działalność Sieci Badawczej Łukasiewicz, w którym na subwencję dla instytutów Sieci Badawczej Łukasiewicz na rok 2022 przewidziano 330 mln zł. Rok wcześniej otrzymały one 275,549 mln zł. Oznacza to wzrost nakładów o 20%.

Znacznie mniejsze środki przeznaczają na szkolnictwo wyższe inne resorty. Najwięcej uczelni ma pod swoją pieczęć minister kultury i dziedzictwa narodowego. W tym roku między 19 uczelni artystycznych minister podzielił w postaci subwencji 685 mln 725 tys. zł oraz dodatkowe 16,9 mln zł z przeznaczeniem na dotacje na działalność kulturalną. Łącznie daje to 702 mln 625 tys. zł. Osiem uczelni muzycznych otrzymało łącznie 283 mln 872 tys. zł subwencji i 7,417 mln zł na działalność kulturalną. Najwięcej środków w tej grupie uczelni artystycznych trafiło do Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie, odpowiednio 51,563 mln zł i 1,275 mln zł, co razem daje 52,838 mln zł. Na drugim miejscu pod względem wysokości subwencji jest AMuz w Krakowie (44,197 mln zł), która jednak ma dopiero czwartą z kolei dotację na działalność kulturalną – 955 tys. zł, podczas gdy AMuz w Katowicach dostało na ten cel 1,003 mln zł (przy subwencji na poziomie 35,442 mln zł), a AMuz w Poznaniu 978 tys. zł (przy subwencji 38,876 mln zł). Na przeciwnym biegunie znajdują się akademie muzyczne w Bydgoszczy (26,148 + 0,832 mln zł) i Wrocławiu (26,408 + 0,767 mln zł). Średniakiem pod względem finansowym jest AMuz w Łodzi (31,216 mln zł subwencji i 860 tys. zł na działalność kulturalną).

UMFC nie jest jednak rekordzistą wśród uczelni artystycznych. Najwyższe subwencje otrzymały bowiem akademie sztuk pięknych w Warszawie (53,542 mln zł) i Krakowie (51,898 mln zł). Ogółem 7 uczelni plastycznych dostało 287,264 mln zł w formie subwencji i 6,397 mln zł na działalność kulturalną. Także w tym drugim przypadku najwyższa dotacja – 1,320 mln zł – trafiła do warszawskiej ASP. Zatem ta właśnie uczelnia jest w roku 2022 największym wśród uczelni artystycznych beneficjentem subwencji i dotacji ministra kultury. Najniższą subwencję – 22,675 mln zł – otrzymała ASP w Katowicach, która jest również beneficjentem jednej z najniższych dotacji na działalność kulturalną – 482 tys. zł.

Najniższą ze wszystkich uczelni artystycznych subwencję i dotację na działalność kulturalną otrzymała Akademia Teatralna w Warszawie, odpowiednio 20,888 mln zł i 472 tys. zł. Ogółem dwie akademie

teatralne: w Warszawie i Krakowie oraz Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, Telewizyjna i Filmowa otrzymały 84,320 mln zł w formie subwencji i 2,184 mln zł w formie dotacji na działalność kulturalną. Największym beneficjentem w tej grupie jest łódzka „Filmówka”, która otrzymała odpowiednio 38,258 mln zł i 947 tys. zł. Tylko jedna uczelnia obejmuje działalnością sztuki plastyczne i muzyczne – Akademia Sztuki w Szczecinie, która otrzymała 30,269 mln zł subwencji i 938 tys. zł dotacji.

Wysokość subwencji dla Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie oraz Szkoły Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie, które nadzoruje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, wyniosła w 2021 r. (wykonanie) 33,508 mln zł, a w 2022 r. wyniesie 35,343 mln zł (plan). Oznacza to wzrost o 5,5%, który jednak nie jest rozłożony równomiernie pomiędzy obie uczelnie. SGSP w 2021 r. wykorzystała 14,938 mln zł, a w 2022 r. otrzyma 15,150 mln zł, co oznacza wzrost o 1,5%. WSP w 2021 r. wykorzystwała 18,570 mln zł z otrzymanej subwencji, a w 2022 r. otrzyma wg planu z ustawy budżetowej 20,024 mln zł, co oznacza wzrost o 7,8%. Dodatkowo obie uczelnie otrzymają część uzupełniającą subwencji za 2022 r., która wyniesie łącznie 169 tys. zł.

Ministerstwo infrastruktury odpowiada za finansowanie dwóch uczelni morskich, czyli Uniwersytetu Morskiego w Gdyni i Akademii Morskiej w Szczecinie. Wysokość subwencji przyznanych uczelniom morskim na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego, a także na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego wyniosła w 2021 roku 110,723 mln zł. W 2022 roku zaplanowano na ten cel 121,113 mln zł. Oznacza to wzrost subwencji o 9,4%. Do chwili zamknięcia numeru nie otrzymaliśmy informacji o podziale subwencji między obie uczelnie. W zeszłym roku minister infrastruktury podzielił subwencję w proporcji 43,7% (AMS), 56,3% (UMG).

Ministerstwo Obrony Narodowej subwencjonuje działalność 4 uczelni kształcących zawodowych oficerów: Akademii Wojsk Lądowych im. Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu, Wojskową Akademię Techniczną, Lotniczą Akademię Wojskową w Dęblinie i Akademię Marynarki Wojennej w Gdyni – dwie ostatnie utworzyły Federację Akademii Wojskowych. W ubiegłym roku na subwencję dla 4 akademii wojskowych kształcących oficerów zawodowych MON wydało 529,171 mln zł, z tego 236,326 mln zł na kształcenie studentów cywilnych i 292,845 mln zł na kształcenie kandydatów na żołnierzy zawodowych (w czterech uczelniach wojskowych). W budżecie na 2022 r. zaplanowano subwencję w wysokości 563,028 mln zł, z tego 242,002 mln zł na kształcenie studentów cywilnych i 321,026 mln zł na kształcenie kandydatów na żołnierzy zawodowych. Oznacza to wzrost subwencji o 6,4%, w tym na kształcenie studentów cywilnych o 2,4%, a na kształcenie żołnierzy zawodowych o 9,6%. Trzeba jednak zauważyć, że zaplanowana liczba przyjęć na studia oficerskie w 4 akademii wojskowych skokowo wzrosła w roku 2022 – na podstawie rozporządzenia z grudnia 2021 miała wynosić 1350, a majowym rozporządzeniem ministra obrony narodowej została zwiększona do 1830 osób. Przez długie lata – cały początek XXI wieku – aż do 2016 r. na studia oficerskie żołnierzy zawodowych przyjmowano ok. 500 osób rocznie. Dopiero w 2017 r. ta liczba wzrosła skokowo do 1150 osób. I, jak wynika z przytoczonych powyżej liczb, dalej rośnie.

Ministerstwo Zdrowia odpowiada za finansowanie 9 uniwersytetów medycznych. W 2022 r. na subwencję na utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego i badawczego zaplanowano 1 mld 997 mln zł. Podział tej sumy między uczelnie odbywa się zwykle w późniejszym terminie.

Piotr Kieraciński

Czas odśladania wady przepisów

Prof. Grzegorz Węgrzyn, przewodniczący Rady Doskonałości Naukowej, przedstawia jej działalność w roku 2021 i omawia problemy, z jakimi borykają się członkowie Rady w codziennej pracy.

Za nami kolejny rok działalności Rady Doskonałości Naukowej. Choć działa ona już od 3 lat, dopiero teraz widoczne stają się specyficzne problemy, z jakimi spotykamy się w przeprowadzaniu postępowań o nadanie stopni i tytułów naukowych.

Na początek jednak trochę liczb z 2021 roku. Do RDN wpłynęło wtedy 1081 wniosków o tytuł profesora. Około dwukrotnie więcej wpłynęło wniosków o nadanie stopnia doktora habilitowanego. Od razu należy podkreślić, że z samego rozkładu liczby wpływających wniosków wyłania się pierwszy problem organizacyjny prac RDN. Mianowicie liczby wniosków w zakresie poszczególnych dziedzin i dyscyplin naukowych bardzo się różnią, a każda dyscyplina reprezentowana jest przez 3 członków (przypomnę, że liczba członków byłej Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów była w pewnym stopniu proporcjonalna do liczby naukowców zajmujących się badaniami w zakresie danej dyscypliny naukowej). Dla przykładu, w dziedzinie nauk medycznych i nauk o zdrowiu wpłynęło 278 wniosków o tytuł profesora, a w dziedzinie nauk teologicznych tylko 6. Co więcej, w poszczególnych dziedzinach występują ogromne dysproporcje pomiędzy dyscyplinami. W dziedzinie nauk medycznych i nauk o zdrowiu w dyscyplinie nauki medyczne było ponad trzydziestokrotnie więcej wniosków profesorskich niż w dyscyplinie nauki o kulturze fizycznej. Podobne dysproporcje widoczne są we wnioskach habilitacyjnych. Tak samo jest w innych dziedzinach, poza naukami teologicznymi, gdzie jest tylko jedna dyscyplina, oraz naukami rolniczymi, gdzie rozkład liczby wniosków w poszczególnych dyscyplinach jest dość równomierny. Podkreślę raz jeszcze, że setki wniosków z nauk medycznych musiały być analizowane przez taką samą liczbę członków RDN – trzech! – jak pojedyncze wnioski z nauk teologicznych, nauk o bezpieczeństwie czy astronomii. Nie znaczy to, że jedne dyscypliny są ważniejsze od innych – wszystkie są tak samo ważne. Natomiast liczba wpływających wniosków wskazuje, że pewne dyscypliny powinny być reprezentowane w RDN przez większą liczbę członków, aby obciążenie pracą było bardziej równomierne.

Jeśli jesteśmy przy statystykach, to zapewne interesujące będzie zapoznanie się z odsetkami wniosków, które są popierane przez RDN i tych, które poparcia nie uzyskują. Na 502 wnioski profesorskie, których procedowanie zakończyło się w 2021 r., 425 uzyskało poparcie rady, zaś 77 go nie zdobyło. Daje to nieco ponad 15% wniosków profesorskich negatywnie opiniowanych. Największy odsetek wniosków, którym odmówiono poparcia, złożyli przedstawiciele nauk społecznych (niemal 31% wniosków), natomiast najczęściej poparcie uzyskiwały wnioski w dziedzinach nauk teologicznych (100% uzyskało poparcie) oraz nauk rolniczych (brak poparcia dotyczył niecałych 3% wniosków).

Głównym powodem odmów poparcia wniosków profesorskich był brak wybitnych osiągnięć naukowych. W przypadku dyscyplin, w których prowadzi się prace zespołowe, niektórzy kandydaci legitymowali się wieloma publikacjami w bardzo wysoko notowanych czasopiśmie. Ich dorobek naukowy charakteryzował się wysokimi wskaźnikami bibliometrycznymi. Niemniej jego dokładna analiza wskazywała, że kandydaci w ogromnej większości tych badań pełnili jedy-

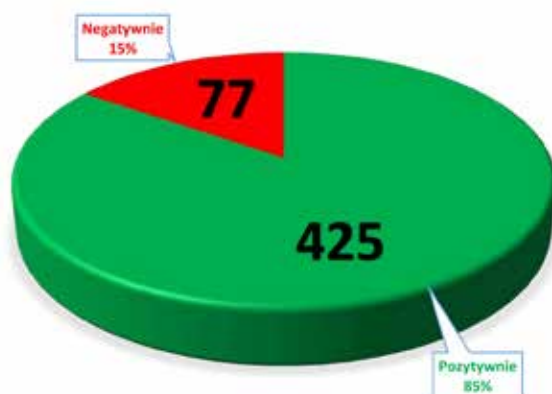
nie pomocnicze funkcje. To nie było testowanie ich hipotez, to nie były prace badawcze kierowane przez kandydatów, to nie były problemy naukowe, które kandydaci rozwiązyali, to wszystko było dziełem innych naukowców, z którymi kandydaci w pewnym zakresie współpracowali, wykonując jednak jedynie prace dodatkowe, pomocnicze. Tego typu dorobek zdecydowanie nie spełnia wymogu posiadania

przez kandydata do tytułu profesora wybitnych osiągnięć naukowych. Kandydat(ka) musi udowodnić, że ma własne, ponadprzeciętne osiągnięcia badawcze, które w istotny sposób przyczyniły się do rozwoju nauki, ale są to jego/jej prace, którymi kierował(a), testował(a) własne hipotezy, stał(a) na czele zespołów realizujących znakomite badania naukowe. Oczywiście pomaganie w badaniach naukowych innym badaczom czy innym grupom jest bardzo ważne i cenne, ale nie mogą być to jedyne osiągnięcia do uzyskania tytułu profesora. Trzeba pokazać własny wybitny wkład w rozwój nauki. Być może dla niektórych kandydatów mylące były kryteria stosowane przy ostatniej ewaluacji jednostek naukowych, gdzie w systemie „slotowym” najlepiej wypadły osoby,

które mając niewielki wkład w badania prowadzone przez wiele ośrodków naukowych, których wyniki były publikowane w renomowanych czasopiśmie, występowały jako jedyni autorzy z danej instytucji w Polsce. Wtedy stosunkowo niewielkim kosztem „przynosiły” one największą liczbę punktów swojej instytucji. Pamiętajmy jednak, że ewaluacja instytucji naukowych to zupełnie co innego niż ocena osiągnięć naukowych poszczególnych naukowców. Takie osoby, jak wspomniane wyżej, jeśli nie mają własnych wybitnych osiągnięć, nie mogą liczyć na poparcie wniosków awansowych przez RDN.

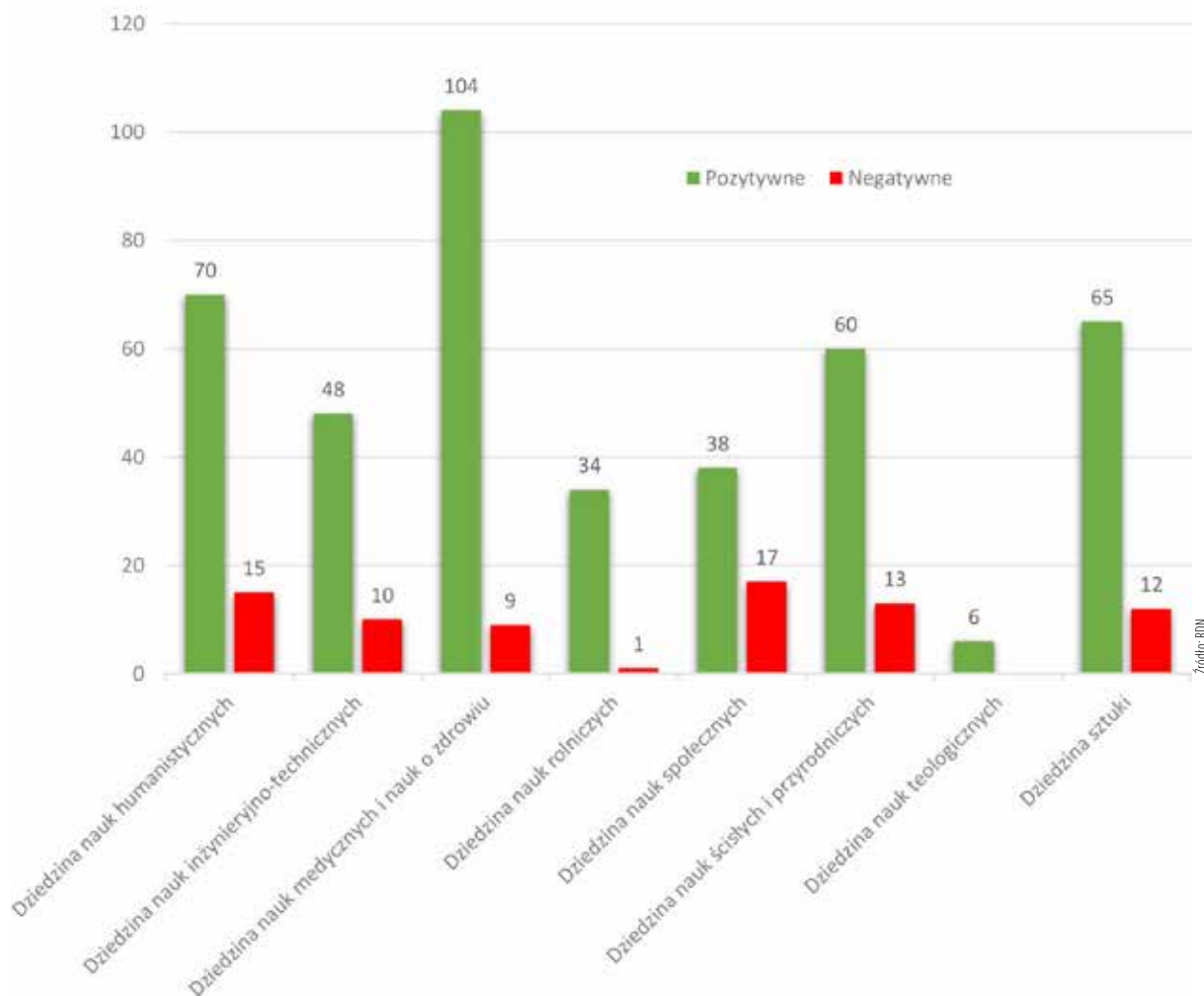
W przypadku wniosków habilitacyjnych, obok wykazania się istotnym wkładem w rozwój danej dyscypliny naukowej, kandydaci powinni udokumentować istotną aktywność naukową w więcej niż jednej uczelni lub instytucji naukowej. Ten drugi warunek przysparza problemów wielu z nich. Nie spełnia bowiem tego kryterium współpraca z innymi ośrodkami naukowymi polegająca na wykonywaniu

ROZPATRZONE WNIOSKI O NADANIE TYTUŁU PROFESORA NA PODSTAWIE USTAWY Z DNIA 20 LIPCA 2018 R. PRAWO O SZKOLNICTWIE WYŻSZYM I NAUCE W 2021 R.



Zródło: RDN

Rozpatrzone wnioski o nadanie tytułu profesora na podstawie ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce w 2021 r.



przez kandydatów badań w swojej macierzystej jednostce, a następnie na łączeniu wyników ich badań z wynikami uzyskanymi przez innych naukowców w innych ośrodkach i wspólnym publikowaniu. To kandydaci muszą się wykazać aktywnością naukową w więcej niż jednym ośrodku, co oznacza, że podczas swojej dotychczasowej kariery naukowej musieli pracować przez jakiś czas w innej instytucji. Formy takiej pracy mogą być różne – od zmiany miejsca zatrudnienia, przez staże naukowe, do prowadzenia badań w różnych uczelniach na rzecz projektów badawczych. Przepisy nie określają, jak długi ma być okres pracy w więcej niż jednym ośrodku, musi to jednak być praca dająca istotne efekty naukowe.

Analizując procedowanie wniosków o stopnie i tytuły naukowe, widzimy w RDN, że często problem sprawia konieczność losowania recenzentów z większej puli kandydatów (przepisy określają co najmniej trzykrotność liczby kandydatów w porównaniu z wymaganą liczbą recenzentów). W niektórych, stosunkowo wąskich specjalnościach, zwykle nie ma problemu ze wskazaniem 3-5 znakomitych kandydatów na recenzentów. Jednak gdy trzeba wskazać 15 kandydatów na recenzentów w przypadku wniosków o tytuł profesora, to często brakuje osób, które mają odpowiednie kwalifikacje, a równocześnie nie mają z kandydatem/kandydatką wspólnych prac oraz specjalizują się w podobnej tematyce. Powoduje to, że do puli kandydatów trafiają także osoby, których specjalności różnią się od tych reprezentowanych przez kandydatów. Losowanie jest przypadkowe i może się zdarzyć,

że nikt z wybitnych specjalistów w danym zakresie nie zostanie wylosowany. Niestety, wtedy wnioski są recenzowane przez osoby, które nie specjalizują się w tematyce osiągnięć kandydatów. Jeszcze większy problem jest w przypadku wniosków interdyscyplinarnych, które powinny być recenzowane przez przedstawicieli różnych dyscyplin, jednak w przypadku losowania może się zdarzyć, że wszystkich pięciu recenzentów będzie reprezentować tylko jedną z nich.

Wskazywałem wielokrotnie w Ministerstwie Edukacji i Nauki na te i inne problemy w procedurach nadawania stopni i tytułów. Mimo przychylności podczas rozmów, prace nad wprowadzaniem nowelizacji przepisów toczą się bardzo powoli. Ostatnio udało się jedynie wprowadzić zmianę terminu, do którego mogą być prowadzone przewody doktorskie otwarte do 30 kwietnia 2019 r. (po nowelizacji przewody te muszą zakończyć się do 31 grudnia 2023 r., czyli termin przedłużony został o rok), a także uporządkowanie spraw związanych ze wznowianiem procedur (w wyniku nieszczęśliwego sformułowania, przepis wskazywał, że RDN miałyby prowadzić wznowione postępowania habilitacyjne, a przecież RDN nie ma uprawnień do nadawania stopni naukowych; obecnie przepis jasno mówi, że RDN może wznowić postępowanie albo prowadzi je wskazana jednostka naukowa mająca odpowiednie uprawnienia). W kolejce czekają jednak dawno zgłaszane przez RDN postulaty, które mają w głównej mierze charakter porządkujący, umożliwiający sprawne przeprowadzanie postępowań o stopnie i tytuły naukowe.

Po co firmie doktorat wdrożeniowy?

Tegoroczne Innovatorium Łukasiewicza zgromadziło w Poznaniu blisko 1200 uczestników. Tematem jednej z debat, którą poprowadził Piotr Kieraciński, red. naczelny FA, były doktoraty wdrożeniowe. To alternatywna droga uzyskania stopnia doktora przeznaczona dla osób, które chcą rozwijać swoją karierę naukową, równocześnie nie zamierzają rezygnować z pracy zawodowej poza uczelnią. Program ruszył w 2017 r. – Wprowadzając nowe rozwiązanie, znane już na Zachodzie, chcieliśmy, aby u nas doktoraty wdrożeniowe były równoprawne z „tradycyjnymi” doktoratami. W Niemczech czy Wielkiej Brytanii zróznicowano obie formuły i zainteresowanie było mniejsze – wspominał Piotr Dardziński, ówczesny sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a obecnie prezes Sieci Badawczej Łukasiewicza.

Cały proces miał wyglądać następująco: do firmy trafia doktorant, który prowadzi badania, uzgodniwszy z przedsiębiorcą ich agendę, zaakceptowaną następnie pod względem jakości przez uczelnię. Firma zyskuje zmotywowanego i dobrze opłaconego pracownika, zaś przedsiębiorca ma pewność, że badanie jest zgodne z jego strategią rozwoju. Co ważne, staje się też właścicielem praw do powstałej własności intelektualnej. – Zyskuje również doktorant, bo ma ambitną pracę i godziwe wynagrodzenie, a także uczelnia, która poprzez badania „linkujące” z biznesem, otwiera się na gospodarkę – dodał Dardziński.

W dotychczasowych pięciu konkursach wyłoniono ponad 2 tys. doktorantów, z których prawie co dziesiąty prowadzi swoje badania w instytutach Łukasiewicza. Nie wszystkie mają charakter inżynierski, są także doktoraty z psychologii, socjologii, ekonomii, co przypominał P. Dardziński.

O korzyściach dla firmy opowiadał dr inż. Adam Piotrowski, szef Vigo System. Podkreślił, że stopień doktora jest niezwykle ceniony w świecie biznesu. – Apeluję do uczelni, żeby budowały prestiż stopnia doktora otwierającego naukową karierę poprzez pilnowanie reguł pisania dysertacji czy recenzji.

Zaimplementowane w jego firmie procesy rozwoju kadr służą temu, aby budować zespół globalnych ekspertów, ludzi, którzy reprezentują światowy poziom w technologii i nauce. Można kształcić ich wewnątrz przedsiębiorstwa, ale dzięki współpracy z uczelniami korzysta się dodatkowo z wiedzy akademików. Obecnie w Vigo System realizowanych jest 10 doktoratów wdrożeniowych.

Zdaniem Tomasza Węsierskiego, dyrektora Centrum Badawczo-Rozwojowego Grupy Azoty, formuła doktoratów wdrożeniowych uczy, jak funkcjonować w obszarach naukowych i jednocześnie przemysłowych, komercyjnych. Wyzwała też lojalizację – pracownicy zdają sobie sprawę z tego, że mogą dać coś firmie od siebie, ale działa to też w drugą stronę. Jak przyznał, na początku nie do końca było jasne, na czym w ogóle ta formuła ma polegać. – Teraz nasi kierownicy, dyrektorzy już sami wskazują, w którym kierunku prowadzić doktorat, by przyniosło to korzyść firmie i zaangażowało wszystkie strony, a nie tylko autora – przyznał. W Grupie Azoty 50 pracowników realizuje tego rodzaju doktoraty.

Dr inż. Michał Grabia, dyrektor Centrum Logistyki i Nowoczesnych Technologii z Łukasiewicza – Poznańskiego Instytutu Technologicznego, wskazywał na rozwój kadr i realizację prac badawczych w obszarze aplikacyjnym jako dwa główne zadania tego typu doktoratów. Ich efekty mogą być podstawą do tworzenia start-upów, np. w ramach inicjatywy Akcelerator Łukasiewicza, albo na zasadach licencji zostać przekazane przedsiębiorcom, którzy wykorzystają opracowaną technologię w realiach gospodarki. Oceń, że to wartościowa inicjatywa, choć dla pracownika może być trudna w realizacji.

Prof. Adam Woźniak, prorektor Politechniki Warszawskiej ds. rozwoju, zwracał uwagę, że już na wstępnym etapie konieczne jest uważniejsze przyglądanie się kandydatom i reprezentowanemu przez nich poziomowi, a także odpowiedni dobór tematu. Doktorat wdrożeniowy wpisuje się we wszystkie cele, jakie powinna realizować uczelnia techniczna, a więc: kształcenie inżynierów, roz-



wój nauki oraz współpraca z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Określił wszelkie pojawiające się ułomności jako „chorobę wieku dziecięcego”.

Perspektywę wykonawcy przedstawił Tymon Warski z Centrum Materiałów Funkcjonalnych w Łukasiewiczu – Instytucie Metali Nieżelaznych, który wykonuje doktorat wdrożeniowy w Politechnice Śląskiej. Akcentował rolę promotora. – Pracownikom firm, którzy nie mieli do tej pory do czynienia z nauką, trzeba wytłumaczyć wszystkie naukowe aspekty, na czym polega kształcenie na tym poziomie. Tego czasem brakuje i dochodzi do nieporozumień. Jak mówił, pieniądze są ważne, choć nie stanowią priorytetu. Podkreślił, że tego typu doktorat

to spore wyzwanie, bo trzeba pogodzić obowiązki zawodowe, zajęcia na studiach, egzaminy oraz pisanie rozprawy doktorskiej.

– W systemie polskiej nauki nie ma osoby bardziej ewaluowanej niż doktorant wdrożeniowy. Ocenia pracodawca, dwóch promotorów (w firmie i na uczelni), a do tego agenda musi być ustalona z uczelnią i zaakceptowana przez grono ekspertów w ministerstwie. W standardowych doktoratach tego nie ma, więc zaryzykują tezę, że wdrożeniowe są ambitniejsze. Ich jakości i przydatności dla firmy, gospodarki można być pewnym – podsumował dyskusję Piotr Dardziński.

MK

Akademie z planem odbudowy ukraińskiej nauki

Prezesi kilku akademii nauk spotkali się na początku czerwca w Warszawie, uzgadniając 10-punktowy plan działania na rzecz odbudowy nauki na Ukrainie. Jego sygnatariusze postanowili utrzymywać afiliacje instytucjonalne ukraińskich naukowców zatrudnionych tymczasowo za granicą, aby zachęcić ich do powrotu do własnego kraju po ustaniu działań wojennych. Mają zamiar uruchomić specjalne programy finansowania skierowane do młodych naukowców z Ukrainy i ich zespołów, w tym takie, które wykorzystują umowy o pracę zdalną. Stworzą programy finansowania wspólnych badań prowadzonych przez zespoły międzynarodowe z naukowcami pracującymi na Ukrainie oraz uruchomią finansowanie tzw. joint appointments. Zapewnią dostęp do specjalistycznych placówek badawczych za granicą, zwłaszcza takich, które zagwarantują możliwość prowadzenia badań realizowanych wcześniej w obiektach uszkodzonych lub zniszczonych podczas działań wojennych na Ukrainie. Zapewnią ukraińskim instytucjom naukowym zdalny, bezpłatny dostęp do czasopism naukowych. Udzielią zwolnień z opłat za przetwarzanie artykułów (APC), składki członkowskie w organizacjach naukowych oraz opłat za udział w konferencjach dla naukowców i organizacji badawczych na Ukrainie. Zapewnią ukraińskim naukowcom możliwości nawiązywania kontaktów i wzajemnego uczenia się ze współpracownikami i organizacjami działającymi w międzynarodowej wspól-

notcie badawczej. Będą przekazywać instytucjom ukraińskim wciąż nadający się do użytku sprzęt laboratoryjny i badawczy w celu zastąpienia wyposażenia zniszczonego w czasie wojny. Pomogą w zaplanowaniu powojennej odbudowy nauki na Ukrainie z uwzględnieniem przyszłych potrzeb tego narodu, w tym modernizacji ukraińskiego systemu badań naukowych, innowacji oraz edukacji.

Prezesi akademii postanowili też powołać radę koordynacyjną w celu zmaksymalizowania oddziaływania tego programu i wzmocnienia efektu synergii. Odbudowa ukraińskiej nauki nie powinna koncentrować się na odtworzeniu tego, co zostało utracone, ale na przygotowaniu krajowych instytucji naukowych do sprostania wspólnym wyzwaniom XXI wieku – przekonują prezesi akademii, którzy spotkali się w Warszawie.

Pod programem podpisali się: Antonio Loprieno (Europejska Federacja Akademii Nauk), Gerald Haug (Niemiecka Narodowa Akademia Nauk Leopoldina), Marcia McNutt (Narodowa Akademia Nauk USA), Anatolij Zagorodny (Narodowa Akademia Nauk Ukrainy), Jerzy Duszyński (Polska Akademia Nauk), Marie Louise Nosch (Królewska Duńska Akademia Nauk i Literatury), Robin Grimes (Towarzystwo Królewskie w Londynie).

MK



Fot. PAN

Powstanie Uniwersytet Trójmorza?

O powołaniu sieci uczelni z obszaru Europy Środkowej, na wzór uniwersytetów europejskich, dyskutowano podczas Samorządowego Kongresu Trójmorza, który odbywał się w Lublinie.

Inicjatywa Trójmorza zrzesza 12 państw Europy Środkowej: Austrię, Bułgarię, Chorwację, Czechy, Estonię, Litwę, Łotwę, Polskę, Rumunię, Słowację, Słowenię i Węgry. Jej celem jest działanie na rzecz rozwoju gospodarczego państw położonych między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym. – Obok współpracy ekonomicznej, gospodarczej, energetycznej, priorytetem tego międzynarodowego formatu powinna stać się też edukacja, zwłaszcza na poziomie wyższym – przekonywała dr hab. Beata Piśkorska, prorektor ds. studentów, doktorantów i rozwoju Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Nie znaczy to, że dziś takich kontaktów nie ma. Przykładowo Uniwersytet Medyczny w Lublinie ma partnerów m.in. na Węgrzech czy w Rumunii. Sieć mogłaby jednak zacieśnić współpracę, zintensyfikować wymianę, rozszerzyć badania. To mogłoby zaowocować europejskimi grantami, dużymi projektami, prestiżowymi publikacjami. Zresztą, nie chodzi tylko o „miękką” współpracę. – Należy doprowadzić do synergii nauki i biznesu. Gospodarka potrzebuje zaplecza naukowego, analiz, badań, koncepcji. Uczelnie i instytuty mogą dużo wniesić do tego wspólnego koszyka – zapewniał dr Filip Ludwin, prorektor ds. kształcenia Collegium Intermarium.

Panieliści wskazywali konkretne obszary współpracy. Justyna Orłowska, kierująca Centrum GovTech w Kancelarii Premiera oraz będąca pełnomocnikiem ministra edukacji i nauki ds. transformacji cyfrowej, wymieniła m.in. cyberbezpieczeństwo, informatykę, wymianę danych w obszarze rozwoju sztucznej inteligencji, teledykcję. Na tę ostatnią położył też nacisk prof. Wojciech Załuska, rek-

tor UML, dodając do tego zestawu także edukację medyczną. Kształcenie symulacyjne jest jednym z filarów kierowanej przez niego uczelni.

– Gdybyśmy mogli nasze projekty kontynuować w skali całego Trójmorza, byłyby to niezwykle cenne. Ta część Europy charakteryzuje się dużym zróżnicowaniem chorób, również cywilizacyjnych, więc dla badaczy różnych specjalności byłby to prawdziwy poligon doświadczalny – przyznał. Apelowano też, by nie zapominać o humanistyce.

Inną potrzebę sygnalizował dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. W. Felczaka. Mimo że Grupa Wyszehradzka istnieje już ponad 30 lat, a tworzące ją państwa są od dawna członkami UE, to dopiero obecne kierownictwo MEiN zajęło się na poważnie kwestią uznawalności stopni naukowych w tych krajach. – Zatem sieć jak najbardziej, ale taka, która premiuje swoich absolwentów wspólnymi dyplomami, potrafi budować wspólne zajęcia i potrafi uruchamiać wspólne projekty badawcze. Jednym słowem: uniwersytet realny – mówił. – Ale mocno oparty na wartościach – dodawała Piśkorska, absolwentka Europejskiego Kolegium Polskich i Europejskich Uniwersytetów. Jej zdaniem, ta nieistniejąca już uczelnia powinna stanowić swoisty prototyp rodzącej się właśnie sieci.

– Uniwersytety obszaru Trójmorza to potężny potencjał intelektualny. Możemy z niego czerpać z uwagi na wspólnotę kulturową i historyczną, ale także ze względu na dostęp do wspólnej infrastruktury badawczej, nowe inwestycje na badania, innowacje czy partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi – stwierdził w nagraniu do uczestników panelu minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek.

Nieprzypadkowo dyskusję zainicjowano w Lublinie. Właśnie tu kilka tygodni temu powołano Politechniczną Sieć Via Carpatia (politechniki: Lubelska, Rzeszowska, Białostocka). Od lat działa, ostatnio



Fot. Twitter/KUL

coraz prężniej, Związek Uczelni Lubelskich, a w ub. roku powstała Lubelska Unia Cyfrowa. Naturalne wydaje się więc, że tak duży ośrodek akademicki powinien aspirować do roli lidera sieci Trójmorza. Tym bardziej, że miejscowe uczelnie nie kwapią się na razie do integracji w strukturach uniwersytetów europejskich. – Polska powinna łączyć państwa regionu, a Lublin ma szczególną rolę jako miasto tradycyjnie otwarte na Ukrainę – podkreślił M. Szymanowski, nawiązując do wypowiedzianych wcześniej na Kongresie słów premiera Mateusza Morawieckiego, że Ukraina powinna być częścią Trójmorza.

Dyrektor Instytutu Felczaka przypomniał, że od 4 lat istnieje Collegium Carpathicum łączące Uniwersytet Warszawski, Państwową Wyższą Szkołę Wschodnioeuropejską w Przemyślu, Przykarpacki Uniwersytet im. Wasyła Stefanyka w Iwano-Frankiwsku, Uniwersytet Pre-

szowski, Uniwersytet Ostrawski, Uniwersytet Stefana Wielkiego w Suczawie i Katolicki Uniwersytet Peterea Pazmany w Budapeszcie. – To, co trzeba zrobić, to rozszerzyć tę inicjatywę – sugerował.

Pewnym zaskoczeniem mogła być nieobecność przedstawicieli największej lubelskiej uczelni – UMCS. W tej sytuacji na lidera inicjatywy wyrasta siłą rzeczy UML, którego rektor mimochodem wspominał zresztą o nieodległych pracach nad formułą sojuszu. Pojawiła się propozycja, by na wzór Międzynarodowego Funduszu Wyszradzkiego stworzyć fundusz wsparcia dla uczelni z 12 państw Inicjatywy Trójmorza. Mówiono też o konieczności uruchomienia jednej wspólnej bazy grantów, konkursów, publikacji, badań, naukowców.

MK

Nowa Rada od humanistyki

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek powołał czwartą Radę Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Jej przewodniczącym został prof. **Grzegorz Kucharczyk**, historyk z Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN, wykładowca Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu – Akademii Nauk Stosowanych oraz Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim. Kadencja nowej rady rozpoczęła się 25 maja i potrwa do końca kwietnia 2025 roku. W stosunku do poprzedniego składu gremium zostało powiększone o dwie osoby. Poza przewodniczącym znaleźli się w nim: dr hab. **Renata Bizek-Tatara** – literaturoznawca, dyrektor Instytutu Neofilologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie; prof. **Marzena Górecka** – filolog germańska z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II; dr hab. **Grzegorz Górski** – prawnik z Kolegium Jagiellońskiego – Toruńskiej Szkoły Wyższej; prof. **Jarosław Kłaczek** – historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; dr hab. **Roman Konik** – filozof z Instytutu Filozofii Uniwersytetu Wrocławskiego; dr hab. **Teresa Krasowska** – muzykolog z UMCS; prof. **Mirosław Lenart** – historyk literatury i teolog z Uniwersytetu Opolskiego, dyrektor Archiwum Państwowego w Opolu; prof. **Piotr Mazur** – filozof z Akademii Ignatianum w Krakowie; dr hab. **Grzegorz Nieć** – bibliolog z Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie; prof. **Mieczysław Ryba** – historyk z KUL; dr hab. **Mirosław Szumiło** – historyk z UMCS; prof. **Kazimierz Wolny-Zmorzyński** – medjoznawca i literaturoznawca z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach; dr hab. **Małgorzata Wrześniak** – historyk sztuki, dyrektor Instytutu Nauk o Kulturze i Religii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Rada NPRH to zespół doradcy ministra, składający się z przedstawicieli środowiska nauk humanistycznych. Do jej zadań należy m.in.: ocena merytoryczna wniosków o przyznanie środków finansowych na realizację projektu złożonych w ramach NPRH, przedstawienie list wniosków o realizację projektu rekomendowanych do przyznania środków finansowych w ramach poszczególnych konkursów, wskazywanie kandydatów na ekspertów uczestniczących w procesie oceny wniosków, przedstawienie sprawozdań z przebiegu poszczególnych konkursów programu po ich zakończeniu, identyfikowanie potrzeb polskiej humanistyki.

NPRH swoją działalność rozpoczęła 10 lutego 2011 roku. Powstał w odpowiedzi na postulaty środowisk humanistycznych, a jego założenia zostały wypracowane w konsultacji z najwybitniejszymi przedstawicielami nauk humanistycznych w Polsce. Celem NPRH jest uzupełnienie polskiego systemu grantowego o finansowanie projektów, na które nie można uzyskać środków z NCN, NCBR i z funduszy europejskich. Są to często projekty wieloletnie, polegające na tworzeniu naukowych publikacji dokumentacyjnych, słownikowych, bibliograficznych, krytycznych wydań źródeł i utworów literackich oraz kompendiów wiedzy o charakterze syntetycznym i encyklopedycznym. Program ma także upowszechniać osiągnięcia polskiej humanistyki naukowej w świecie i umożliwić stabilizację wyspecjalizowanych, edytorskich zespołów badawczych. Dotąd Radą NPRH kierowali profesorem: Grażyna Borkowska z Instytutu Badań Literackich PAN (2011–2014), Ryszard Nycz z Uniwersytetu Jagiellońskiego i IBL PAN (2014–2016) oraz Włodzimierz Bolecki (2016–2022).

MK



Fot. MEN

25 lat samodzielności

Uniwersytet w Białymstoku został utworzony w 1997 roku w wyniku przekształcenia Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Był wówczas trzynastym uniwersytetem klasycznym w Polsce. Filia UW istniała w Białymstoku od 1968 roku. Wcześniej działała tu Wyższa Szkoła Nauczycielska – trzyletnie studium zawodowe, składające się z wydziałów: Humanistycznego, Matematyczno-Przyrodniczego i Nauczania Początkowego. 31 sierpnia 1968 połączono ją z Zawodowym Studium Administracji, które było oddziałem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. W ten sposób powstała Filia UW.

Gdy w 1997 Uniwersytet w Białymstoku inaugurował swój pierwszy rok akademicki – rektorem został prof. Adam Jamróz, prawnik, który niedawno otrzymał doktorat honorowy UwB – jego strukturę tworzyły 6 wydziałów: Humanistyczny, Biologiczno-Chemiczny, Matematyczno-Fizyczny, Ekonomiczny, Prawa oraz Pedagogiki i Psychologii. Jednostki uniwersyteckie doktoryzowały w zakresie ekonomii, historii, prawa, pedagogiki i fizyki, a Wydział Prawa miał uprawnienia habilitacyjne. Nadal funkcjonowało w strukturze uniwersytetu Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych, które kształciło nauczycieli jęz. angielskiego i francuskiego. Na 10 kierunkach i wspomnianych 2 specjalnościach językowych kształciło się prawie 11,5 tys. studentów studiów dziennych i zaocznych, a oprócz tego ponad 600 studentów eksternistycznych, ponad 200 na studiach wieczorowych i ponad 700 na podyplomowych. W sumie było to ok. 13 tys. osób. Uczelnia zatrudniała wówczas 704 nauczycieli akademickich.

Obecnie strukturę Uniwersytetu w Białymstoku tworzy 15 jednostek podstawowych. Dziewięć to wydziały: Biologii, Chemii, Ekonomii i Finansów, Filologiczny, Fizyki, Historii i Stosunków Międzynarodowych, Matematyki, Nauk o Edukacji oraz Prawa. Kolejne 5 to instytuty: Filozofii, Informatyki, Socjologii, Studiów Kulturowych oraz Zarządzania. Uniwersytet od 2007 r. ma zagraniczną Filię w Wilnie, która funkcjonuje jako Wydział Ekonomiczno-Informatyczny. Pełni bardzo ważną funkcję z punktu widzenia Polaków na Litwie, a zapewne także polskiej polityki zagranicznej w obszarze nauki i kształcenia wyższego. Unikalnymi jednostkami w strukturze UwB są dwie samodzielne katedry: Teologii Prawosławnej i Teologii Katolickiej – to cha-

rakterystyczne dla regionu, w którym funkcjonują obok siebie dwa wyznania.

Uniwersytet w Białymstoku zatrudnia 1297 osób, w tym 793 nauczycieli akademickich i 504 pracowników administracji i obsługi. W grupie nauczycieli akademickich jest 80 profesorów tytularnych, 202 doktorów habilitowanych, 380 doktorów i 131 magistrów.

Dotychczas (przed obecną kategoryzacją) uniwersytet posiadał 11 uprawnień do doktoryzowania i 7 do habilitowania w 3 dziedzinach nauki. W dziedzinie nauk społecznych UwB może doktoryzować w zakresie ekonomii i finansów, nauk prawnych, nauk socjologicznych i pedagogiki oraz habilitować w zakresie nauk prawnych, ekonomii i finansów oraz pedagogiki. W dziedzinie nauk humanistycznych uczelnia doktoryzuje w zakresie filozofii, historii, literaturoznawstwa i językoznawstwa, a habilituje w zakresie historii. W dziedzinie nauk ścisłych i przyrodniczych UwB doktoryzuje i habilituje w zakresie nauk: biologicznych, chemicznych i fizycznych.

Pracownicy UwB uzyskali od 2011 r. (do marca 2022) 178 grantów NCN o wartości 54,6 mln zł, uczelnia jest regionalnym liderem w ich pozyskiwaniu.

Na Uniwersytecie w Białymstoku realizowane są także m.in. granty NPRH (aktualnie 5), NCBR, z programu Horyzont 2020, czy finansowane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej. Językoznawcy i literaturoznawcy z UwB otrzymali czteroletni grant o wartości 8,8 mln zł z programu „Regionalna Inicjatywa Doskonałości”. Ogromne sukcesy odnosi zespół fizyka, prof. Andrzeja Stupakiewicza, który pracuje nad zimnym ultraszybkim zapisem informacji – wielokrotnie przyspiesza on ten proces i redukuje do minimum straty energii, a także ilość wytwarzanego ciepła. Wyniki prac zostały opublikowane w najbardziej prestiżowych magazynach naukowych; doceniły je też organizacje międzynarodowe, które zaprosiły białostockich badaczy do konsorcjów naukowo-technologicznych z udziałem światowych potentatów, jak NXP Semiconductors, Hitachi Cambridge, Thales. Od kilku lat uniwersytet jest odnotowywany w międzynarodowych rankingach: QS World University Rankings, Center for World University Rankings (CWUR), Global Ranking of Academic Subjects – GRAS (w dyscyplinie fizyka).



Fot. UwB

Na Uniwersytecie w Białymstoku kształcą się obecnie (na koniec 2021 r.) 8408 studentów, w tym 6265 na studiach stacjonarnych i 2143 na niestacjonarnych. Na stacjonarnych 3692 osób kształcą się na I stopniu, 1204 na jednolitych studiach magisterskich, a 1369 na studiach II stopnia. Na niestacjonarnych jest 1028 studentów I stopnia, 325 na jednolitych studiach magisterskich i 790 na studiach II stopnia. Większość studentów to kobiety – jest ich 5,7 tys. Doktoraty w UwB przygotowuje 281 osób (rok 2021). W trzech szkołach doktorskich UwB jest 99 doktorantów, a na studiach doktoranckich 182 (dane na koniec 2021 r.). Ponadto z kursów podyplomowych na UwB korzysta 426 słuchaczy. Na UwB studiuje ponad 400 zagranicznych studentów. Uczelnia uczestniczy w programie Erasmus+ i ma podpisanych blisko 300 umów ze szkołami wyższymi w krajach UE. Ma też ponad 100 umów dwustronnych, w tym z uczelniami spoza Europy. Uczelnia oferuje 38 kierunków kształcenia w Polsce (a dodatkowo na filologii 10 modułów specjalizacyjnych) i 3 na Litwie. Kierunek prawo otrzymał od Prezydium Polskiej Komisji Akredytacyjnej Certyfikat Doskonałości Kształcenia.

Rozwój uniwersytetu gwarantuje przede wszystkim jego kadra akademicka, ale ważne jest też zaplecze, a to w przypadku UwB jest znakomite i co ważne – perspektywiczne. Na działce o powierzchni 30 ha, położonej poza centrum miasta i otoczonej lasem, stanęło dotychczas kilka budynków, głównie dla jednostek nauk ścisłych i przyrodniczych, ale także Uniwersyteckiego Centrum Obliczeniowego, Uniwersyteckiego Centrum Kultury, Planetarium i Obserwatorium oraz biblioteki. Skomponowane wokół Placu Syntezy Nauk oraz Placu Słonecznego, zajęły one do tej pory około 10 ha. Reszta wciąż czeka na zagospodarowanie. Kilka obiektów zlokalizowanych jest na sąsiadującym z kampusem głównym tzw. małym kampusie. Już wkrótce

poza kampusem pozostanie tylko Wydział Prawa, na razie nie ma planów budowy nowej siedziby dla tej jednostki.

Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej im. Jerzego Giedroycia liczą ponad 600 tys. woluminów i jednostek bibliotecznych. Jest to ponad 455 tys. druków zwartych, 129 tys. woluminów czasopism i 16 tys. woluminów i jednostek zbiorów specjalnych.

Na UwB działa aktywnie ponad 60 kół naukowych i organizacji studenckich. Dzięki nim studenci mogą rozwijać swoje pasje naukowe, społeczne, sportowe, a nawet... wędkarskie. W Uniwersyteckim Centrum Kultury organizowane są spektakle, koncerty, spotkania autorskie, wystawy czy warsztaty. Na UwB działają trzy studenckie teatry (StuKoT, Teatr Bez nazwy, Teatr Sedno), dwie galerie (Galeria Nowe Skrzydło, Biuro Wystaw Kulturoznawczych). Od 45 lat koncertuje z sukcesami Chór Akademicki, a od niedawna – skupiający studentów, absolwentów i przyjaciół uczelni UwBand.

Katarzyna Dziedzic, Piotr Kieraciński

Więcej o Uniwersytecie w Białymstoku w rozmowie z prof. Robertem Ciborowskim, rektorem UwB na stronach 20-23.



W Terenowej Stacji Naukowo-Dydaktycznej UwB w Gugnach na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego badania prowadzą nie tylko naukowcy i studenci z UwB, ale też wielu uczonych z zagranicy.

Fot. UwB

Insignia rektorskie

Insignia rektorskie – łańcuch, berło i pierścień – zostały podarowane prof. Adamowi Jamrozowi, pierwszemu rektorowi Uniwersytetu w Białymstoku, przez Fundację na rzecz Rozwoju Uniwersytetu w Białymstoku. Srebrne berło ufundował jej członek, nieżyjący już dr Arkadiusz Krzysztof Glanc. Insignia wykonane są ze srebra. Symbolizują sprawiedliwość, pokój, mądrość i wiedzę – przymioty władzy. Łańcuch zawiera dwa elementy. Jednym jest herb Białegostoku, drugim – połączone z nim godło uczelni, zaprojektowane przez artystę plastyka Dymitra Grozdewa. Zdobiona laska noszona w czasie ceremonii akademickich, czyli berło rektorskie, jest oznaką władzy i przysłowiowe przedłużenie ręki władcy. W pierścieniu zamknięta jest ciągłość i nieskończoność. Symbolizuje więź z uczelnią, stanowisko, godność i honor. Moda rektorska jest konserwatywna. Rektora UwB obowiązuje długa toga obszyta gronostajową peleryną, biret i białe rękawiczki.

Uroczysty strój i insignia to niezbędne atrybuty rektora podczas najważniejszych wydarzeń uniwersyteckich, takich jak:

inauguracje roku akademickiego, nadania tytułu doktora honoris causa, promocje doktorów habilitowanych i doktorów.

(1)



20 lat włocławskiej Almae Matris

Publiczna Uczelnia Zawodowa we Włocławku istnieje już 20 lat. Starania o utworzenie w tym mieście uczelni państwowej podjęto w czasie, gdy na mapie administracyjnej kraju widniało jeszcze województwo włocławskie. W maju 2000 roku Rada Miasta Włocławka podjęła stanowisko w sprawie funkcjonowania na terenie miasta Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. Wyrazem obywatelskich dążeń stało się zarejestrowanie 16 września 2000 roku Stowarzyszenia na rzecz Utworzenia Kujawsko-Dobrzyńskiej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej we Włocławku. O powołanie państwowej uczelni zabiegali także parlamentarzyści z regionu włocławskiego. Ostateczne deklaracje na rzecz włocławskiej państwowej uczelni zawarto w podpisanym 13 grudnia 2001 roku porozumieniu wojewody Kujawsko-Pomorskiego, marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego, prezydenta Włocławka i Stowarzyszenia na rzecz Kujawsko-Dobrzyńskiej Wyższej Szkoły Zawodowej we Włocławku. Wojewoda zadeklarował przekazanie na rzecz uczelni budynku przy ulicy 3 Maja, który jest obecnie siedzibą uczelni, marszałek natomiast bazy lokalowej i materialnej Zespołu Kolegiów Nauczycielskich wraz z biblioteką. Wkrótce potem, 20 września 2021 r., Rada Ministrów RP wydała rozporządzenie o powołaniu Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej we Włocławku. Pierwszym rektorem został prof. Krzysztof A. Kuczyński.

Formalnie uczelnia rozpoczęła działalność 1 lutego 2002 r., a pierwsza inauguracja roku akademickiego miała miejsce 26 lutego tego roku. Zajęcia na kierunku stosunki międzynarodowe rozpoczęło 94 studentów. W październiku 2002 r. 666 osób podjęło studia na kierunkach: filologia, stosunki międzynarodowe, język polski. W 2004 r. uczelnia rozpoczęła kształcenie na kierunku zarządzanie i marketing na specjalności zarządzanie małym i średnim przedsiębiorstwem, od października 2006 r. na specjalności informatyka w zarządzaniu. Później uruchomiono administrację, informatykę i pedagogikę oraz kierunki: mechanika i budowa maszyn, finanse i rachunkowość, prawo, pedagogika wczesnoszkolna i przedszkolna (studia jednolite magi-

sterskie), menedżerskie studia finansowo-prawne (studia II stopnia), pielęgniarstwo (studia I i II stopnia) oraz bezpieczeństwo wewnętrzne. Obecnie na PUZ studiuje ok. 1200 studentów. Przez 20 lat uczelnia wykształciła 6300 absolwentów. Zgodnie z Ogólnopolskim Systemem Monitorowania Ekonomicznych Losów Absolwentów szkół wyższych w 2022 r. absolwenci stacjonarnych studiów I stopnia włocławskiej Publicznej Uczelni Zawodowej – bo tak od 2019 r. nazywa się uczelnia – uplasowali się na drugiej pozycji pod względem wysokości ich zarobków wśród uczelni województwa kujawsko-pomorskiego.

Uczelnia posiada dziś 4 obiekty dydaktyczne o łącznej powierzchni 16 tys. m², w tym znakomicie wyposażone Centrum Nauk Technicznych i Nowoczesnych Technologii oraz Monoprofilowe Centrum Symulacji Medycznej. Zatrudnia ponad 100 pracowników akademickich, ponad 50 pracowników administracji i 15 pracowników przedszkola. Dodatkowo corocznie uczelnia zatrudnia na umowach cywilnoprawnych ok. 300 wykładowców i opiekunów praktyk studenckich.

Jak przystało na uczelnię realizującą kształcenie o profilu praktycznym, włocławska PUZ stawia na ścisłą współpracę z pracodawcami. Corocznie ponad 100 przedstawicieli pracodawców uczestniczy w przygotowywaniu planów studiów. Każdy taki program jest akceptowany przez zakładową radę ekspertów, w skład których wchodzi branżowi specjaliści z regionu. Studenci realizują 6-miesięczną praktykę zawodową. Ok. 70% kadry akademickiej to osoby posiadające doświadczenie zawodowe nabyte poza systemem szkolnictwa wyższego. Uczelnia zatrudnia na częściach etatów dydaktycznych specjalistów praktyków (menadżerowie, inżynierzy, lekarze, pielęgniarki itp.). Ścisłe współpracuje z przedsiębiorstwami z Włocławka i Brzeskiej Strefy Gospodarczej (wizyty studyjne, przygotowywanie zajęć na zlecenie poszczególnych przedsiębiorstw).

Włocławska PUZ prowadzi aktywną współpracę zagraniczną. Od momentu jej powstania przyjechało do Włocławka 600 studentów i wykładowców z partnerskich uczelni zagranicznych, a ponad 600



pracowników i studentów PUZ uczestniczyło w wyjazdach do zagranicznych uczelni.

Choć główny nacisk uczelnia kładzie na dydaktykę, nie zapomina też o działalności naukowej, corocznie organizując trzy cykliczne konferencje międzynarodowe i kilka krajowych. Wydawnictwo uczelni znalazło się w ministerialnym wykazie wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe, a w wykazie czasopism naukowych znajduje się periodyk „Pielęgniarstwo Neurologiczne i Neurochirurgiczne” (70 punktów), wydawany przez PUZ.

Obok działalności dydaktycznej uczelnia pełni ważne funkcje gospodarcze, społeczne i kulturalne. Jest miejscem pracy kilkuset

osób, które nierzadko wybierają Włocławek jako miejsce swojego zamieszkania właśnie z powodu zatrudnienia w PUZ. Stwarza alternatywę dla młodych Włocławian, którzy bez niej szukaliby swojego miejsca w innym mieście. Kreuje życie społeczno-kulturalne miasta, organizując szereg wydarzeń: zawody gamingowe i e-sportowe, wydarzenia naukowe i popularno-naukowe, koncerty, festiwale, spotkania ze znanymi osobami, zajęcia Medycznego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Pierwszego września 2022 r. PUZ zostanie Państwową Akademią Nauk Stosowanych.

(wtn)

Absolwenci w regionie

O regionalnej roli uczelni zawodowej mówi dr Robert Musiałkiewicz, rektor włocławskiej PUZ.

Absolwenci uczelni stanowią niezmiernie ważne ogniwo na regionalnym i ogólnokrajowym rynku pracy. W szczególności cieszą bardzo dobre wskaźniki ich zarobków, co od lat plasuje nas w czołówce publicznych uczelni zawodowych w Polsce. Zapewne przyczynia się do tego konsekwentna realizacja misji Państwowej Uczelni Zawodowej we Włocławku, tj. kształcenia praktycznego na wysokim poziomie, dającego absolwentom wiedzę i umiejętności niezbędne do rozpoczęcia pracy zawodowej lub jej rozwijania; prowadzenie prac naukowych i rozwojowych o znaczeniu regionalnym, a także uczestnictwo w kształtowaniu rozwoju społeczno-gospodarczego regionu i kraju. Chcemy być regionalnym liderem w bezpłatnym kształceniu studentów na kierunkach o profilu praktycznym, realizując przy tym zasady społecznej odpowiedzialności uczelni.

Region włocławski, czyli powiaty lipnowski, radziejowski i włocławski, jest relatywnie słabo rozwinięty pod względem gospodarczym. Istnienie uczelni umożliwia zdobycie wykształcenia na poziomie wyższym tym osobom, których ze względów ekonomicznych nie stać na podjęcie nauki w większych miastach. Stanowi ona też barierę przed depopulacją Włocławka i okolic.



Zdjęcia PUZ we Włocławku



Gdańszczanie z hat trickiem

Politechnika Gdańska po raz trzeci z rzędu zdobyła tytuł Akademickiego Mistrza Polski. Poprzednia taka seria była dziełem Uniwersytetu Warszawskiego, który wygrywał rywalizację w latach 2017–2019. Tę dominację przerwała w 2020 roku właśnie Politechnika Gdańska i o ile pierwsze jej zwycięstwo stanowiło dużą niespodziankę, o tyle kolejne potwierdziło, że nie był to przypadek. W tym roku PG objęła prowadzenie w klasyfikacji generalnej na początku maja i później skutecznie broniła tej pozycji. Wyprzedziła Uniwersytet Warszawski i Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie.

W przeciwieństwie do dwóch poprzednich, „pandemicznych” edycji AMP, tym razem obyło się bez większych turbulencji. Zaplanowano do rozegrania zawody w 35 dyscyplinach. Cykl ruszył pod koniec stycznia i tradycyjnie już jako pierwsze do rywalizacji przystąpiły futsalistki. W sumie w imprezach uczestniczyło ponad 20 tys. studentów, a przy organizacji pracowało blisko 1,5 tys. osób. Największą frekwencją cieszyły się konkurencje lekkoatletyczne, w których wzięło udział ponad 1400 zawodników z prawie stu uczelni. Duże było też zainteresowanie biegami przełajowymi (650 osób) i brydżem (610). Ogółem na arenach AMP wystąpili reprezentanci ponad 120 uczelni. Nie zabrakło wśród nich tegorocznych olimpijczyków z Pekinu (m.in. snowboardziści Weronika Biela-Nowaczyk i Oskar Kwiatkowski, narciarze Zuzanna Czapska i Paweł Pyjas) oraz ubiegłorocznych mistrzów olimpijskich z Tokio (lekkoatleci Małgorzata Hołub-Kowalik, Natalia Kaczmarek i Kajetan Duszyński).

Tylko w dwóch dyscyplinach zarówno w klasyfikacji kobiet, jak i mężczyzn triumfowali przedstawiciele tej samej uczelni (Uniwersytet Gdański – biegi przełajowe, Uniwersytet Warszawski – siatkówka plażowa). Pierwszy, historyczny triumf w klasyfikacji drużynowej AMP odnieśli zawodnicy Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, wygrywając rywalizację w narciarstwie, oraz Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach (piłkarze ręczni). Po trzech latach przerwy tytuł najlepszej w jeździectwie odzyskała Akademia Leona Koźmińskiego. Z kolei w tenisie stołowym po raz szósty z rzędu

na podium zameldowały się studentki Uniwersytetu Warszawskiego, ale przegrały trzeci finał z kolei. W tej dyscyplinie wręczono w tym roku nagrody indywidualne im. Andrzeja Grubby. Otrzymali je: Anna Węgrzyn (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu) i Damian Węderlich (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie).

Studenci Politechniki Gdańskiej wystartowali we wszystkich zawodach tegorocznego cyklu. Przedłużyli do dziesięciu serię kolejnych zwycięstw w żeglarskiej, choć wartym odnotowania jest fakt, że po raz pierwszy od 2105 r. nie wygrali klasyfikacji sterników. Za to w unihokeju przegrali trwającą dwa lata dobrą passę krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Triumf odnieśli też reprezentanci trójboju siłowego i koszykarki 3×3.

Indywidualnie sięgnęli po 8 złotych, 11 srebrnych i 6 brązowych krążków. Na najwyższym stopniu podium stawali m.in.: Wiktor Mertka w rzucie oszczepem, Kamil Linstedt i Marcin Statkiewicz w trójboju siłowym, team w aerobiku sportowym, Katarzyna Duda w ergometrze wioślarskim i Anna Ławrukajtis w biegach przełajowych.

Do końcowej punktacji liczyły się wyniki osiągnięte w: **aerobiku sportowym** (Gdański Uniwersytet Medyczny), **badmintonie** (AWF Katowice), **biegach przełajowych** (k: UG, m: UG), **brydżu** (AGH), **ergometrze wioślarskim** (k: UG, m: Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy), **futsalu** (k: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, m: UG), **jeździectwie** (ALK), **judo** (AWF Katowice), **karate** (Politechnika Łódzka), **kolarstwie górskim** (k: UG, m: AGH), **koszykówce** (k: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, m: Politechnika Opolska), **koszykówce 3×3** (k: PG, m: ALK), **narciarstwie alpejskim** (k: AWF Katowice, m: SUM), **lekkoatletyce** (k: UG, m: UMCS), **piłce nożnej** (k: Uniwersytet Jagielloński), **piłce ręcznej** (k: AWF w Warszawie, m: AGH), **pływaniu** (AWF Katowice), **siatkówce** (k: Karpacka Państwowa Uczelnia w Krośnie, m: Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji w Opolu), **siatkówce plażowej** (k: UW, m: UG), **snowboardzie** (k: UJ, m: UW), **strzelectwie sportowym** (AWF Wrocław), **szachach** (ALK), **szermierce** (AWF



Drużyna Politechniki Gdańskiej w unihokeju

Superczempionki AMP



Fot. Szymon Szczęśniak

Kornelia Fiedkiewicz (AWF Wrocław) – 3 złote medale w pływaniu

– To był pierwszy raz, kiedy podczas AMP-ów reprezentowałam AWF Wrocław. Podeszłam do zawodów metodą treningową, ale w pełni profesjonalnie.



Zdjęcie: AWF Wrocław

Julia Piotrowska (AWF Wrocław) – 3 złote medale w strzelectwie

– To dla mnie bardzo duży sukces, tym bardziej, że warunki pogodowe nie były sprzyjające, było zimno. Przygotowaliśmy się do zawodów, aby jak najlepiej wykonywać techniczne aspekty.

Katowice), **tenisie** (k: ALK, m: Akademia Kaliska), **tenisie stołowym** (k: UEWr, m: UMCS), **trójboju siłowym** (k: UJ, m: PG), **unihokeju** (PG), **wioślarstwie** (UMK), **wspinaczce** (k: Akademia Nauk Stosowanych w Tarnowie, m: UW), **żeglarstwie** (PG).

Bezapelacyjnym zwycięzcą klasyfikacji medalowej po raz kolejny została AWF Katowice, której zawodnicy aż 53 razy stawali na podium, w tym 21-krotnie na najwyższym jego stopniu.

Wśród uczelni medycznych najlepszy okazał się Uniwersytet Medyczny w Łodzi, a rywalizację uczelni społeczno-przyrodniczych wygrała Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. W gronie uczelni

niepublicznych bezkonkurencyjna była Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy, zaś w klasyfikacji publicznych uczelni zawodowych pierwsze miejsce zajęła Akademia Nauk Stosowanych w Tarnowie.

Dla wielu uczestników Akademickich Mistrzostw Polski to jeszcze nie koniec sezonu. Wprawdzie zaplanowana na przełom czerwca i lipca Uniwersjada w chińskim Chengdu została przeniesiona na przyszły rok, za to już w przyszłym miesiącu w Łodzi odbędą się Europejskie Igrzyska Akademickie.

Mariusz Karwowski

Ponad pół tysiąca reprezentantów

Aż 562 studentów będzie równoległe z kształceniem kontynuować karierę sportową, korzystając ze wsparcia programu „Narodowa Reprezentacja Akademicka”. To najliczniejszy skład od momentu uruchomienia tej inicjatywy w 2019 roku.

Program finansowany ze środków Ministerstwa Edukacji i Nauki od początku cieszy się dużym zainteresowaniem. W pierwszej odsłonie wsparciem objętych zostało 414 studentów z 42 uczelni. Na ten cel przeznaczono wówczas 7,1 mln zł. W kolejnej edycji możliwość skorzystania z dodatkowych zajęć otrzymało 502 studentów z 37 uczelni. Budżet zwiększono wówczas do około 9,5 mln zł. Trzeci nabór ogłoszono w lutym tego roku, a do rozdania było jeszcze więcej, bo aż 10 mln zł. Listę zakwalifikowanych uczelni zatwierdził minister Przemysław Czarnek, pod egidą którego realizowane jest przedsięwzięcie. W gronie laureatów są 33 uczelnie publiczne oraz 5 niepublicznych. Największą liczbą studentów-sportowców w programie NRA może się pochwalić Akademia Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach (161). Dodajmy, że uczelnia ta wygrała klasyfikację medalową tegorocznych Akademickich Mistrzostw Polski, zdobywając ponad 50 krążków. W czołówce uczelni, które mają swoich przedstawicieli w NRA, są także: Akademia

Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie (44), Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy (42), Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu im. Jędrzeja Śniadeckiego w Gdańsku (34), Wyższa Szkoła Zarządzania i Administracji w Opolu (34) i Politechnika Opolska (30).

Projekt „Narodowa Reprezentacja Akademicka” wspiera proces kształcenia studentów-sportowców. Dofinansowanie przekazywane jest na dodatkowe zajęcia dydaktyczne, które realizowane są w formie indywidualnej organizacji studiów w ciągu całego roku kalendarzowego zgodnie z zaplanowanym harmonogramem godzin. W programie biorą udział uczelnie publiczne i niepubliczne, w których na studiach stacjonarnych kształcą się co najmniej 200 studentów studiów stacjonarnych, w tym zawodnicy szkolenia olimpijskiego, medalisci igrzysk olimpijskich, igrzysk europejskich, mistrzostw świata seniorów i mistrzostw Europy seniorów, uniwersjad i akademickich mistrzostw świata oraz studenci-sportowcy z niepełnosprawnościami, w tym osoby niedośłyszące i studenci sportowcy posiadający klasy sportowe – mistrzowską międzynarodową i mistrzowską.

MK

Rozmowa z prof. Robertem Ciborowskim, rektorem Uniwersytetu w Białymstoku

Poza centrum

Nauka jest ciągłym poznawaniem i nie może ograniczać się do regionu. Funkcje regionalne realizuje niejako przy okazji, one są możliwe dzięki realizacji podstawowych ról uniwersytetu.

Czy warto było 25 lat temu uzyskiwać niezależność od Uniwersytetu Warszawskiego?

Gdy pracowałem w Filii UW w Białymstoku, informacje o grantach, projektach i stażach dostawaliśmy z Warszawy dopiero wtedy, gdy u nich nie było chętnych. Gdy starałem się o staż w Szkocji, tłumaczono mi, żebym jeszcze poczekał, bo „musimy rozpropagować ten temat”. Zatem Uniwersytet Warszawski najpierw zaspokajał swoje potrzeby, a w drugiej kolejności dbał o sprawy swojej odległej filii. Już choćby to pokazuje, że warto było stworzyć samodzielny uniwersytet. Teraz o wyjazdach na stypendia i staże rzeczywiście decydujemy tu, w Białymstoku. Podobnie gdy realizowano granty, było bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy trafili do warszawskich zespołów. Nasi pracownicy robili stopnie naukowe w Warszawie. Wielu naukowców z UW przyjeżdżało do nas z wykładami. Można żałować, że nie zostali tu na stałe. Tylko kilku naszych starszych, „warszawskich” profesorów zdecydowało o przeniesieniu się do Białegostoku po utworzeniu uniwersytetu. Od zawsze dążyliśmy do tego, żeby te przyjazdy ograniczyć i stworzyć własną kadrę, ale na bazie doświadczeń „starszego kolegi”. Mój Wydział Ekonomiczny w dużym stopniu opierał się na wykładowcach z Warszawy, co pomogło mu się usamodzielnic. Jednak przychodzi czas, żeby stać się dorosłym i obecnie nie mamy ani jednej osoby z Warszawy. Kadrę tworzą pracownicy „wychowani” na Uniwersytecie w Białymstoku, zarówno asystenci, jak i profesorowie tytularni. Z punktu widzenia rozwoju kadry stało się zatem bardzo dobrze, że powstał tu samodzielny uniwersytet. W większości jednostek nie jesteśmy w ogóle uzależnieni od osób z zewnątrz. Stworzyliśmy własne białostockie środowisko uniwersyteckie, choć oczywiście wielu naszych pracowników uzyskiwało stopnie naukowe na innych uczelniach, ponieważ nie mieliśmy uprawnień w wielu dyscyplinach, którymi akurat się zajmowali. To są rzeczy, które nam się udały.

A co się nie udało?

Wciąż mamy kłopot z pozyskiwaniem środków na badania, zwłaszcza grantów NCN. Zrzucam to jednak w dużej części na karb systemu, który preferuje duże uczelnie i silne ośrodki akademickie. Nie mówię o skali, bo tam jest więcej pracowników, zatem i wniosków jest więcej, czyli szanse na sukces rosną. Natomiast nigdy się nie spodziewałem, że udział niektórych uczelni w całości dofinansowania będzie tak ogromny. Duże uczelnie mają więcej własnych środków, mogą realizować projekty znacznie większe i o większym zasięgu niż my. Nie

jestemy w stanie samodzielnie tego robić nie tylko ze względu na liczebność kadry, ale także szczupłość własnych środków – nigdy nie mamy tyle pieniędzy na własne badania czy własny wkład na rozpoczęcie badań, co duże ośrodki. Nie znaczy to jednak, że mamy mieć gorszy dostęp do innego typu środków publicznych. A tak się często dzieje.

Widzi pan jakąś szansę, aby to zmienić?

Mimo tego, co powiedziałem, czasami udaje nam się znakomicie funkcjonować właśnie na bazie grantów. W zeszłym roku byliśmy w rankingu szanghajskim dzięki fizykom. Przy dużym nakładzie pracy, zaangażowaniu i odrobinie szczęścia można coś osiągnąć. Być może sposób funkcjonowania nauk ścisłych i przyrodniczych lepiej pasuje do systemu grantowego i łatwiej pokazać na zewnątrz osiągnięcia naukowe. W tych dyscyplinach od lat utrwalił się parametryczny sposób oceny osiągnięć, który dyscyplinom humanistycznym i społecznym został niejako narzucony, choć do nich nie bardzo pasuje. Ale jest i drugi powód: przedstawiciele nauk ścisłych i przyrodniczych mają w swoich jednostkach znacznie mniej studentów niż przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych, zatem mogą się w większym stopniu skupić na badaniach. Wydaje się, że nauki społeczne i humanistyczne mają zbyt wąski udział w finansowaniu nauki, a z drugiej strony mają ograniczone możliwości pozyskiwania środków z gospodarki. Państwo powinno tworzyć szersze programy wsparcia tych dziedzin, oczywiście bardziej równomiernie rozłożone pośród uczelni. Ponadto warto spojrzeć na efektywność wydawania środków, która często jest wyższa w uczelniach mniejszych. Duża w tym wszystkim rola polityki naukowej państwa.

Skoro uczelnie, które nazwano w pewnym momencie regionalnymi, mają takie kłopoty z finansowaniem badań, pozyskiwaniem grantów, to czy warto je utrzymywać w postaci niedużych uniwersytetów? Może państwo powinno skupić środki finansowe w dużych ośrodkach, a te mniejsze potraktować jako edukacyjny dodatek?

To by oznaczało upadek regionów pod każdym względem. Bez uniwersytetów i innych uczelni akademickich takie miasta jak Lublin, Zielona Góra, Białystok czy Rzeszów w ciągu dwóch, trzech pokoleń zupełnie straciłyby znaczenie, przestałyby istnieć w kontekście rozwoju społeczno-gospodarczego. Podobnie mniejsze miasta, w których istnieją uczelnie zawodowe. Są one siłą napędową miast i regionów, nie mówiąc o tym,

że często są największymi pracodawcami – tak jest również w Białymstoku. Środowisko regionalne powinno i musi mieć akademickie zaplecze. Związki regionu i uczelni są wielorakie. Najważniejsze to działania na rzecz zatrzymania odpływu młodych ludzi, poza tym podnoszenie kwalifikacji, tworzenie kapitału społecznego czy środowiska kreatywnego. Przykładem może być to, że prezydent i marszałek naszego miasta to jednocześnie pracownicy UwB, wielu właścicieli firm czy szefów różnych instytucji to nasi absolwenci. Wszyscy oni rozumieją nasze potrzeby i charakter działalności. Gdy uniwersytet powstawał, działania parlamentarzystów i samorządowców były wzorcowe. Wszyscy popierali utworzenie uniwersytetu, a mieszkańcy regionu temu kibicowali.

A potem było gorzej?

Czujemy poparcie lokalnych władz i samorządu, nawet jeśli nie idą za tym pieniądze. Życzliwość dla naszych inwestycji czy sprzyjająca nam infrastruktura miejska i regionalna są tego wyrazem. My z kolei staramy się odpowiadać na potrzeby otoczenia społecznego i gospodarczego.

W jaki sposób?

Odkąd powstał w Białymstoku samodzielny uniwersytet, nasze, czyli białostockich naukowców, kontakty z regionem, władzami, przedsiębiorstwami, administracją, samorządem znacznie się wzmocniły, są bogate i różnorodne. Potrafimy odpowiadać na zapotrzebowania regionalne, choćby w postaci tworzenia kierunków studiów, kursów podyplomowych, szkoleń. Z pewnością byłoby to trudniejsze, gdyby podstawę kadry akademickiej stanowiły osoby dojeżdżające z innych ośrodków. Robimy badania chemiczne, biologiczne czy fizyczne dla firm – to w pewnym sensie nasza lokalna specjalność. Szereg regionalnych firm korzysta z naszych kompetencji ekonomicznych i prawniczych, robimy dla nich ekspertyzy, biznesplany. Socjologowie badają wraz z medykami ogromną populację w celu określenia skłonności do chorób, historycy i kulturoznawcy opisują i tworzą tożsamość regionu. Kształcimy nauczycieli. Relacje uczelni z otoczeniem są różnorodne i zwrotne, czyli działają w obie strony.

Czy to znaczy, że rozwijacie badania i kształcenie na potrzeby regionu?

Po pierwsze, te potrzeby nie zawsze są oczywiste i odpowiednio wypowiedane. Na pewno najważniejsze jest kształcenie. Jednak rynek oczekuje umiejętności praktycznych, a my zwykle dajemy je w niewielkim stopniu. Nie chodzi nam o uczenie prostych czynności, choć i to czasami pojawia się w programach kształcenia uniwersyteckiego, ale raczej o kształtowanie szerokiego spojrzenia na świat, odpowiednio sprofilowanego. Nawet przy dzisiejszej masowości studiów tworzymy elity, jednostki kreatywne. Ścisłe naukowe obszary wiedzy, w sensie przynależności do sciences, jak matematyka, fizyka, nigdy nie będą miały wielu studentów, a i badania wydają się odległe od regionalnych realiów. Ale to pozory. Naukowcy, którzy je uprawiają, działają w szerszym kontekście międzynarodowym, a kontakty rozlewają się z uczelni na region. Natomiast kierunki humanistyczne i społeczne mają bezpośrednie znaczenie regionalne. To one ściągają większą liczbę chętnych na studia. U nas dotyczy to na przykład prawa, ekonomii czy pedagogiki. Nigdy nie mieliśmy problemu z kandydatami na studia na tych kierunkach, a ich absolwenci znajdują tu na miejscu pracę. Nie oznacza to, że kształcimy bezpośrednio na rynek pracy, tj. praktycznie na określone stanowiska, czego czasami domagają się organizacje pracodawców. Staramy się wykształcić człowieka, który będzie w stanie dostosować się do różnych



Fot. Piotr Dumiewski, UwB

Prof. **Robert Ciborowski** (ur. w 1967 r.) jest rektorem Uniwersytetu w Białymstoku. Pełni tę funkcję już drugą kadencję. Jest ekonomistą. Prowadzi badania nad zależnością rozwoju gospodarczego i konkurencyjności gospodarki od innowacji i transferu technologii (szczególnie w Wlk. Brytanii, której dotyczyły jego prace doktorska i habilitacyjna), a także nad wpływem innowacji i powiązań technologicznych na rozwój regionów peryferyjnych; interesuje się też austriacką szkołą ekonomii. Ma w dorobku ponad 120 publikacji. Wypromował blisko 800 licencjatów i magistrów oraz 7 doktorów. Uczestniczył w szeregu projektów badawczych o charakterze regionalnym, krajowym i międzynarodowym, dotyczących rozwoju gospodarczego, innowacji i transferu technologii. Na UwB był dziekanem Wydziału Ekonomii i Zarządzania oraz prorektorem ds. ekonomicznych.

ról społecznych i zawodowych. Rozwijamy też kierunki kształcenia potrzebne w regionie i badania naukowe, które są ważne dla lokalnej gospodarki. Nie można się skupiać tylko na dyscyplinach dających mocne odbicie w grantach. Musimy mieć wszystko, co kiedyś może być potrzebne, nawet gdy aktualnie tego wyraźnie nie widać. Jestem zwolennikiem badań podstawowych na uczelniach. Mamy badać to, co nas interesuje, choć możemy też realizować – i robimy to – zlecenia administracji lokalnej, rządu czy gospodarki. Na ekonomii w uniwersytetach brytyjskich obowiązkowe były przedmioty zupełnie absurdalne z punktu widzenia naszej obecnej polityki, np. literatura angielska. Oni rozumieli, że człowiek wykształcony musi być czytany, ma rozumieć tekst, a tego się nie da nauczyć na samych przedmiotach ekonomicznych. Nie chodziło o to, żeby ekonomiści znali Szekspira, ale żeby umieli czytać ze zrozumieniem, rozmawiać, argumentować. A my wchodzimy w fetysz praktyczności kształcenia bez żadnej refleksji. To dobre wytłumaczenie dla państwa, które może nam zarzucić – i czasem zarzuca – że źle kształcimy i produkujemy bezrobotnych. Ten zarzut okazał się jednak zupełnie nietrafiony.

Nie widzę potrzeby forsowania na siłę kształcenia praktycznego, w tym zwłaszcza doktoratów wdrożeniowych. To jest dewaluacja doktoratów. Uczelnie powinny skupiać się na tym, do czego zostały stworzone: do badań podstawowych i kształcenia studentów. Jestem zwolennikiem starego, marshallowskiego podejścia: trzeba tworzyć atmosferę badań, otwartości. Nauka jest ciągłym poznawaniem, rozwijaniem kontaktów, nie może ograniczać się do regionu. Funkcje regionalne realizuje

niejako przy okazji, one są możliwe dzięki realizacji podstawowych ról uniwersytetu.

Gdy Uniwersytet w Białymstoku powstawał, miał 6 wydziałów. Jak w ciągu 25 lat zmieniła się jego struktura?

Największa zmiana związana jest z ostatnią reformą szkolnictwa wyższego i nauki. Kiedyś oceniało się jednostki naukowe, zatem musiały być silne. Gdy przeszliśmy na ocenę dyscyplin, dostosowaliśmy do tego naszą strukturę tak, by każda ewaluowana dyscyplina miała swoją jednostkę i mogła zarządzać swoim potencjałem. Mamy zatem 15 jednostek, w tym 9 wydziałów i 5 instytutów w kraju oraz filię na Litwie. Instytuty od wydziałów różnią się tylko wielkością. Poszliśmy w stronę decentralizacji. Jednorodne środowiska badawcze potrafią lepiej sobą zarządzać niż wielodyscyplinarne jednostki z dodatkową nadbudową instytucjonalną. Sam podział na wydziały i instytuty zależy od kadry, czyli odpowiedniej liczby samodzielnych pracowników, profesorów. Jeśli instytuty będą się rozwijać, staną się wydziałami. Instytut Filozofii ma uprawnienia doktorskie, a nazywa się właśnie tak ze względu na relatywnie niedużą liczbę pracowników. Biologia czy chemia, które mają podobne uprawnienia, działają jako wydziały właśnie ze względu na liczniejszą kadrę. Z perspektywy czasu oceniam tę decentralizację dobrze.

Wydział UwB w Wilnie to bardzo interesujące przedsięwzięcie, ważne z powodów państwowych, narodowych. Ale chyba nie jest przypadkiem, że działa w strukturze właśnie Uniwersytetu w Białymstoku?

Kilkanaście lat temu podjęliśmy się stworzenia jednostki w odpowiedzi na oczekiwania tamtejszych Polaków, którzy potrzebowali uczelni jako instytucji tworzącej zaplecze naukowe, społeczne czy kulturowe. To trochę taka kontynuacja polityki Jagiellonów. Nie jest to łatwa działalność z wielu powodów. Po pierwsze, bardzo kosztowna, po drugie, musimy mieścić się w systemie prawnym i naukowo-dydaktycznym dwóch krajów, i wreszcie po trzecie – wymaga skomplikowanej logistyki. Ale mimo tych problemów działamy z sukcesami. Znaczne jest już grono absolwentów na kierunkach: ekonomia, informatyka i europeistyka. Tworzymy nową infrastrukturę i nowy kierunek studiów – pedagogikę. Przy wsparciu państwa udaje nam się tę misję realizować.

Jak do nowej struktury ma się koncepcja kampusu, która powstała przed tą reformą?

Początkowo obiekty były przypisane do określonych kierunków: biologii, chemii, matematyki. Jednak obecnie w budynku matematyki – w tym wypadku jest to wydział – mamy także informatykę, która działa w strukturze instytutu. Biologia z chemią tworzyła jeden wydział, teraz to odrębne wydziały i każdy ma swój budynek. Kampus się rozbudowuje i mamy zamiar z czasem wszystkie nasze jednostki przenieść w to miejsce. Właśnie wystawiliśmy na sprzedaż trzy obiekty leżące poza kampusem i poszukujemy środków na rozbudowę. Zatem dokonujemy pewnego rodzaju restrukturyzacji zasobów. Kolejny krok to budowa siedziby dla humanistyki. Będzie usytuowana obok biblioteki, która została otwarta w zeszłym roku. Mamy na tę inwestycję zapewnione środki. Siedzibę znajdzie tam kilka dyscyplin: historia, filozofia, językoznawstwo i literaturoznawstwo – czyli filologie – i kulturoznawstwo. Kolejny plan to przeniesienie do kampusu socjologii, ekonomii i zarządzania. Prawo być może w dalszej, nieokreślonej przyszłości. Prawnicy mają obecnie dobry budynek w centrum miasta, są przyzwyczajeni pracować w pobliżu sądów czy kancelarii, zatem mogą troszkę poczekać. Poza tym chcemy, żeby nasze środowisko nie trzy-

mało się ściśle swoich budynków. Na przykład matematycy mają wszystkie zajęcia we własnym obiekcie, wykładowcy z filozofii przychodzą tam na zajęcia dla matematyków, a ci nie mają kontaktu z resztą uniwersytetu. To nie tak ma być. Chcemy, żeby to studenci matematyki przeszli się do niedaleko położonego budynku filozofii, zobaczyli kampus, poznali inne miejsca, cały uniwersytet, a nie tylko swoje najbliższe kąty. W ten sposób nasze środowisko będzie żywe, będzie korzystało z całego kampusu, nawiązywało kontakty, a nie ograniczało uniwersytet do „swojego” budynku. Taka sytuacja miała miejsce, gdy budynki uniwersyteckie były rozrzucone po całym mieście i wykładowcy jeździli z miejsca na miejsce. Chcemy – skoro już mamy nowy kampus – wykorzystać sytuację w celu budowy różnorodnej wspólnoty uniwersyteckiej. To jest nasza idea kampusu integrującego wspólnotę. Ma on też być otwarty na miasto i region. Jest tu planetarium i centrum kultury, które są otwarte także dla osób spoza uniwersytetu, choćby dla młodzieży szkolnej. Zatem kampus uniwersytecki z jednej strony ma budować wspólnotę akademicką, ale z drugiej będzie ją łączył z otoczeniem. Miasto nam pomaga, na przykład budując infrastrukturę komunikacyjną, łączącą nasze obiekty, bo przecież oprócz głównego kampusu mamy tzw. mały kampus, czyli miejsce po drugiej stronie ulicy, w którym jest nie tylko rektorat, ale także pedagogika. Tutaj sąsiadujemy z Politechniką Białostocką. To sąsiedztwo jest może jakimś znakiem na wspólną przyszłość.

Białystok to aż pięć uczelni publicznych...

Oraz kilka niepublicznych. Mimo to nie jest to wielkie środowisko. Mamy tu w sumie pewnie 22-23 tysiące studentów. Nawiasem mówiąc, około dziesięć lat temu studiowało w Białymstoku 40 tys. studentów. W latach 90. maturę w całej Polsce zdawało 900 tysięcy osób, a teraz 300 tysięcy. Poza tym kiedyś każdy chciał być magistrem. Teraz coraz częściej uzyskanie licencjatu oznacza zakończenie kształcenia wyższego. Na magisterium zostają tylko pasjonaci.

Takie były plany organizatorów naszego systemu kształcenia wyższego, wzorowanego w tym przypadku na anglosaskim, choć tam kształcenie podstawowe trwa nie trzy, ale cztery lata, czyli o 30% dłużej.

Jest pewien kanon podstawowej wiedzy, którego nie da się zdobyć w trzy lata. Jestem zwolennikiem powrotu do pięcioletniego kształcenia magisterskiego. Prowadzę na pierwszym roku drugiego stopnia wykład z historii myśli ekonomicznej. Dobrze zrozumieć mogą go tylko ci, którzy skończyli pierwszy stopień ekonomii. Trzeba bowiem do tego operować pewną bazą pojęciową. System boloński jest nieporozumieniem.

Czy inwestycje budujecie z zapasem?

Nie. O ile początkowo było trochę rozmachu, to obecnie dostosowujemy obiekty do aktualnej liczby pracowników i studentów. Podobnie było z nową biblioteką, którą zaplanowano z myślą o digitalizacji. Nie mamy zatem przerostów metrażu. Raczej zakładam, że utrzymanie obecnej liczby studentów będzie sukcesem. Pierwszy stopień zapewne liczebnie się utrzyma, ale drugi będzie nam się zmniejszał.

A niedawny trzeci stopień, czyli słuchacze szkół doktorskich?

Generalnie dobrym pomysłem było stworzenie w uczelniach takiej struktury jak szkoły doktorskie. Studia doktoranckie, na pewno w naukach humanistycznych i społecznych, działały dość... frywolnie. Nie zawsze liczyła się obowiązkowość i efektywność. Teraz są plany zajęć, wymagania formalne, zaliczenia i rozliczenie z uzyskiwanych środków. To jest normalne studio-owanie i początek działalności badawczej. Ujawniają się z całą

mocą różnice między naukami humanistycznymi i społecznymi oraz ścisłymi i przyrodniczymi. O ile w tych pierwszych nie ma problemu z naborem kandydatów, o tyle w tych drugich problem zbyt małej liczby chętnych do szkół doktorskich narasta. Trudno wypełnić nawet nasze niskie limity w tych dyscyplinach. A rzecz także w tym, żeby nasi doktorzy potem zostawali na uczelniach. Mamy problem z naborem pracowników zwłaszcza w naukach ścisłych i przyrodniczych. I znów lepiej jest w humanistyce i naukach społecznych. Ponadto obserwujemy mocną dewaluację doktoratu. Gdy mówimy o odbudowie kadry, warto zauważyć, że problem dotyka wszystkich uczelni. Nauka się pauperyzuje i również w dużych miastach trudno namówić absolwentów do podjęcia pracy na uczelniach, które nie są im w stanie odpowiednio zapłacić.

Dane dotyczące płac w uczelniach nie potwierdzają pogłosek o niskich zarobkach.

Jednak podstawy wynagrodzeń są niskie, zwłaszcza na początku kariery akademickiej, gdy pracownik nie zbudował własnych relacji naukowych, nie wszedł w system grantów. Młody człowiek, gdy idzie do pracy, chce zrealizować swoje plany życiowe, w tym dotyczące pewnej stabilizacji. Na pewno trudno odpowiedni poziom płac zapewnić w początkowym etapie kariery naukowej. Perspektywa osiągnięcia dobrej płacy za 15-20 lat jest zbyt odległa. Owszem, z nauki w wielu przypadkach da się żyć. Trzeba jednak wejść w coś, co nazywam biznesem badawczym, a co polega na zdolności do budowania szerokiej współpracy naukowej, w tym międzynarodowej, zdobywania grantów – wtedy naprawdę można zarabiać w bardzo ciekawej pracy. W Białymstoku mamy możliwości finansowe podobne do lokalnej gospodarki. Na rynku lokalnym jesteśmy konkurencyjni choćby dlatego, że jesteśmy największym pracodawcą. Uczelnie stanowią fundament gospodarki miast i regionów, choć nie zawsze jest to rozumiane i uwzględniane w lokalnych strategiach rozwoju. Z drugiej strony nam, w mniejszych uczelniach, chyba łatwiej wylapywać najlepszych studentów. Trudniej natomiast zatrzymać w Białymstoku najlepszych maturzystów, zwłaszcza laureatów olimpiad przedmiotowych, bo oni poszukują dla siebie miejsc w najlepszych uczelniach, także za granicą. Wysoki poziom wiedzy, wykształcenia można osiągnąć także w mniejszych miastach, choćby takich jak Białystok. Przegrywamy z dużymi ośrodkami głównie rynkiem pracy. U nas możliwości zawodowych jest mniej. Problem nie polega zatem na gorszym kształceniu czy ograniczonym dostępie do wiedzy, ale mniejszych możliwościach pracy po studiach.

Granty NCN, które pojawiły się na początku naszej rozmowy, to niejedynie środki, które kierowane są do nauki z różnych miejsc. Jak sobie radzicie z pozyskiwaniem zewnętrznych pieniędzy?

Generalnie nie jestem zadowolony z poziomu zdobywania środków zewnętrznych, ale to nie zawsze zależy od nas. Niezłe radzimy sobie pod względem środków inwestycyjnych, tu nasze potrzeby są zauważane, choć nie mamy takich wieloletnich państwowych programów inwestycyjnych, jak niektóre największe polskie uniwersytety. Jeśli natomiast spojrzymy na środki konkursowe na badania, to trudno być optymistą, mimo że liczba wniosków grantowych zwiększyła się dwu- albo i trzykrotnie w stosunku do sytuacji sprzed reformy. W naukach ścisłych wygląda to całkiem dobrze, ale jak już mówiłem, oni mają pewne tradycje pozyskiwania środków, współpracę międzynarodową i krajową, nieco odmienny system publikowania. To procentuje. Natomiast w innych dziedzinach nauki jest gorzej. Współczynnik sukcesu jest relatywnie niski, co nie zachęca badaczy do starań o granty. Pozyskujemy środki z innych źródeł niż NCN, np. COST, NCBR czy regionalne pro-

gramy operacyjne, ale nie są to kwoty zadowalające. Chcę przy tej okazji podkreślić znaczenie stabilnego finansowania szkolnictwa wyższego. Uczelnia musi planować w skali cykli, których długość oceniam na około 7 lat, czyli dłuższych niż cykl kształcenia. A co się dzieje w przypadku literalnego stosowania algorytmu finansowania? Środki, które uczelnia otrzymuje, mogą zmieniać się każdego roku. Jeżeli rosną, to jest dobrze, ale jeśli zaczną spadać? Na dodatek wyniki ewaluacji, która jest co cztery lata, mogą w pewnych przypadkach sprawić, że uczelnia będzie dwukrotnie zmuszona do zmiany planów, ten cykl dwukrotnie będzie zaburzony. Tylko finansowanie stabilizujące daje szansę coś zaplanować i zrealizować. Uniwersytet nie może żyć w stanie ciągłego zagrożenia i niepewności. Jest instytucją długiego trwania. Gdy wprowadzono SSR na poziomie 13, była to dla nas katastrofa, bo mieliśmy współczynnik 17,2, co oznaczało stratę w subwencji rok do roku na poziomie ok. 2,5 mln zł. Zupełnie absurdalna sytuacja. Wprowadzono co prawda ograniczenie możliwego spadku finansowania w wysokości 4,5%, ale to było za mało. Dobrze, że wiceminister Sebastian Skuza, który rozumiał, co znaczy stabilność finansowa, zauważył ten problem.

W jakim stanie Uniwersytet w Białymstoku wyszedł z pandemii?

Na szczęście zawieszono działanie algorytmu, co z mojej perspektywy było dobrym posunięciem, gdyż finanse były w pewnym sensie stabilne. Najbardziej ucierpiała współpraca międzynarodowa. Studenci szybko przyzwyczaili się do zajęć zdalnych, resztą spora część kadry także, a co więcej – polubili ten sposób komunikacji do tego stopnia, że trudno było po zakończeniu epidemii wrócić do zajęć stacjonarnych. Początkowo byłem przez studentów zarzucany mailami, prośbami o kontynuowanie zajęć zdalnych. Było w tym trochę naszej winy, gdyż zamiast przekonywać ich do powrotu do zajęć bezpośrednich, często akceptowaliśmy stan „zdalności”, a jak wiadomo, im dłużej taki proces trwa, tym trudniej od niego odejść. Zatem powrót do normalności odbywał się z pewnymi oporami, tak ze strony studentów, jak i kadry. Uważam, że studia uniwersyteckie muszą się odbywać w trybie stacjonarnym. Już tryb niestacjonarny niesie pewne zagrożenia i uproszczenia, a co dopiero tak zwane studia zdalne. To tylko namiastka studiowania. W trakcie zajęć czy obron (również doktoratów) częstokroć uczestnicy zajmowali się wieloma innymi rzeczami, a nie tylko kwestiami naukowymi (np. gotowaniem). To nie powinno tak wyglądać. Traktujmy się poważnie. To nie tylko kwestia jakości, ale też po prostu dobrego smaku czy kultury osobistej. Uniwersytet to nie tylko nauka i studia sensu stricto, ale znacznie więcej. A to „więcej” to pewnego typu kultura akademicka, styl życia. Są one tak samo cenne, jak podstawowe, twarde własności życia uniwersyteckiego. A tego nie da się ani wdrożyć, ani pielęgnować w trybie zdalnym. Po trudnych początkach powrotu do trybu bezpośredniego widać już większą chęć odejścia od formuły zdalnej. Każdy już chce normalnego życia. Studenci znów organizują spotkania czy imprezy, np. Uniwersalia, a pracownicy stęsknili się za murami uczelni, znów zapraszają na konferencje, chcą być ze sobą. Obym nie zapeszył, ale chyba już zamknęliśmy ten kiepski etap.

Nie widzi pan żadnych korzyści z doświadczeń epidemicznych?

Korzyść jest taka, że w wielu miejscach poprawiliśmy wykorzystanie technologii informatycznych. Zaoszczędziliśmy też na niektórych kosztach. Jednak te korzyści wyglądają mizernie w stosunku do strat. Kształcenie zdalne nie daje wykształcenia uniwersyteckiego w pełnym tego słowa znaczeniu.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Uniwersytet w małym mieście?

Szanujący się profesor nie powinien udzielać swego nazwiska i autorytetu w instytucji, w której jest de facto wykładowcą, a badania naukowe prowadzi w uczelni akademickiej. Także student przejawiający chęć podjęcia badań na poziomie magisterskim powinien być skierowany do uczelni, w której jego zamierzenia mogą się zrealizować w pełni.

Mówiono niegdyś: „Polska krajem ludzi kształcących się”. Hasło to w latach sześćdziesiątych dotyczyło przede wszystkim oświaty na poziomie podstawowym (najstarsi pamiętają: „1000 szkół na tysiąclecie”!). Niedawno można było obserwować nieco podobne procesy i ambicje, tyle że związane ze studiami wyższymi (na dwu stopniach z łaski procesu bolońskiego). Przed ćwierćwieczem zaczęła gwałtownie wzrastać w Polsce liczba studentów, w krótkim czasie osiągając poziom ponad czterokrotnie wyższy niż na początku lat dziewięćdziesiątych XX w. i dochodząc do prawie 2 milionów. Uczelnie pojawiały się w dziesiątkach miast Polski powiatowej i gminnej, ich liczba przekroczyła 450, a współczynnik „skolaryzacji brutto” na poziomie wyższym przekraczał przez kilka lat 50%. Dziś, gdy fala opada, wypada spojrzeć na to zjawisko chłodnym okiem i podjąć próbę jego oceny.

Powstawanie szkół wyższych w miastach, które wcześniej uczelnie nie miały, przyczyniło się znacząco do wspomnianego wzrostu liczby studiujących. Początkowo były to szkoły niepubliczne, od końca lat dziewięćdziesiątych dołączyły do nich państwowe wyższe szkoły zawodowe. Oba typy uczelni, podlegając przepisom ustawy z 1997 roku, miały szansę dostosowywania specjalności kształcenia do potrzeb lokalnych, współdziałały z władzami na szczeblu wojewódzkim i powiatowym, wykorzystywały też inne możliwości stworzone przez ową bardzo dobrze pomyślaną ustawę. To w niej pojawiło się przecież kilka ustaleń przyjętych później w całym systemie szkolnictwa wyższego: pierwsza w Polsce ustawowo umocowana komisja akredytacyjna, konwent jako organ kolegialny ułatwiający współpracę z najbliższym otoczeniem, stanowisko kanclerza kierującego gospodarką i administracją uczelni. Co jednak najważniejsze, jako pierwszorzędne zadanie tych szkół wskazywano kształcenie na poziomie licencjackim lub inżynierskim (na dwa lata przed uchwaleniem deklaracji bolońskiej). Późniejsze regulacje ustawowe zmieniły ten stan, co wielu ocenia z perspektywy czasu jako niefortunne.

Warto wskazać – oprócz oczywistych zbieżności wynikających z ustaw – także różnice między uczelniami publicznymi i niepublicznymi. Najważniejszymi z nich wydają się motywa-

cje założycieli i sposoby działania: w większości szkół niepublicznych właściciele musieli ostrożnie szacować opłacalność, uwzględniać możliwości finansowe studentów i ich rodzin. Na ogół nie mogli w ogóle brać pod uwagę kierunków kształcenia, które wymagają drogich laboratoriów, toteż trudno znaleźć w szkołach niepublicznych studia techniczne, rolnicze czy medyczne. Państwowe uczelnie natomiast miały na uwadze bardziej misję edukacyjną niż wynik finansowy, a w dodatku mogły liczyć na bardziej efektywne pozyskiwanie funduszy na inwestycje i tzw. projekty miękkie. Te różnice wydają się oczywiście, prowadziły do ukształtowania się odmiennych strategii rozwoju owych dwu typów szkół wyższych. Dlatego krzywdzące wydaje się zrównywanie, w toczących się kiedyś i obecnie dyskusjach, publicznych uczelni zawodowych z niepublicznymi kształcącymi na tym samym stopniu.

Lokalne korzyści

Uruchamianie uczelni w mniejszych ośrodkach było z całą pewnością zjawiskiem istotnym dla społeczności lokalnych. Za najważniejsze należy zapewne uznać umożliwienie młodym ludziom edukacji na stopniu wyższym w pobliżu miejsca zamieszkania. Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na wyjazd po maturze do ośrodka akademickiego, bo – wbrew temu, co pewnie myśli wielu mieszkańców Warszawy, Krakowa i innych większych miast – studia bezpłatne nie są wcale bezpłatne dla mieszkających w Krośnie, Bochni czy Nowym Targu.



Sumienie nauczyciela akademickiego musi się buntować przeciw tej nierówności szans, którą systemy stypendialne wyrównują w pewnym tylko stopniu. Jako szczególnie bolesne ocenić trzeba sytuację, gdy dotyczy to osób uzdolnionych i pracowitych, ale pochodzących z niezamożnych rodzin. Z perspektywy kilkunastoletniej pracy równocześnie na uniwersytecie i w wyższej szkole zawodowej mogę stwierdzić, że co najmniej 30% studentów PWSZ należało do tej właśnie grupy. Gdyby przegrali oni naukę po zdaniu matury, byłaby to dla kraju strata, na którą nas po prostu nie stać.

Satysfakcja na studiach odbywanych w mniejszych ośrodkach jest zresztą obopólna, odczuwają ją także nauczyciele tych szkół: jeśli mierzyć sukces edukacyjny różnicą między początkiem studiów a ich końcem, to często bywa on większy w uczelni, która nie ma zbyt wielu laureatów olimpiad czy prymusów najlepszych liceów.

Lokalne uczelnie są niewątpliwie ważnym czynnikiem miastotwórczym. Pozwalają mieszkańcom z dumą myśleć o swojej miejscowości jako o centrum większego czy mniejszego regionu. Szkoła wyższa nobilituje, dołącza do innych ustanawiających prestiż instytucji, takich jak ośrodek kultury, biblioteka, muzeum, czasem teatr, galeria czy sala koncertowa. Mają swoje znaczenie imprezy, które tworzą życie studenckie (inauguracja roku akademickiego, majowe Juwenalia), a nawet elementy drugorzędne, jak przysłowiowe togi i gronostaje, pewnie ważniejsze dla lokalnej społeczności niż dla rektora i senatu uczelni. Umiejętne ułożenie dobrych stosunków z władzami miasta, ale także z istniejącymi w nim organizacjami i instytucjami rodzi korzyści dla obu stron.

Naturalne wydaje się, że uczelnia nawiązuje kontakty ze szkołami niższych stopni, na przykład stwarzając możliwości kształcenia się nauczycielom, ale też organizując różnego rodzaju zajęcia dla uczniów (oczywiście nie jest w tych działaniach bezinteresowna, widzi w nich bowiem przyszłych studentów). Stwarza też szansę dla seniorów, tworząc uniwersytety trzeciego wieku na wzór dużych uczelni akademickich.

Możliwość nawiązywania przez szkoły wyższe kontaktów międzynarodowych (na przykład w programie Erasmus) spra-

wia, że przyjeżdżają do nich studenci i wykładowcy z innych krajów. Są oni w niewielkiej miejscowości znacznie lepiej widoczni niż w dużym ośrodku. Również wyjazdy studentów polskich są dla nich często pierwszą wyprawą za granicę, umożliwiającą nie tylko zdobycie wiedzy, ale także nowych doświadczeń życiowych.

Korzyścią dla miejscowości, która jest siedzibą uczelni, wydaje się sam fakt, że szkoła wyższa jest z natury rzeczą pracodawcą co najmniej średniej wielkości, ma także fundusz stypendialny dla studentów, co oznacza, że w mieście pojawia się co rok kilkanaście lub kilkadziesiąt milionów złotych, których znaczna część wydawana jest na miejscu. Oczywiście nieco inaczej to wygląda w uczelniach publicznych niż w niepublicznych, ale zawsze jakaś część budżetu uczelni zasila lokalny rynek.

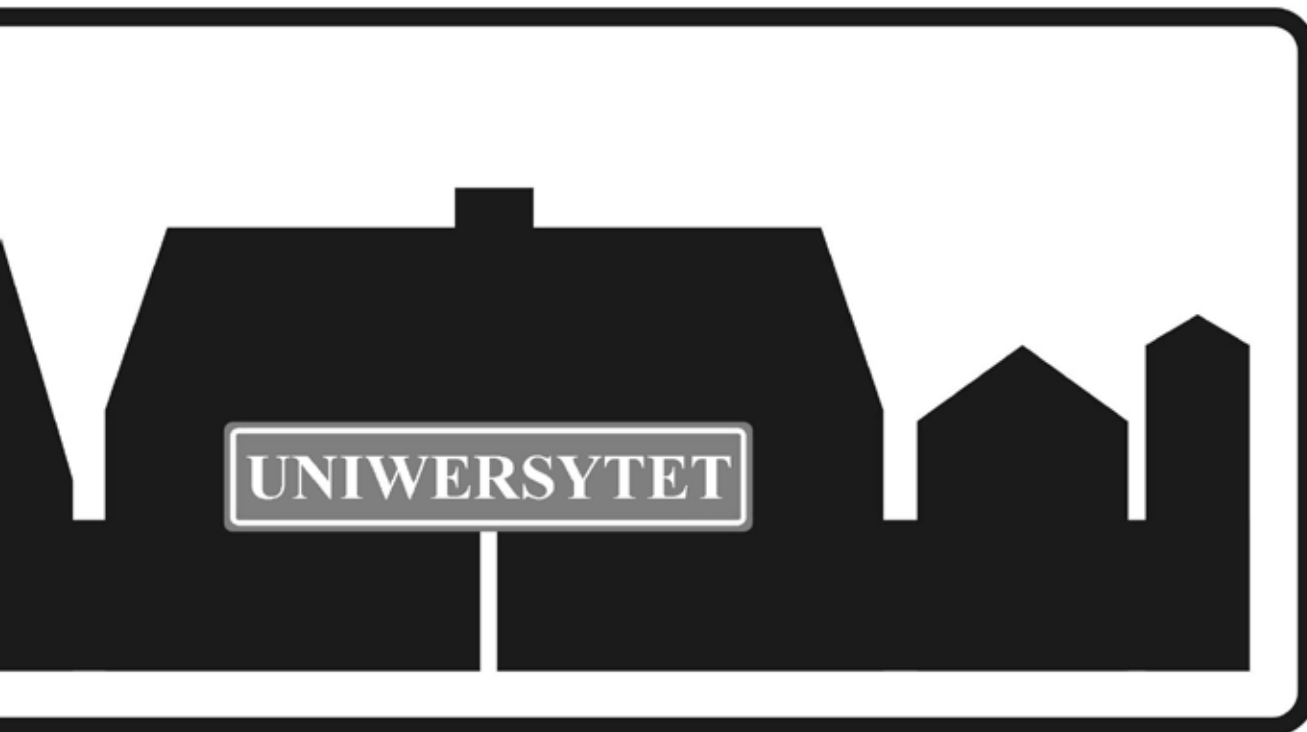
Niebagatelne znaczenie ma fakt, że studenci przebywają w siedzibie uczelni, stając się najemcami mieszkań, klientami sklepów i restauracji, pasażerami środków komunikacji. Uczelnia jest też usługobiorcą korzystającym z lokalnych firm.

Jeśli profil kształcenia jest odpowiednio dobrany, korzyści odnoszą również lokalne firmy, które mogą liczyć na zatrudnienie absolwentów, a gdy podejmą współpracę z uczelnią – wpływać na kształcenie zgodnie z własnymi potrzebami. To samo dotyczy władz lokalnych, które często zachęcają absolwentów do pozostania na lokalnym rynku pracy, przyjmując studentów na praktyki lub fundując nagrody dla najlepszych absolwentów.

Równie ważna wydaje się rola uczelni jako inwestora. Możliwość starania się o finanse z wielu źródeł, na ogół dobrze wykorzystywana przez rektorów i kanclerzy, przyczynia się do zbudowania lub unowocześnienia bazy dydaktycznej. Często dotyczy to budynków, które szkoła wyższa otrzymuje jako swoje „wiano” od władz lokalnych; zwykle wymagają one gruntownych remontów ze względu na swój stan techniczny. Takie inwestycje są na pewno bardziej widoczne w niewielkich ośrodkach niż w dużych miastach.

Rozczarowania i szkody

Wyliczone powyżej korzyści z istnienia uczelni w małym mieście składają się – można by myśleć – na sielankę, w której



Rys. Sławomir Makal

wszyscy są szczęśliwi. Oczywiście nie zawsze tak bywa. Wybrani przez mieszkańców włodarze miast mogą postrzegać szkołę wyższą jako uciążliwego petenta, zwłaszcza jeśli mają kłopoty w bieżącym zarządzaniu innymi sferami lokalnego życia. Może mieć jakieś znaczenie fakt, że tu i ówdzie samorządowcy są bardzo zaangażowani partyjnie; wtedy wystarczy, by rektor czy właściciel uczelni nie podzielał sympatii politycznych prezidenta lub burmistrza, a współpraca zaczyna kuleć. W dodatku nauczyciele akademicy to w pewnej części ludzie z zewnątrz, przynajmniej na początku. Niemal żadne z mniejszych miast nie dysponuje przecież kadrą naukową z wymaganymi cenzurami, trzeba więc zatrudniać pracowników z większych ośrodków, a ci z natury rzeczy – nawet jeśli, jak często bywa, związani są rodzinnie z prowincją – nie angażują się w życie lokalnej społeczności tak jak miejscowi. Rozwój własnej kadry jest najczęściej ambicją władz rektorskich, ale musi trwać wiele lat, podobnie jak inwestycje w infrastrukturę. To powoduje niekiedy zniecierpliwienie władzy samorządowej.

Nie jest też regułą, że wszystkie środowiska lokalne witają szkołę wyższą z entuzjazmem. Przedstawiciele miejscowych elit, wykształceni w renomowanych uczelniach i związani z nimi zrozumiałym sentymentem, bywają skłonni lekceważyć prowincjonalną „szkółkę”. Brak poparcia ze strony takich osób, piastujących wysokie stanowiska i szanowanych w mieście, aktywnych w miejscowych stowarzyszeniach, bywa dla uczelni nie małym dyskomfortem.

Poważne przeszkody w budowaniu wizerunku młodej uczelni mają charakter historyczny. Nie wszyscy mieszkańcy wielkich miast zdają sobie sprawę, jak wiele szkół w czasach minionych przyniosły edukacji lokalnej przeróżne „punkty konsultacyjne” czy „filie” dużych uczelni akademickich, zwane w Polsce powiatowej „Sorbonami”. Studia w takich instytucjach były często niewiele warte, jeśli nie zupełnie fikcyjne. Próby likwidacji owych „punktów” chyba nie wszędzie skończyły się powodzeniem, jest nadzieja, że położą im kres procesy demograficzne. W miejscowościach obdarzonych niegdyś takimi edukacyjnymi atrapami władze samorządowe mogą słusznie obawiać się zaangażowania swego autorytetu i wspólnego majątku w zakładanie uczelni lokalnych.

Jest i inny powód do tego zniechęcający: szkoły działające obecnie, ale źle zarządzane, często nastawione wyłącznie na łatwy zysk. Ta wstydliva strona edukacji wyższej, te współczesne „Sorby”, widoczne są głównie na prowincji. Wystarczy powędrować po stronach internetowych, by przekonać się, że nadal istnieją „uczelnie” pozbawione niezbędnej bazy dydaktycznej: własnych budynków, biblioteki działającej nie tylko w internecie, choćby śladu infrastruktury socjalnej dla studentów (dom akademicki, sala sportowa, klub lub przynajmniej sale do użytku samorządu). Wiele z nich prowadzi działalność w wynajętych salach; znany mi przypadek to wykłady w kinie, zajęcia innego rodzaju w szkole podstawowej w porze, gdy nie ma już w niej dzieci. Zresztą studia stacjonarne odbywają się tu i ówdzie wyłącznie w weekendy (według mnie wbrew prawu, a na pewno wbrew zdrowemu rozsądkowi). Wykładowcy i studenci pracują wtedy w piątkowe popołudnia (5 godzin lekcyjnych), całą sobotę (2 bloki pięciogodzinne) i w niedzielne przedpołudnie (5 godzin). Trudno sobie wyobrazić profesora, który jest w stanie utrzymać dobrą formę, gdy ma w jeden weekend ponad 15 godzin zajęć. Jakość kształcenia w takiej uczelni z pewnością nie jest pierwszorzędnym celem. Można przypuszczać, że profesura wymusza taki tryb pracy, bo jest to dla niej drugie lub kolejne zatrudnienie, a studenci godzą się, bo chodzi im głównie o dyplom. Obsada kadrowa niekiedy składa się z osób, których nie odnotowuje baza *Ludzie nauki* albo wskazuje ich zatrudnienie w innych uczelniach. Niemal jest też

„profesorów wędrownych”, którzy mają w swej karierze kilka lub kilkanaście miejsc zatrudnienia, i to nie najbardziej prestiżowych. Co ciekawe, takie „uczelnie” prowadzą nie tylko studia licencjackie, ale także magisterskie i chwalą się akredytacją PKA. Warto zachęcać Komisję do dokonywania audytu pracy własnych zespołów wizytujących, w interesie uczelni działających zgodnie ze standardami całego systemu szkolnictwa wyższego.

Uniwersytety w Polsce powiatowej?

I jeszcze kilka uwag natury ogólnej na temat kształcenia w uczelniach lokalnych. Powinny one dbać o własną specyfikę, czymś się różnić od szkół wyższych w dużych ośrodkach. Warto o tym rozmawiać w interesie samych tych uczelni, ale także przejrzystości systemu naszego szkolnictwa wyższego.

Daje się od pewnego czasu obserwować tendencja, że wiele uczelni prowincjonalnych, próbując wyprzedzić konkurencję, dąży do zapewnienia swym studentom możliwości studiowania na II stopniu. Zjawisko to przybiera na sile, ale wydaje się niebezpieczne i doprowadza do deprecjacji stopnia magistra. Większość uczelni podejmujących takie decyzje nie dysponuje ani kadrą profesorską, ani infrastrukturą badawczą, która by zapewniała odpowiedni poziom prac magisterskich. Można by długo dyskutować nad modelem uniwersytetu, ale wydaje się, że ważnym argumentem w takiej dyskusji jest stwierdzenie, że seminarium magisterskie wiązać się musi z prowadzeniem badań. Szanujący się profesor nie powinien udzielać swego nazwiska i autorytetu w instytucji, w której jest de facto wykładowcą, a badania naukowe prowadzi w uczelni akademickiej. Także student przejawiający chęć podjęcia badań na poziomie magisterskim powinien być skierowany do uczelni, w której te jego zamierzenia mogą się zrealizować w pełni. Tymczasem niekiedy oferuje mu się przejście całego curriculum od przedszkola do magisterium w jednym niewielkim mieście, w skrajnym wypadku nawet w jednym zespole budynków dydaktycznych.

Zresztą w Polsce nie potrzeba tak wielu absolwentów studiów ze stopniem magistra; rynek pracy nie ma sensownych propozycji dla znacznej ich części. Kształcenie magisterskie z prawdziwego zdarzenia jest kosztowne i w skali całego systemu szkolnictwa wyższego warto podjąć refleksję nad sensownością finansowania studiów drugiego stopnia, które służą głównie zaspokajaniu ambicji ich uczestników. Oczywiście odchodzenie od dominującego przekonania, że licencjat czy inżynier to gorszy absolwent studiów niż magister, wymaga rozsądnego działania i przemyślenia wielu spraw: stosowania rygorystycznych zasad przy akredytowaniu studiów magisterskich, odważnego odbierania uprawnień tam, gdzie kryteria nie są spełnione, dowartościowania studiów zawodowych, zwłaszcza o profilu praktycznym, w systemie dotacji i celowych grantów dla uczelni. To może zahamować nadmierne niekiedy ambicje rektorów i lokalnych władz, marzących o akademickim kształceniu w ich lokalnej szkole wyższej. Jeśli uniwersytety będą powstawać w Polsce powiatowej, będzie to oznaczać upadek idei uniwersytetu jako poważnej instytucji badawczej.

Warto natomiast podjąć na nowo temat kształcenia zawodowego na pierwszym stopniu. Tu prowincjonalne szkoły wyższe mogą odgrywać pierwszoplanową rolę, są bowiem być może bardziej w tych sprawach kompetentne niż wielkie uczelnie akademickie. Ale to temat nieco innej ważnej dyskusji...

Prof. dr hab. Janusz Gruchała, literaturoznawca, kierownik Katedry Edytorstwa i Nauk Pomocniczych Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 2004–2012 rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Krośnie.

Zbigniew Chojnowski

Lokalność uniwersytecka

Sensowne jest przemyślenie miejsca uniwersytetów lokalnych w polskim systemie szkolnictwa wyższego. A gruntowna refleksja powinna być oparta na uznaniu niezbywalności istnienia uczelni w takich ośrodkach, jak Białystok, Olsztyn, Słupsk, Szczecin, Zielona Góra, Opole, Bielsko-Biała, Częstochowa, Kielce, Rzeszów, Siedlce i innych.

Bez uświadomienia sobie, czym jest uniwersytet, nie sposób mówić, jakie zadania przed nim się rysują w wymiarze lokalnym. Bez wątpliwości uważam, że bez względu na to, gdzie znajduje się uczelnia, musi ona realizować idee uniwersytetu i przestrzegać zasad uniwersyteckości. Historia i życie uczą, że już samo stosowanie się do norm, wzorów, praw, celów przez określoną grupę osób ustanawia w jej otoczeniu społecznym wartość dodaną.

Władysław Stróżewski, filozof zajmujący się ontologią i aksjologią, kwestiami twórczości, twierdzi w książce *Logos, wartość, miłość* (Kraków 2013), że w cywilizowanym państwie uniwersytet jest dobrem nie do zastąpienia. Z jednej strony funkcjonuje w określonym miejscu i czasie, z drugiej łączy przeszłość i przyszłość, a także ustanawia twórcze kontakty z uczonymi z bliższych i dalszych obszarów świata. Uniwersytet według Stróżewskiego jest strażnikiem tradycji rozumianej jako „przekaz przeszłości współkształtujący terażniejszość”. W opinii uczonego powinnością nauczania na uniwersytecie jest tak oczywista, że szerzej nad nią się nie rozwodzi.

W refleksji nad uniwersyteckością zawierają się pewne niedopowiedziane oczywistości, jak ta, że na uczelni akademicy przekazują wiedzę, która wynika z ich zainteresowań badawczych. W zderzeniu z niskim poziomem przygotowania młodzieży pragnącej studiować nauczyciele w szkołach wyższych stają przed dylematem: douczyć czy wykładać. Dodać trzeba i to, że na skutek ostatniej reformy funkcja dydaktyczna uczelni została jakby zdegradowana (wtrącam „jakby”, bo uniwersytety z problemem tym próbują sobie radzić autonomicznie i w tej mierze są rozmaite rozwiązania). A przecież to, że na uniwersytecie kształcą się młodzi ludzie, decyduje o jego być albo nie być. Bez odpowiedniej liczby studentów placówce grozi rozwiązanie. Wygaszane są kierunki studiów, na które nie zgłaszają się chętni lub ich liczba jest zbyt mała w stosunku do ustalonych progów. Powoływanie nowych i tzw. atrakcyjnych kierunków ma zapewnić dopływ chętnych do studiowania, a to ratuje etaty. W konsekwencji nauczyciele akademicy muszą niekiedy radykalnie zmienić swój profil badawczy, co prowadzić może do zaprzepaszczenia ich wieloletniego dorobku naukowego. Wykładowca od filozofii staje się specem od kreowania trendów i wizerunku, historyk ekspertem od mediów, językoznawca zamienia się w znawcę kwestii logopedycznych, a literaturoznawca trudni się w praktyce kulturoznawstwem. Jak to się ma do obowiązku przypisania uczonemu do danej dyscy-

pliny? Na nic podpieranie się argumentem interdyscyplinarności, która staje się kulą u nogi wobec kryteriów sformułowanych w myśl założeń procedur ewaluacyjnych.

Idźmy dalej. Nie można zatrudnić pracownika z cenzusem naukowym, jeśli nie ma dla niego pensum. Z kolei zapewnienie sobie poborów na etacie badawczym wymaga na ogół zdobycia wysokobudżetowego grantu. Nawet jeśli uczony jest jego kierownikiem lub głównym wykonawcą, naraża się na dyskomfort. Realizowanie projektu naukowego jest okresowe i nie daje pracownikowi stabilizacji. Po powrocie na etat badawczo-dydaktyczny może się okazać, że nie ma dla niego godzin. Pomiędzy kwestię, że projekty dotyczące kulturowego dziedzictwa regionu przepadają z definicji.

Obiektywne tylko na pierwszy rzut oka

Prawda jest też inna, mianowicie taka, że uniwersytety lokalne (z wielu powodów) nie są w stanie powołać zespołów badawczych, które mogłyby sprostać eksperckim wymogom. Lokalność charakteryzuje się: zdecydowanie mniejszym współczynnikiem liczebności (zresztą nie tylko na uniwersytetach), krótszymi tradycjami akademickości, mniejszą liczbą dyscyplin (zwłaszcza tych przewidzianych do ewaluacji). W związku z reformami nauki i szkolnictwa wyższego, a także niskimi pensjami, wzrostem wymagań wobec nauczyciela akademickiego – w przeciągu ostatnich kilkunastu lat lokalne uczelnie stopniowo tracą zdolność do zachowania ciągłości kadrowej i wymiany pokoleniowej. Przewiduję, że za niedługi czas utrzymanie niektórych dyscyplin i kierunków studiów w mniejszych ośrodkach będzie wymagało pozyskiwania pracowników spośród osób związanych z uniwersytetami z wielkich miast.

Ale poddaję pod dyskusję problem zasadności liczbowego i statystycznego podejścia do funkcjonowania uniwersytetów. Bez uwzględnienia ich roli w zależności od lokalnych warunków państwo polskie w perspektywie wcale nieodległej przyczyni się do upadku uczelni uznawanych jako *minorum gentium*. Może dożyjemy czasów, w których chwalenie się, że „na naszym uniwersytecie” studiuje i pracuje dwadzieścia, trzydzieści i więcej tysięcy osób, będzie poczytywane za przejaw braku wyobraźni, nieracjonalności, marnotrawienia czasu, energii i pieniędzy, a także nieliczenia się z ideą uniwersytetu. Któż zdaje sobie sprawę z brutalnie zachodzących procesów, które sprzyjają uniwersyteckiej gigantomanii?

Pozytywnym wyjściem z tego trudnego, ledwie zarysowanego położenia byłoby (możliwe przecież) zawiązywanie się konsorcjów międzyuczelnianych. Ale jak ten sposób zwiększania potencjału badawczego pogodzić z tym, że każdy uniwersytet rozliczany jest osobno? Rektorzy rozliczani są z tego, jaką pozycję w różnych rankingach zajmuje ich uczelnia.

Uniwersytety niezależnie od tego, ile lat trwają, jak długo budowały swoje środowisko, swój prestiż, w jakim stopniu były zasilane finansowo w minionym czasie, jak wyglądają ich warunki demograficzne i społeczno-gospodarcze, są traktowane na równi. A równo to nie zawsze znaczy sprawiedliwie.

...bez względu na to,
gdzie znajduje się uczelnia,
musi ona realizować idee uniwersytetu
i przestrzegać zasad uniwersyteckości.



Rys. Sławomir Wólczyński

Trudno się zgodzić z opinią, że wszystkie mają te same szanse w staraniach o środki. Ich przyznawanie według algorytmu jest obiektywne tylko na pierwszy rzut oka. Na przykład ograniczona zdolność do odtwarzania kadry i ucieczka młodzieży do dużych aglomeracji miejskich, gdzie łatwiej o pracę, stawiają uczelnie lokalne w sytuacji, jeśli można tak powiedzieć, coraz bardziej przegranej.

Z powyższych i wielu innych powodów sensowne jest przemyślenie miejsca uniwersytetów lokalnych w polskim systemie szkolnictwa wyższego. A gruntowna refleksja powinna być oparta na uznaniu niezbywalności istnienia uczelni w takich ośrodkach, jak Białystok, Olsztyn, Słupsk, Szczecin, Zielona Góra, Opole, Bielsko-Biała, Częstochowa, Kielce, Rzeszów, Siedlce i innych. Każdy z nich ma swoją specyfikę, każdy z nich jest rezultatem ambicji podmiototwórczych miejscowych elit, samorządowców, długoletniego budowania tożsamości lokalnej bądź, nieco szerzej, regionalnej. Ich funkcjonowanie jest, a przynajmniej powinno być, czynnikiem, który działa przeciwko prowincjonalizacji danej społeczności.

W celu uzmysłowienia sobie, czym jest uniwersytet lokalny, wyobraźmy sobie niepolizowaną sieć inspiratorskich i twórczych relacji, które generuje wspólnota uniwersytecka. Ich zanik w przestrzeni lokalnej w konsekwencji doprowadziłby do degradacji jakości życia społecznego, kulturalnego oraz intelektualnego. Czy nasz kraj stać na obszary „różnych prędkości”?

Uniwersytety nieflagowe, położone z dala od największych miast w Polsce, odgrywają niemałą rolę swoistego regulatora demograficznego. Faktem jest odpływ tysięcy młodych ludzi z mniejszych ośrodków do metropolii. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby świeżo upieczeni maturzyści nie mieli żadnej oferty w pobliżu miejsca zamieszkania. Proces wyludniania się biedniejszych i mniej rozwijających regionów wciąż się umacnia.

W Polsce nawet wyobrazić sobie nie można uczelni, która by mogła istnieć przede wszystkim dlatego, że zatrudnia świetnych wykładowców, poświęcających się głównie dydaktyce. Dlaczego o tym wspominam, zastanawiając się nad zasadnością istnienia uniwersytetów lokalnych? Dlatego, że jeśli zostanie realnie uznana i usankcjonowana wysoka pozycja uniwersytetu jako instytucji nauczającej, powstanie szansa dla uniwersytetów mniejszych, właśnie lokalnych – pod pewnym warunkiem. Wprowadzenie balansu pomiędzy funkcją badawczą i dydaktyczną w pracy akademików jest koniecznością, przed którą stoją organizatorzy życia wyższych uczelni.

Przestrzeganie idei i zasad uniwersyteckości, niezłomne przekonania odpierają zakusy, aby nasze wszechnice przekształcić w wytwórnie licencjatów, magistrów i doktorów, a jednocześnie ośrodki o niskiej wydajności badawczej. Uniwersytet powinien być miejscem działalności naukowej, której wyniki przekazywane są studiującym. Maksyma nauczyciela akademickiego powinna brzmieć tak jak zawsze: badaj

i uczył. Jednakże należy ją urealnaczyć. Uczonemu z uniwersytetu lokalnego obarczają dodatkowo problemy, które zasygnalizowałem wyżej.

Uniwersytet nie może być czymś innym

Umasowienie i urynkwienie wykształcenia wyższego nie tyle zreformowało, ile zdeformowało sens i funkcjonowanie uniwersytetów, obniżyło ich poziom i podważyło ich tożsamość. Część studentów od jakiegoś czasu przywykła mówić o swej uczelni „szkoła”, a o zajęciach z adiunktami i profesorami „lekcje”. Sposoby zachwalania przez uczelnie studiowania zakrawają na groteskę, jakby uniwersytet był bardziej miejscem zabawy, miłego spędzania czasu niż wyężonej pracy umysłowej.

Uniwersytet lokalnie i ponadlokalnie służy społeczeństwu, ale właśnie jako twór, który nie da się zastąpić inną instytucją. Tylko uniwersytet jako taki może spełnić wyznaczone mu przez tradycję funkcje. Wszelkie jednostronne próby uczynienia z uniwersytetu wyższej szkoły zawodowej, zapleczka dla przemysłu, kształcenia specjalistów w wąskich dyscyplinach, firmy pomnażającej zyski czy też schlebającej snobistycznemu fetyszowi „wyższego wykształcenia”, wyjątkowego domu kultury, ośrodka nauczycieli, którzy więcej wiedzą od nauczycieli z niższych szczebli edukacji, miejsca ludycznego posługiwania się autorytetem nauki i uczoności, muszą prowadzić do rozmycia się idei i tożsamości uniwersytetu.

Jeśli uniwersytety wyrzekają się wielowiekowego posłannictwa, pewnego idealizmu, wolności, wszechstronności i bezstronności w dochodzeniu do prawdy o ludziach i świecie, stają się niepotrzebne. To zadziwiająco, że o trwaniu uniwersytetu ma decydować jego zdolność do przystosowywania się do oczekiwań gremiów, które nic lub niewiele rozumieją z uniwersyteckości. Podporządkowanie jej regułom rynkowym jest tak samo groźne, jak czynienie z niej narzędzia do sprawowania władzy lub instytucji powołanej do produkowania argumentów przemawiających za słuszością takiej czy innej, uznawanej za obowiązującą, ideologii.

Niejasność tego, czym jest uniwersytet, powoduje, że zaczęła się kolejna dekada, kiedy szkoły wyższe zamiast pogłębiać i umacniać swoją uniwersyteckość, są skazane na obmyślenie skutecznych strategii przetrwania i dostosowania się do zmieniających się przepisów. A przecież wysiłek powinien pójść w kierunku stworzenia takich ram i struktur organizacyjnych, mechanizmów, form wspólnoty akademickiej, dzięki którym nastąpiłaby dynamizacja i optymalizacja życia naukowego czy szerzej, umysłowego, które prymarnie warunkuje powstawanie wartościowych rezultatów badawczych, dydaktycznych, kulturalnych i zapewne wielu innych. O uniwersyteckości stanowi nie jego lokalne, regionalne, ogólnopolskie czy międzynarodowe usytuowanie, lecz faktyczny ruch i wymiana myśli. Zgadza się, trudno zmierzyć jego natężenie i jakość, ale to on powinien być „krwią” uniwersytetu.

System grantowy prowincjonalizuje uniwersytety

Intelektualno-poznawczej dynamiki nie wywołują konkursy na projekty badawcze, gdyż są one pisane wtedy, gdy da się określić wyniki, które mają one przynieść. Dyktat grantowy powoduje, że powstają izolujące się grupy interesu, doskonale wyczuwające koniunkturę. System konkursów na projekty tworzy sposoby zdobywania środków finansowych, przyczyniając się w minimalnym stopniu do kształtowania się etosu uczonego. Anonimowość ekspertów i względność kryteriów sprzyjają swoistej korupcji, a przynajmniej manipulowania recenzjami, punktacją w celu wyeliminowania środowisk, ośrodków i zespołów spoza centralistycznego klucza. Mówiąc krótko, system grantowy prowincjonalizuje uniwersytety niezależnie od

położenia geograficznego i od wypracowanych na nich tradycji. Wypełnianie wniosków, spełnianie formalistyczno-ekonomicznych wymogów, piętrzenie przepisów i kryteriów nie jest w stanie zastąpić prawdziwego życia umysłowego, którym rządzi nieprzewidywalność, spontaniczność i bezinteresowność, czyli permanentna innowacyjność.

Uniwersytet w perspektywie lokalnej ma szansę stać się tym, czym powinien być, ponieważ daje płaszczyznę do kształtowania się i umacniania autentycznej wspólnoty akademickiej. A jak ona istnieje w rzeczywistości? Widowym przejawem zaniku lub już nieistnienia wspólnotowości jest uwiad relacji mistrz – uczeń, wykładowca – student. W tym kontekście pomysł z okresu przed pandemią, aby zakładać e-szkoły, w których kontakt uczącego i uczącego się jest pośredni, czas zweryfikował negatywnie. Jedynie szkolnictwo oparte na bliskich relacjach i więziach między osobami ma sens. Uniwersytety lokalne są w stanie tworzyć je w większym stopniu niż uniwersytety ogromne.

Kolejnym zagrożeniem budowania wspólnoty jest, mówiąc delikatnie, anonimowość i spłaszczanie hierarchii. Równorzędne traktowanie pozycji członków wspólnoty akademickiej prowadzi do tego, że rozdział obowiązków jest nieracjonalny. Jednakże to otwartość na wszelkie inspiracje jest cechą postawy uczonego. Godność każdej osoby poszukującej prawdy, nawet jeśli jest ona trudna do uznania i przyjęcia, powinna być bezwzględnie uszanowana bez oglądania się na usytuowanie administracyjno-geograficzne.

O żywotności idei uniwersytetu stanowią ludzie reprezentujący określony styl życia, podporządkowany rozbudzaniu i zaspokajaniu głodu poznawczego. To specyficzny typ ludzki, który z powodu prawdy i dla prawdy oraz z potrzeby pomnażania wspólnego dobra intelektualnego, duchowego, etycznego współtworzy codzienność uniwersytetu.

Na koniec chcę zapytać o to, w jakim sensie lokalność jest szansą dla odrodzenia się idei uniwersyteckości, szczególnie w kontekście naukowych dociekań dziedzictwa kulturowego regionu. Rodzaj prowadzonych badań zarówno w obszarze nauk humanistyczno-społecznych, jak i ścisłych, przyrodniczych, technicznych itd. w każdej uczelni określa w mniejszym lub większym stopniu jej umiejscowienie. Jakkolwiek zupełnie oczywiste jest to, że przedstawiciele dyscyplin humanistycznych na uniwersytetach lokalnych biorą szczególną odpowiedzialność za zgłębianie, utrwalanie i upowszechnianie dziedzictwa kulturowego regionu. Przykładem niech będzie działający od ponad 10 lat zespół badawczy nowego regionalizmu. Grupuje on literaturoznawców uczelni z Białegostoku, Olsztyna, Słupska, Szczecina, Gorzowa Wielkopolskiego, Wrocławia, Katowic, Opola. Idee noworegionalne przyczyniły się do postawienia badań nad dziedzictwem kulturowym stref lokalnych na wyższy poziom, wzmogły zainteresowanie zjawiskami literackimi i im towarzyszącymi, które nie mieszczą się w dyskursie ogólnokrajowym. Nowy regionalizm udowodnił, że uniwersytety lokalne zagospodarowują rewiry humanistyki, nieobecne w zakresach poszukiwań badawczych ośrodków zorientowanych centralistycznie. Jak dla życia przyrody kluczowa jest bioróżnorodność, tak dla nauki rozmaitość przedmiotów badań.

Sposób istnienia, finansowania, ewaluowania, działania uniwersytetów lokalnych trzeba koniecznie przedyskutować. One nikomu nie zagrażają. Prawdziwym zagrożeniem byłoby przyczynianie się do ich stopniowej marginalizacji, a ostatecznie degradacji i likwidacji.

Prof. dr hab. Zbigniew Chojnowski, historyk literatury, dyrektor Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie

Społeczeństwo chłopskie i jego uniwersytety

Najważniejsze cechy kultury chłopskiej, przejawiające się w postawach polskiego społeczeństwa, niekiedy zasługują na negatywną kwalifikację, a z pewnego punktu widzenia są nawet niezbędne dla pomyślnego przebiegu wprowadzanych zmian i minimalizowania związanych z tym kosztów.

Trwające od ponad dwudziestu lat reformowanie pola akademickiego w Polsce często skłania przedstawicieli środowiska naukowego do refleksji zarówno nad słuszością obranych założeń, jak i nad konsekwencjami wprowadzanych zmian. Część osób zabierających głos w tej dyskusji uważa, że pomimo wielu niedoskonałości wprowadzany system pozwoli na osiągnięcie wyznaczonych celów, czyli dostosowanie nauczania do standardów zagranicznych, podniesienie poziomu prowadzonych badań czy umiędzynarodowienie wyników, przy czym sama słuszość przekonań o wyższości osiągnięć zachodniej nauki i konieczności jej dorównania zazwyczaj nie budzi wątpliwości. Pojawiają się jedynie pytania o skuteczność wybieranych środków i tempo działań dostosowawczych. Inni natomiast oponują przeciwko przyjmowaniu obcych wzorów, na przykład organizacji dydaktyki w szkołach wyższych (widząc w tym ryzyko obniżenia poziomu nauczania i utraty tożsamości poszczególnych dyscyplin) oraz sposobów oceny dorobku naukowego (twierdząc, że grozi to utrwalaniem peryferyjnego statusu polskiej nauki). Często formułowane są też obawy co do dalszego rozrostu biurokracji, która w coraz większym stopniu absorbuje samych naukowców, a ponadto stanowi narzędzie ich nadzoru i drobiazgowej kontroli. Najbardziej zdecydowane opinie na ten temat wygłaszali wybitni przedstawiciele różnych dyscyplin: Michał Głowiński upominał się o docenienie roli języka polskiego w publikacjach z zakresu humanistyki („Gazeta Wyborcza” 11 XII 2008), Andrzej K. Wróblewski ubolewał nad „marnością parametryzacji” („Forum Akademickie” styczeń 2014), Andrzej Walicki wskazywał, iż centralizm i odgórny tryb narzucanych reform zagrażają autonomii pola akademickiego i są formą biurokratyczno-etatystycznego totalitaryzmu („Gazeta Wyborcza” 1-2 VI 2013), zaś Karol Modzelewski dowodził, że wprowadzane reformy wskazują na zaurczenie „kultem rynku” i zdradzają „mentalność postkolonialną” („Gazeta Wyborcza” 15-16 I 2011).

Jako socjolog zajmujący się problematyką kultury wiejskiej chciałabym w tym miejscu odejść od tego rodzaju ogólnych sporów, za to rozważyć możliwość funkcjonowania nauki i szkolnictwa wyższego według zasad, które odpowiadałyby warto-

ściom oraz postawom polskiego społeczeństwa. Jak wiadomo, społeczeństwo polskie z uwagi na swój skład demograficzny, orientację aksjologiczną i prezentowane postawy jest określane jako „chłopskie”. Nie da się przy tym zaprzeczyć, że to dziedzictwo bywa najczęściej oceniane krytycznie – opisuje się je w kategoriach „barier mentalnych”, „fobii” oraz „balastu”, spowalniających pożądaną rozwój. Zwłaszcza w okresie transformacji socjologicznie poświęcili dużo miejsca wykazywaniu szkodliwości zjawisk uznawanych za pochodną wiejskiego rodowodu Polaków. Jednocześnie twierdzili, iż warunkiem powodzenia zmiany ustrojowej musi być zastąpienie starych postaw nowymi, stanowiącymi dokładne przeciwieństwo tych pierwszych. I tak, właściwym środowiskom wiejskim tradycjonalizm przeciwstawiano nowoczesność, autorytaryzm – otwartość i tolerancję, religijność – postawom laickim, homogeniczność – pluralizmowi, egalitaryzm i roszczeniowość – orientacji merytokratycznej i rynkowej, partykularyzm w rodzaju lokalizmu czy nacjonalizmu – uniwersalizmowi, a kolektywizm – indywidualizmowi.

Schematyzm takiego myślenia dawał o sobie znać w charakterystycznym z użyciem wymienionych określeń dosyć jednostronnego obrazu zarówno przeszłości, jak i przyszłości, ale przejawiał się też w pomijaniu świadectw zaprzeczających oczywistości prostych dychotomii albo nawet pokazujących pozytywne skutki zjawisk przypisywanych czasom „słusznie minionym”. Nie brano bowiem pod uwagę danych świadczących o tym, że na przykład (jak uważał Francis Fukuyama) zaufanie – ten niezbędny element kapitału społecznego, stanowiący warunek pomyślnego rozwoju gospodarczego – wymaga respektowania norm moralnych zawartych właśnie w tradycji, religii i innych pozornie „irracjonalnych” zjawiskach. Nie pamiętano też o obserwacjach Davida Landesa (który w pracy *Bogactwo i nędza narodów* przekonywał, że to nacjonalizm i związane z nim poczucie tożsamości, solidarności i wyższości decydują o sukcesie ekonomicznym) ani o wnioskach Michela Alberta, porównującego model kapitalizmu nadreńskiego i anglosaskiego (jednorodność społeczna, kooperacja nie zaś rywalizacja sprzyja stabilnym osiągnięciom gospodarczym),

ani nawet o konkluzji płynącej z szeroko zakrojonych międzynarodowych badań, a zawartej w znanej pracy *Siedem kultur kapitalizmu* Charlesa Hampden-Turnera i Alfonsa Trompenarsa („etos konkurencyjnego indywidualizmu jest skorelowany negatywnie z rozwojem gospodarczym. Nie stwierdziliśmy żadnego wyjątku w tej sferze”).

Nieumiejętnie przeprowadzona wielka zmiana

Przywołane tu, uproszczone rozumowanie było jednak zgodne z obranym w Polsce imitacyjnym i naśladowczym modelem transformacji, którego dodatkowa wada polegała na kierowaniu się książkowymi wzorami zamiast uwzględniania konkretnych świadectw empirycznych. Wiele wskazuje na to, że również reformowanie nauki i szkolnictwa wyższego przebiegało pod dyktando dosyć bezkrytycznie przejmowanych pomysłów, które abstrahowały od odmienności kontekstu historycznego i kulturowego, drastycznych różnic w poziomie finansowania nauki oraz pomijały milczeniem ewidentne patologie życia naukowego, stanowiące efekt proponowanych rozwiązań, a dostrzegane już od dawna na Zachodzie (S. Krimsky, *Nauka skorumpowana?* 2006; C.W. Mills, *Wyobrażenia socjologiczne* 2007; F. Furedi, *Gdzie się podzieli wszyscy intelektualiści* 2008). Na ile odwołanie się do szeroko rozumianego dziedzictwa kulturowego wsi pozwoliłoby uniknąć błędów popełnianych przez decydentów, ale także przeciwdziałać bierności znacznej części środowiska, które nie potrafiło skutecznie przeciwstawić się nawet najbardziej absurdalnym i szkodliwym innowacjom? Odpowiedź na to pytanie wymaga pokazania, że najważniejsze cechy kultury chłopskiej, przejawiające się w postawach polskiego społeczeństwa, niekoniecznie zasługują na negatywną kwalifikację, a z pewnego punktu widzenia są nawet niezbędne dla pomyślnego przebiegu wprowadzanych zmian i minimalizowania związanych z tym kosztów.

O tym, że „kultura ma znaczenie”, badacze przekonują od dawna, mając zazwyczaj na myśli przede wszystkim kształt życia politycznego w danym kraju lub jego rozwój gospodarczy, ale z całą pewnością kulturowo warunkowane sposoby myślenia i działania odgrywają istotną rolę także w innych obszarach. Przeświadczenie, że tradycyjne wartości oraz postawy mogą negatywnie wpływać na szansę modernizacji (co było dominującym wątkiem polskiego dyskursu transformacyjnego) w pracy zbiorowej pod takim właśnie tytułem, *Kultura ma znaczenie*, łączy się jednak z przekonaniem, iż przy spełnieniu pewnych warunków udaje się tak wykorzystać zastane dziedzictwo, które nie deprecjonując go ani tym bardziej nie postulując jego likwidacji, potrafi wykorzystać posiadane zasoby do dokonania niezbędnych reform. Mówi się wtedy o rekombinacji istniejących elementów, co zakłada nie ich eliminację, lecz pewną modyfikację, połączoną z nową conceptualizacją, z nadawaniem im nowych znaczeń oraz konotacji.

W taki właśnie sposób przebiegała modernizacja Japonii w okresie Meiji, w drugiej połowie XIX w., stanowiąca często przywoływany przykład udanego połączenia tradycji z nowoczesnością. Sukces „epoki światłych rządów” polegał na tym, iż udało się wtedy zbudować sprawną administrację, służbę zdrowia i szkolnictwo, a także potęgę przemysłową i militarną, kultywując jednocześnie poczucie tożsamości narodowej i przekonanie o własnej wyższości. Umiejętnie wykorzystano zatem elementy postawy zwanej megalomanią, o której Jan Stanisław Bystron już w pierwszym zdaniu swojej rozprawy pisał, iż wprawdzie nadmierna idealizacja własnej grupy bywa rzeczą szkodliwą, to jednak przeświadczenie o własnej wartości i wiara we własne siły „jest koniecznym warunkiem powodzenia zarówno dla jednostek, jak i dla całych grup społecznych”, a „podtrzymywanie tej wiary wśród społeczeństwa musi

być zawsze wytrwałą troską jego kierowników”, bo na takich właśnie podstawach wspierały się wielkie państwa i wyrastały bogate kultury. Otóż w Japonii posłużono się ideologią łączącą tradycyjne symbole oraz zalecenia konfucjanizmu z wyzwaniem nowoczesności, przy czym wartości indywidualistyczne zastąpiono etosem poświęcenia dla innych i dbałości o dobro wspólne. W rezultacie stworzono dobrze funkcjonującą mieszankę postfeudalnej, jeszcze niemal kastowej hierarchii z racjonalną merytokracją społeczeństw rozwiniętych, oszczędzając przy okazji społeczeństwu poczucia anomii, kryzysu tożsamości, zbiorowego poczucia winy i wstydu, czyli – ogólnie mówiąc – wszelkich zjawisk składających się na traumę kulturową towarzyszącą każdej „wielkiej zmianie”, jak to tłumaczy Piotr Sztompka, ale zwłaszcza tej przeprowadzanej nieumiejętnie, w sposób „szokowy”, a więc zadającej głębokie rany zbiorowej świadomości i tkance społecznej. Czyli dokładnie takiej, jaką zafundowano polskiemu społeczeństwu po roku 1989.

Zakorzenie we własnych tradycjach

Wiele wskazuje na to, że również terapia narzucana polu akademickiemu w Polsce spowodowała poważną traumę pracowników naukowych, zmuszanych do intensywnej produkcji tekstów w „manufakturach makulatury” (określenie Tomasza Szlendaka), do publikowania w wysoko punktowanych czasopiśmie zagranicznych i „wielogodzinne wypełniania absurdalnych rubryczek” wymaganych przez KRK („Forum Akademickie” 12/2014), wątpliwe natomiast, czy dzięki temu udało się zrealizować zakładane cele. „Naukowcy wpadają w depresję” – to wniosek płynący z badań, które w 2009 r. przeprowadziła Izabela Wagner („Rzeczpospolita” 7 X 2009), „pewne istotne cechy pracy młodego pracownika uczelni i ochroniarza w supermarkecie pozwalają postawić ich w jednym szeregu” – pisała Justyna Motrenko w artykule *Prekariusz w Akademii* („Polityka Społeczna” 9/2012), a badania Akademii Młodych Uczonych PAN zrealizowane w roku 2018 pokazały, iż profesor w PAN „zarabia tyle, co kasjerka w supermarkecie” („DGP” 23 VIII 2018).

Zasadne więc wydaje się poszukiwanie innych rozwiązań niż te, aplikowane dotąd polskiej nauce. Zgodnie z obranym tu punktem widzenia powinno temu towarzyszyć pytanie, jakie cechy szeroko rozumianej kultury polskiej, uznawanej za „chłopską” jeśli chodzi o najważniejsze postawy i wartości, pozwoliłyby na uniknięcie popełnionych błędów. W tym celu należy sięgnąć do ogólnych charakterystyk tej kultury, które przede wszystkim akcentują właściwy jej tradycjonalizm, czyli rezerwę wobec obcych nowinek, podkreślają też orientację na to, co najbliższe i najlepiej znane, na orbis interior. Pozytywne strony właściwej chłopskiemu myśleniu zachowawczości podnosił chociażby Jan Szczepański, akcentując jej moderującą rolę w spowalnianiu, oswajaniu i łagodzeniu zbyt nagłych przemian społecznych. Jak pisał, ta „siła inercji” pozwalała polskiej wsi i całemu społeczeństwu zachować dawne wartości i obyczaje, swojej podmiotowości, a więc uniknąć poczucia kulturowej bezdomności i wydziedziczenia. Obserwacja poczyniona przez Szczepańskiego oznacza zaś – jeśli odwołać się do określeń Janusza Goćkowskiego – że „gra o adaptację” nie musi wykluczać „gry o autentyczność”, ponieważ taka ostrożna, podwójna strategia umożliwia wypracowanie praktycznego kompromisu między wymogami postępu a „trwaniem w tożsamości etosowej”. Zdolność do „moderowania” aktualnych tendencji wydaje się zresztą tym ważniejsza, im szybsze jest tempo zmian, dlatego że – co radzi się np. kierowcom – w miarę jak wzrasta prędkość, należy tym częściej spoglądać w lusterko wsteczne.

Najwidoczniej, polskie środowisko naukowe nigdy nie posiadało tej umiejętności, co poświadcza obserwacja Bystronia dokonana już w 1917 r., kiedy to badacz skonstatował, iż pol-

ska socjologia „nie ma rozwoju historycznego, lecz wyłącznie logiczny: autorzy polscy znajdują się zawsze w żywym kontakcie z teoriami obcymi, nie znając przeważnie poprzednich prac polskich”. O tym zaś, iż taka postawa nie prowadzi w dobrym kierunku, przekonuje lektura książki Jarosława Kiliasa *Goście ze Wschodu. Socjologia polska lat sześćdziesiątych XX wieku a nauka światowa* (2017). Jak pisze autor, w tym okresie polska socjologia, choć wyraźnie obecna w obiegu międzynarodowym (głównie instytucjonalnym – organizacja i udział w konferencjach, członkostwo w stowarzyszeniach naukowych) miała nikły zasięg, jeśli chodzi o twórczość naukową, zaś polscy badacze byli na Zachodzie traktowani dosyć protekcyjnie: „jak małpy, które mówią po ludzku” – niby zza Żelaznej Kurtyny, a jednak orientują się w problematyce, doskonale znają dorobek zagranicznych kolegów, można z nimi porozmawiać. Zapewne sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby polscy socjologowie sami potrafili budować własne ujęcia teoretyczne, zamiast zadawać się rolą odbiorcy i komiwojażera najnowszych osiągnięć nauki zachodniej. Aby nie poddawać się bezkrytycznie obcym wpływom, niezbędne jest jednak spełnienie przynajmniej dwu warunków.

Pierwszym z nich jest silne zakorzenienie we własnych tradycjach, a więc gruntowna znajomość rodzimego dorobku, co niestety zawsze było słabą stroną polskich badaczy. Brak orientacji w dokonaniach swoich poprzedników, a zwłaszcza zapoznanie ich niejednokrotnie prekursorskiej wobec nauki zachodniej roli, skutkuje mikromanią i przekonaniem, iż tylko na Zachodzie „istnieje ‘nauka’ w takim stadium rozwojowym, które powszechnie uznajemy dziś za obowiązujące”, jak to autorytatywnie stwierdzał Max Weber w swoim eseju o etyce protestanckiej i duchu kapitalizmu. To przeświadczenie pociąga zaś za sobą poczucie, iż jedyną właściwą drogą może być naśladownictwo wypracowanych tam rozwiązań, przejmowanie metod i gotowych teorii i stosowanie ich do analizy własnego społeczeństwa. Owo fałszywe założenie uniwersalności zachodnich koncepcji, będących w rzeczywistości – jak zauważa Raewyn Connell w pracy *Teoria z globalnego Południa* – jedynie formą lokalnej etnosocjologii tamtych społeczeństw, służy znakomicie utrwalaniu dominującej, „metropolitarnej” pozycji nauki „Północy” wobec środowisk uprawiających myślenie postkolonialne. Badacze „geopolityki wiedzy” twierdzą nawet, że przyczynia się to do prowincjonalizowania i wasalizacji nauk „Południa”, a więc umacnianie hegemonii symbolicznej własnego pola akademickiego przez Centrum niejako kontynuuje antydemokratyczną tendencję, którą wcześniej realizował nastawiony na hegemonię polityczną, gospodarczą i militarną imperializm państw Zachodu.

Stworzenie licznych środowisk naukowych

Dlatego nie mogą dziwić apele takich badaczy, którzy – jak Ewa Domańska – piętnują „impotencję polskich badaczy do tworzenia własnych ujęć teoretycznych”, wskazując, iż grozi to „autokolonizacją” i utratą intelektualnej suwerenności, lub – jak Krzysztof Abriszewski – apelują o „patriotyzm epistemologiczny”. Pojawiające się w ostatnich latach w obszarze polskiej humanistyki wezwania do „epistemicznego nieposłuszeństwa” i uprawiania „nauki powolnej” – nieśpiesznej, rozważnej i spokojnej – z pewnością zasługują na większe zainteresowanie także ze strony przedstawicieli nauk społecznych, w tym socjologii. Co jednak szczególnie ważne, są jak najbardziej do pogodzenia z właściwą kulturze chłopskiej postawą pełną rezerwy wobec wszelkich innowacji. Dzięki temu zachodzące na wsi przemiany zawsze podlegały uprzedniemu oswojeniu i przystosowaniu do tradycyjnego kontekstu, a przez co rytm przemian stawał się wprawdzie wolniejszy, lecz za to łatwiejszy do

zaakceptowania. „Niekoniecznie pożądaną jest jak największa chyżość historyczna – zauważał Feliks Konecny w pracy *Polskie Logos i Ethos* (1921). – Pożądaną jest taka, jaką dane społeczeństwo może znieść”. Z przywołanymi wyżej określeniami dobrze koresponduje też propozycja „zrównoważonej epistemologii”, którą Domańska włącza w swój projekt „podwójnej dekolonizacji”: zewnętrznej, uwalniającej Polskę od podporządkowania światowym centrom tworzenia wiedzy, oraz wewnętrznej, pozwalającej małym ośrodkom akademickim w kraju na uniezależnienie się od największych uczelni flagowych usytuowanych w kilku ośrodkach wielkomijskich. Realizacja tego postulatu wymaga jednak spełnienia drugiego ze wspomnianych wcześniej warunków, a mianowicie stworzenia licznych środowisk naukowych.

W słynnym eseju *Literat a nauki klasyczne* Thomas S. Eliot pisał, iż prawdziwie wielka literatura to coś więcej niż suma jej najbardziej wybitnych pisarzy i ich arcydzieł. Literatura bowiem wymaga istnienia pisarzy największych, ale też tych drugo- i trzeciorzędnych, „a nawet jeszcze ostatnich”, bo dopiero wszyscy oni razem tworzą całość środowiska złożonego z geniuszy, ich naśladowców, interpretatorów oraz krytyków. Najważniejszą rolą takiego środowiska wcale nie jest hodowla noblistów, ale zapewnienie ciągłości tradycji i żyznej gleby dla podejmowania wielu prób – tych udanych i tych nieudanych. Odnosząc myślenie Eliota do realiów uprawiania nauki, należy uznać, iż także dla życia naukowego decydujące znaczenie ma istnienie wielu ośrodków różnej rangi i wielu środowisk prezentujących rozmaite poziomy naukowy, ale zakorzenionych w lokalnych kontekstach, które pozwalają tworzyć własne, oryginalne „teorie ugruntowane” – „teorie brudne”, jak pisze Connell, „brudne”, bo uwikłane w konkretną przestrzeń i czas. Każde takie środowisko ma szansę dokonywania wielkich odkryć i formułowania wpływowych idei pod warunkiem, iż znajdują się chętni, by je tworzyć i aktywnie w nich uczestniczyć, zamiast dołączać do grona klakierów w środowiskach już uznanych, o ustalonej renomie. Na temat tak rozumianego „patriotyzmu epistemologicznego”



nego” pisze w pracy *Kulturowe funkcje filozofowania* Krzysztof Abriszewski, pokazując, iż wielkość tych największych we współczesnej nauce wypracowali bynajmniej nie oni sami, ale ich „wspólnoty interpretacyjne”, gotowe wziąć na siebie rolę komentatorów, interpretatorów, a choćby i dekonstruktorów myśli „klasyka”. Dopiero dzięki istnieniu w ten sposób funkcjonujących środowisk, zainteresowanych głównie tym, co dzieje się w ich opłotkach, nowa koncepcja ma szansę zaistnieć, stać się tematem powszechniejszej debaty, a nawet narzucić na jakiś czas swoją wypracowaną lokalnie obiektywność innym ośrodkom.

Jedną z istotnych zalet teorii osadzonych w rodzimym kontekście historycznym i rozwijanych przez lokalne środowisko jest także to, że tylko one są w stanie dostarczyć ludziom żyjącym w danych warunkach adekwatnej samowiedzy, która będzie czymś więcej niż tylko efektem porównania z innymi, co zazwyczaj przybiera formę twierdzeń o własnych deficytach, niższości czy zapóźnieniu i staje się zaledwie „jaźnią odzwierciedlającą” cudze spojrzenie. Każde społeczeństwo powinno rozwijać własną naukę i kontynuować dziedzictwo myśli poprzedników, przekonywał Franciszek Bujak w odczycie *Nauka a społeczeństwo*, wygłoszonym w 1920 r. W przeciwnym razie nie

może rozwijać swojej indywidualności i zaczyna „patrzeć na świat i na siebie samo obcymi oczyma”.

Przywołane wyżej, najogólniejsze cechy chłopskiego etosu (tradycjonalizm, zachowawczość, nieufność wobec obcych nowinek, koncentracja na tym, co najbliższe i partykularne) okazują się zatem bardzo bliskie założeniom prezentowanym w uprawianej obecnie refleksji nad nauką, ale również odpowiadają ideom rozwijającym w Polsce zaraz po odzyskaniu niepodległości, kiedy to suwerenność w myśleniu postrzegano jako warunek suwerenności politycznej. Wizja licznych środowisk, składających się na pole akademickie kraju – uniwersytetów, instytutów badawczych, redakcji czasopism, gdzie w duchu epistemicznego nieposłuszeństwa kultywuje się raczej lokalne niż globalne tradycje myślenia, rozwija „naukę powolną” i koncentruje uwagę na tym, co partykularne, a nie uniwersalne, byłaby więc tyleż odpowiedzią na wyzwania współczesności, co i aktualizacją podstawowych zasad kulturowego dziedzictwa polskiej wsi, stanowiącego wszak rezydualne zaplecze postaw całego polskiego, „chłopskiego” społeczeństwa.

Prof. dr hab. Izabella Bukraba-Rylska, socjolog wsi i kultury lokalnej, pracuje w Collegium Civitas.



Rys. Sławomir Makal

Konteksty relacji uniwersytetów z otoczeniem społecznym

Uniwersytet musi prowadzić badania naukowe w kooperacji z otoczeniem, by być innowacyjnym, by współkształtować dydaktykę zorientowaną na potrzeby modernizacyjne. Poprzez badania kreuje ścieżki rozwoju akademickiego, integruje środowisko naukowe i otoczenie.

Zachodzące przemiany społeczne i technologiczne modyfikują otoczenie szkół wyższych, a w konsekwencji ich działalność badawczą i dydaktyczną. Wprawdzie różni je kontekst kontynentalny i narodowy, jednakże kierunek zmian wydaje się powszechnie obowiązującym. Determinuje go bowiem ta sama gama czynników na podłożu presji modernizacyjnej oraz integrowania systemów w otwartym i globalnym środowisku. Dla szkół wyższych w Europie warunki ramowe działania stanowią: charakter środowiska społeczno-gospodarczego, powiązanie oraz oddziaływanie z otoczeniem społeczno-gospodarczym, europeizacja i usieciowienie, otwarta nauka i cyberprzestrzeń, model kreowania i zarządzania wiedzą oraz polityki publiczne i zmiany instytucjonalne.

Charakter środowiska społeczno-gospodarczego

Wpływ otoczenia na szkolnictwo wyższe i naukę widoczny jest na wielu polach, najczęściej jest to wpływ na kierunek i tempo ich rozwoju, kreowanie ekosystemów wiedzy, kooperację i transfer wyników badań naukowych. Fakt występowania odmiennych modeli społeczeństwa i gospodarki, przynależności edukacji i badań do kompetencji państw narodowych (UE), skutkują pluralizmem rozwiązań instytucjonalnych, a także dysproporcjami w efektywności i jakości wyników. Zróżnicowanie rozwoju i struktur niesie ze sobą wielość doświadczeń i potrzeb rozwojowych. Jednakże równolegle standaryzuje się praca środowiska akademickiego wskutek procesów globalizacji/europeizacji oraz rozkwitu otwartej wiedzy i nauki. Charakter tych przestrzeni przekłada się na modele polityk sektorowych (efekt naśladownictwa, otwarta metoda koordynacji), badawczo-rozwojowych. Kreują one wartości i cele (rozwój zrównoważony, europejski model socjalny, społeczeństwo obywatelskie). Zmienia się z jednej strony funkcja wiedzy, która sil-

nie strukturyzuje społeczeństwa i gospodarki narodowe, zaś z drugiej gospodarka 4.0 oczekuje funkcjonalnego dostosowania uczelni, jej nauczania, standardów uprawiania nauki. Cele i wartości społeczno-kulturowe odnajdują się w ich ustroju wewnętrznym, w roli poszczególnych środowisk i specyfice odpowiedzialności (partycypacja i interesariusze).

Powiązanie oraz oddziaływanie z otoczeniem społeczno-gospodarczym

Przestrzeń relacji szkół wyższych z otoczeniem wypełniają: zorientowanie na innowacyjność i wyzwania społeczne, promowanie przedsiębiorczości i nowoczesnego zarządzania, współpraca, transfer i komercjalizacja.

Uczelnie osiągają innowacyjność łącząc: przedsiębiorczość, transfer i kooperację. Innowacyjność potrzebuje otwartych i interaktywnych relacji, sprzężeń, rozwijania i dystrybucji wiedzy. Uważa się, że tylko uczelnie aktywne badawczo dysponują potencjałem zmiany siebie i otoczenia, ale zależnie od swego charakteru przejmują zróżnicowaną odpowiedzialność. Nowoczesne instytucje potrafią współkształtować środowisko, uwzględniając ludzi, gospodarkę, podmioty publiczne i w tej formule nawiązywać do wyzwań milenijnych czy welfare state. Stanowi to podstawę rozwoju sieci naukowych i zasobów wiedzy. W zorientowaniu na rozpoznanie wyzwań społecznych oraz wyjściu im naprzeciw widzi się wyraz odpowiedzialności uniwersytetów i nauki.

Przedsiębiorczość i wynalazczość rozwijają się kompleksowo, obejmują wszystkie grupy interesariuszy. Intra- i entrepreneurship oznaczać powinny nie tylko probiznesową inklinację, znajomość mechanizmów zarządzania wiedzą, standardy prawne ochrony własności intelektualnej czy podstaw przedsiębiorczości. Lecz także – co ważne dla nauk społecznych i huma-

nistycznych – określoną postawę akademików i studiujących, definiowaną poprzez ich operatywność, pomysłowość, etyczność i zaangażowanie. Każda uczelnia posiada przecież własną specyfikę, na bazie której wypracowuje formułę swej obecności w szerszym środowisku.

Kooperacja i transfer są jednocześnie środkiem i celem rozwoju nauki i systemu społeczno-gospodarczego. Strony wypracowują punkty stykowe i wspólne mianowniki. Zachowując niezależność funkcjonalną i organizacyjną, w większym stopniu to uczelnie dokonują przekształceń wewnętrznych i modelu zarządzania. Współpraca – w zależności od potencjału stron – może przebiegać w formule (elitarnych) sieci, partnerstw, franczyzy, kooperacji projektowej, klastrów, kampusów, laboratoriów. Poprawia poziom integracji w ramach ekosystemu wiedzy i wokół wspólnych wyzwań, redukuje koszty i ryzyko uprawiania nauki. Dla kooperacji ważny jest czynnik bliskości i wzajemnego uzupełniania. Wymusza instytucjonalizację ról i funkcji, standaryzację pracy, transparentność finansową i wyników. Przybiera różną postać i jest prowadzona wieloma ścieżkami, odpowiadając specyfice uczelni. Są to ścieżki: dydaktyczna, praktyk i kształcenia dualnego, badawcza, usługowo-procesowa (np. w sferze społecznej), przemysłowo-technologiczna, międzynarodowa. Formatami kooperacji są kampusy, stowarzyszenia, centra badawcze i dydaktyczne. Skupiają szeregi podmiotów o różnym statusie, współkreują klastry, sojusze naukowe, linie badawcze (np. o długim okresie wsparcia), startupy. Centra badawcze i dydaktyczne mają interdyscyplinarny charakter, koncentrują się wokół wybranych obszarów, kojarzą przedstawicieli polityki i gospodarki. Warunkiem ich skutecznego funkcjonowania jest dwustronny transfer wiedzy, który ma cechy publicznego zaangażowania. Uniwersytety traktują transfer jak proces, zarówno pierwotny i pojemniejszy względem komercjalizacji. Dotyczy to szczególnie nauk społecznych i humanistycznych, które oddziałują na otoczenie poprzez usługi doradcze, analityczne, zarządzania publicznego. Ujmując szeroko wymianę wiedzy i technologii, jako zabieg wielokierunkowy, odnajduje się go albo w obrębie instytucji (kampusy, platformy, wspólne pola badawcze), albo w szerszym ekosystemie wiedzy/innowacji. Co do zasady służy on efektywnemu wykorzystaniu i rozwojowi inicjatyw naukowych.

Partnerstwo rodziło się w kooperacji uczelni i instytucji otoczenia, jest skutkiem dojrzenia rozwiązań, odpowiedzią na nowe plany i strategie rozwoju. Partnerstwa mają różną postać, od luźnej współpracy po strategiczne alianse ze wspólnymi instytucjami. Cechuje je duża dynamika przekształceń. Spotyka się rozwiązanie, w ramach którego partnerstwa strategiczne prowadzi się poprzez sieci naukowe, a ich cel sprowadza się do tworzenia przestrzeni badawczej i testowej. Centrom wyznacza się priorytety dotyczące: interdyscyplinarności, zorientowania na wyzwania społeczne czy tworzenia formuł transformacyjnych – łączenie dwóch podmiotów, wskazanie obszaru badań w postaci tzw. pomostów badawczych. Rozwiązanie to poszerza zakres kooperacji o atuty drugiej strony, pozwala zastosować niestandardowe rozwiązania. Strategiczne partnerstwa mogą tworzyć sieci i związki, czym podnoszą reputację i rozpoznawalność, kojarzą komplementarne kompetencje (np. w ramach klastrów doskonałości), inicjują pomosty badawcze czy ścieżki kształcenia.

Transfer technologii, prowadzony pod wieloraką postacią, adresowany jest szczególnie do gospodarki i przemysłu. Wykorzystuje się wiele jego duktów, np.: kampus przemysłowy, stowarzyszenia badawcze, inne celowe instytucje, np.: inkubatory, centra przedsiębiorczości, obszary badawcze, ośrodki przesyłu wiedzy o zasięgu regionalnym lub ogólnokrajowym (np. WTZ Austria). Instytucje te i przedsięwzięcia działają w reżimie zada-

niowym lub projektowym. Dominującymi kanałami transferu są: patenty i licencje, uniwersytecka przedsiębiorczość, programy, działalność kliniczno-diagnostyczna, wdrożeniowa. Nie należy zapominać o nieco szerszym zjawisku, w jakim lepiej czują się nauki społeczne i humanistyczne, tzn. o transferze wiedzy, oddziaływaniu, inicjowaniu procesów zmian – te dziedziny nauki udają się z sukcesem integrować ze środowiskową funkcją wobec miasta, regionu, z zarządzaniem publicznym.

Oddziaływanie społeczeństwa i gospodarki na naukę odnajduje się w:

- sposobie wytwarzania wiedzy naukowej w kierunku sieciowej;
- charakterze pracy naukowej w kierunku zespołowej;
- wykształceniu się multidyscyplinarnego warsztatu badawczego;
- finansowaniu badań i kształcenia za pomocą grantów;
- specjalizacji nauki i zmianie roli akademików;
- silnym rozwoju metod i narzędzi badawczych;
- postępującej złożoności badanych problemów;
- współdzieleniu wyników badań naukowych;
- uprzemysłowieniu badań naukowych i ich praktycznym zastosowaniu;
- wzroście anonimowości wyników badań (wielu autorów prac i przywołań);
- zmianie odpowiedzialności za wyniki badań naukowych – społeczna odpowiedzialność nauki i uczelni;
- rozwoju ilościowym i jakościowym obszaru badawczego;
- przeniesieniu coraz większej części nauki ze sfery publicznej do prywatnej oraz w kooperacji badawczej i wzajemnym współfinansowaniu badań/kształcenia;
- przenoszeniu nauki poza bezpośredni obszar akademickiego oddziaływania.

Europeizacja i usieciowienie

Oddziaływanie UE na naukę i uniwersytety zachodzi w trzech wymiarach: tworzenia i integrowania europejskiej przestrzeni badań, szkolnictwa wyższego oraz infrastruktury badawczej; posługiwania się strategiami, planami, instytucjami oraz instrumentami wsparcia; kreowania instytucji i mechanizmów nadzoru, controllingu i ewaluacji.

Zbieżnym celem ERA i EHEA jest budowanie spójnego „wewnętrznego” rynku badań, przepływ wiedzy, osób i technologii, bowiem cyrkulacja wiedzy uchodzi za piątą wolność EU. Zacieśnianie relacji przyspiesza rozwój, poprawia konkurencję i alokację zasobów. ERA skupia się na promocji B+R oraz na zaszczepianiu i integrowaniu organizacji badań i instytucji naukowych. Dąży się do tworzenia ram wsparcia w budowaniu nowoczesnego społeczeństwa i konkurencyjnej gospodarki, odpornej technologicznie i zapewniających bezpieczeństwo. W urzeczywistnianiu ERA pomocne są przede wszystkim efektywne narodowe systemy badawcze, zorientowane na podejmowanie najważniejszych zagadnień oraz należycie wykorzystujące inwestycje publiczne. Na poziomie zasobów ludzkich za kluczowe uchodzą otwarte rynki pracy dla naukowców, wczesna samodzielność badawcza, środowiskowa inkluzja. Z kolei w dążeniu UE do bycia liderem zaawansowanej wiedzy i technologii niezbędne są: właściwa cyrkulacja i upowszechnianie wiedzy naukowej oraz międzynarodowa współpraca. Oddziaływanie UE przebiega w myśl strategii i map rozwoju, i integruje sfery: dydaktyczną wielu szczegółli nauczania, badawczo-przemysłową, społeczno-rozwojową regionów i gospodarek

narodowych. Dąży się do tworzenia pomiędzy nimi punktów stykowych, do harmonizacji i modernizacji oraz – finalnie – do umacniania europejskiej naukowo-technologicznej konkurencyjności.

Realizowana ścieżka rozwoju szkół wyższych pozwala dostrzec dwa zjawiska, tj. europeizację modelu humboldtowskiego oraz globalizację (najlepszych) uniwersytetów europejskich. Łącznie orientują się one na europejską przestrzeń badawczą i edukacyjną, na standardy uprawiania nauki oraz zintegrowanie z celami rozwojowymi UE (Horyzont Europa). Podkreśla się wagę przynależności do prestiżowych organizacji, stowarzyszeń i sieci naukowych, co z jednej strony potwierdza posiadaną pozycję, a z drugiej wzmacnia aktywność badawczą i dydaktyczną. Stanowi także wyraz unijnej subsydiarności (np. ESFRI). Wprawdzie uczelnie wypracowują na potrzeby swego doskonalenia własne rozwiązania, ale nie do przecenienia są warunki ramowe tworzone przez poszczególne państwa: dyplomacja naukowa i otoczenie biznesowo-finansowe (Szwajcaria), kojarzenie nauki z ekspansją gospodarczo-technologiczną (Niemcy), promocja narodowych wartości (np. język francuski w międzynarodowej Genewie). W krajach rozwiniętych cywilizacyjnie i technologicznie nauka wraz z ekonomią wzajemnie się uzupełniają w roli luksusowego towaru eksportowego.

Otwarta nauka i cyberprzestrzeń

Otwarta nauka wyraża w swej najpełniejszej formie symbolizację globalności świata i nauki. Nie koncentrując się wyłącznie na przekazywanej treści, rozwija jej narzędzia, metodologię. Zabiega o kumulowanie i nieskrepowany dostęp do wyników. Jej atutem jest natychmiastowy obieg informacji, możliwość przeniesienia, testowania, ewaluacji. Na tej bazie wszczepia się badania do nauczania akademickiego, dostarczając jednocześnie metod i narzędzi dydaktycznych (Open Methodology, Open Education). Pozwala środowisku doskonalic standardy pracy i uprawiania nauki. Open należy traktować jako zasób inwestycyjny i jednocześnie przestrzeń ekspansji, akcelerator rozwoju nauki i otoczenia poprzez efekt synergii (Citizen Science). Perspektywa politologiczna i społeczna jednocześnie podpowiada, że Open Knowledge/Science pomagają ustrzec się przed monopolizacją ośrodków wiedzy (i władzy) oraz wspomagać wyrównywanie dysproporcji rozwojowych. Ponadto w Europie otwartość nauki, społeczeństwa i gospodarki ułatwia pogłębienie europeizacji – ośrodki akademickie i badacze sprawniej się integrują, a także efektywniej kooperują.

W ostatnim okresie szczególnie na znaczeniu zyskała cyberprzestrzeń. Wkroczyły do niej: zarządzanie uczelnią, nauczanie, komunikacja naukowa, popularyzacja wiedzy, dyplomowanie, procedury awansowe. Rozwój nowych metod i narzędzi dydaktycznych jawi się jako najbardziej aktualne wyzwanie cyberedukacji oraz rozwoju otwartej nauki, baz danych i zasobów wiedzy. Digitalizacja jest korzystna dla uczelni pod względem finansowym i organizacyjnym, dlatego należy oczekiwać hybrydyzacji w zarządzaniu i świadczeniu usług. Mieszane modele organizacji pracy będą wymagać rozwoju i stałego doskonalenia w sferze badań, kształcenia, ewaluacji. Nowe kompetencje studenta/absolwenta muszą zostać powiązane z zapleczem IT, tak też rozwijane wspólnie i postrzegane przez pracodawców.

Model kreowania zarządzania wiedzą

Specyfika wyzwań badawczych ma charakter przekrojowy (np. zdrowie, żywność, energia, środowisko, komunikacja), zatem i badania muszą być inter- i międzydyscyplinarne, istotne społecznie oraz „zakotwiczać” naukowców. Wokół nich uczelnie budują ścieżki badawcze, politykę kadrową, tworzą kierunki studiów. Przywiązują wagę do zarządzania wynikami badań, danymi i do ochrony własności intelektualnej (menadżeryzm wiedzy). Do wykształcenia się z uczelni podmiotów typu instytucja wiedzy i ucząca się niezbędne okazały się trwałe inwestycje w kapitał ludzki i kulturę organizacyjną. Ale jednocześnie podkreśla się ewolucję i nieodzowność progresji otoczenia. Wymiennosc ról usługobiorcy, zleceniodawcy, płatnika badań zacieśnia relacje, tworzy powiązania i zależności, uwspólnotawia decyzje/ryzyko oraz przyspiesza procesy modernizacyjne. Dotychczasowe zadania uczelni, sprowadzające się do realizowania badań naukowych i nauczania, uzupełniono kolejnymi, tj. zinstytucjonalizowanym zarządzaniem wiedzą i zorganizowaną, wielosektorową dystrybucją i jej komercjalizacją.

Popyt na wiedzę generuje zapotrzebowanie na (wysokiej jakości) badania naukowe, stąd kluczowość autonomii badawczej i niezależność instytucjonalna uniwersytetów oraz przeświadczenie, że do wytworzenia takiej wiedzy niezbędne pozostają węzłowe zasoby własne i otoczenia. Użyteczność wiedzy odnosi się w szczególności do jej relewantności społeczno-ekonomicznej.



Praca akademików (w gospodarce 4.0):

- Rutynowe (niektóre) czynności akademickie ulegną digitalizacji i zostaną zastąpione przez działania kompleksowe.
- Praca z digitalnymi technologiami stanie się stałym elementem akademickiego profilu kompetencji.
- Przy wykorzystaniu Big Data pracę zdominują czynności osadzone na badaniach, a instytucjonalne granice badań stają się przepuszczalne.
- Wzrasta zapotrzebowanie na akademickie kwalifikacje, powstają dla nich nowe obszary zawodowe / zatrudnienia kształtowane przez interakcję człowieka i maszyny, a także digitalizację.
- Coraz więcej osób z kwalifikacjami zawodowymi potrzebuje kompetencji akademickich, a coraz więcej akademików wiedzy zawodowej/specjalistycznej.
- Uczenie i praca wzajemnie na siebie wpływają.
- Wzrasta poziom własnej odpowiedzialności względem nowych form pracy zespołowej.
- Generacja młodych akademików zmienia świat pracy 4.0.

Uniwersytet musi prowadzić badania naukowe w kooperacji z otoczeniem, by być innowacyjnym, by współkształtować dydaktykę zorientowaną na potrzeby modernizacyjne. Poprzez badania kreuje ścieżki rozwoju akademickiego, integruje środowisko naukowe i otoczenie. Uniwersytety uprawiają szeroki zakres badań: podstawowe, aplikacyjne i stosowane. Badaniom podstawowym nadaje się priorytet, gdyż rozwijają dyscypliny, mają potencjał do przełomowych zmian. Prowadzi się je w „ich rdzeniu i na obrzeżach”, przekrojowo, na styku dyscyplin i pomiędzy ośrodkami. Z kolei badania stosowane definiuje się problemowo.

Polityki publiczne oraz zmiany instytucjonalne

Środowiskiem aktywności uczelni są jednocześnie poziomy: narodowy, unijny, globalny oraz cyberprzestrzeń, przy czym każdy z nich wprowadza specyficzne wymagania (np. prawne, jakościowe), stanowi wyzwania (np. konkurencyjność, technologia), a także otwiera pole do własnego rozwoju i ich penetracji. Adaptacja organizacji i modelu zarządzania szkół wyższych dokonuje się z uwagą na modyfikację powinności i ewolucję środowiska. Ulega reorientacji społeczna funkcja podstawowych wytworów działalności uczelni, a one same przybierają cechy instytucji społeczno-gospodarczych, funkcjonalnie zintegrowanych z otoczeniem i działających na jego rzecz. Do sprofilowania uniwersytetów przyczyniły się programy i strategie rozwoju szkolnictwa wyższego, wymuszając mechanizm konkurencji ich mocnymi stronami, a te atuty z upływem czasu przerodziły się w wiodące obszary badań (doskonałość badawcza). Następnie uczelnie zinstytucjonalizowały je w strukturze i funkcjach (centra, klastry, kampusy, szkoły doktorskie).

Uczelnie – jako społecznie zaangażowane i odpowiedzialne – uwzględniają aspekty socjalne i etniczne grona studiujących, kadry akademickiej. Generalnie dąży się do urzeczywistnienia zasady, że powinny one odzwierciedlać strukturę/obraz społeczny przez pryzmat kategorii płci, pochodzenia społecznego, zaplecza socjalno-ekonomicznego. Promują mobilność i umiędzynarodowienie, kształcenie przez całe życie. Realizują trzecią misję uniwersytetu i jednocześnie się profilują. Pełnią rolę środowiska pracy i pracodawcy, są wspólnotą wszystkich pracowników i pokoleń, zwracając szczególną uwagę na osoby młode. Dominuje model zrównoważonego rozwoju w kulturze organizacyjnej (work-life balance) i zielony ład (energooszczędność, ekologizm, wegetarianizm w żywieniu zbiorowym). Oczekuje się nie tyle receptywności uniwersytetów, ile: integrowania kształcenia i badań naukowych na rzecz zmiany społecznej; aktywnej postawy wobec otoczenia; kooperacji zorientowanej na oddziaływanie, rozwój i dystrybucję wiedzy; innowacyjności, doskonalenia i pomnażania zasobów; nowoczesnego podejścia do zarządzania oraz integrowania różnych środowisk; działania w poczuciu odpowiedzialności za rozwój wiedzy i względem społecznych wyzwań.

Tekst bazuje na analizie i wnioskach zawartych w autorskiej książce pt. *Uniwersytet (w) sieci*, Warszawa 2021.

Dr hab. Krzysztof Szewior, politolog, pracuje na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego



Był: Sławomir Makel

Dziedzictwo kulturowe w krajobrazie wiejskim

Moje badania związane z wsiami skierowane były na sprecyzowanie wyróżników krajobrazu wiejskiego, rozumianego jako wyraźny ślad działań w krajobrazie poprzednich pokoleń, czyli elementów widocznego w nim dziedzictwa kulturowego.

Dziedzictwo kulturowe jest bardzo szerokim zagadnieniem, obejmującym to, co poprzednie pokolenia przekazywały czy nadal przekazują swoim potomnym w postaci materialnego produktu czy niematerialnych wartości. Dziedzictwo kulturowe możemy rozpatrywać w różnych aspektach, w zależności od przyjętych kryteriów czy charakteru specjalności, w której jest ono analizowane. Szczególnym nawarstwieniem dziedzictwa kulturowego charakteryzuje się krajobraz kulturowy, w którym poszczególne pokolenia zostawiają po sobie ślady, widoczne przez wiele następnych lat. Czasem są to świadome działania zmierzające do upiększenia swego miejsca zamieszkania czy jego otoczenia, ale najczęściej są to efekty codziennego funkcjonowania danej społeczności zamieszkującej określony obszar.

Zmienność i dynamika krajobrazu są jego cechami charakterystycznymi. Z jednej strony ta specyfika dodaje krajobrazowi kulturowemu pozytywnych wartości, ze względu na możliwość odczytywania w nim i identyfikowania śladów dawnych użytkowników, ale z drugiej powstaje problem z jego interpretacją, użytkowaniem, gospodarowaniem i właściwym współczesnym kształtowaniem. Od lat pojawia się pytanie: Jak zmieniać krajobraz, aby dawne zapisane w nim przez poprzednie pokolenia wartości nie zostały bezpowrotnie zatraczone? Co zostawiać, kontynuować, a z czego zrezygnować, zamieniając na zagospodarowanie odpowiadające współczesnym wymaganiom i potrzebom?

W Polskim prawodawstwie pojęcie krajobrazu kulturowego pojawiło się po raz pierwszy w 1990 roku, przy zmianie Ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach z 1962 roku, jednak jego konkretna definicja zamieszczona została dopiero w 2003 r. w Ustawie o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. Definicja ta uległa niewielkiej modyfikacji przy wprowadzeniu w 2015 roku tzw. ustawy krajobrazowej, będącej elementem wdrażania w naszym kraju Europejskiej Konwencji Krajobrazowej z 2000 r. Finalnie krajobraz kulturowy to „postrzegana przez ludzi przestrzeń, zawierająca elementy przyrodnicze i wytwory cywilizacji, historycznie ukształtowana w wyniku działania czynników naturalnych i działalności człowieka”. „Ustawa krajobrazowa”, czyli Ustawa z dnia 24 kwietnia 2015 r. o zmianie niektórych ustaw w związku ze wzmocnieniem narzędzi ochrony krajo-

brazu, po raz pierwszy wprowadziła do polskiego prawodawstwa pojęcie samego „krajobrazu”, a także „audytu krajobrazowego” mającego na celu określenie tzw. krajobrazów priorytetowych, najcenniejszych przyrodniczo, ale również najbardziej wartościowych ze względu na znajdujące się w nich elementy dziedzictwa kulturowego. Obecnie audyty są w trakcie opracowania w poszczególnych województwach i w efekcie będą określały m.in. obszary zabudowane wyróżniające się lokalną formą architektoniczną oraz lokalizację przedpoli ekspozycji, osi widokowych oraz punktów widokowych w granicach krajobrazów priorytetowych. Daje to szansę na zwrócenie uwagi na te formy dziedzictwa kulturowego, które związane są z krajobrazem, także wzmocnienie ich prawnej ochrony.

Wsie czy osiedla wielofunkcyjne?

Specyficzne, regionalne dziedzictwo kulturowe wiąże się przede wszystkim ze wsią i jej krajobrazem, który jest nośnikiem kultury danej społeczności. Dziedzictwo kulturowe wpisane w krajobraz wiejski w Polsce nie zawsze jest doceniane i rozumiane, utożsamiane przez społeczeństwo jako pozytywna wartość. Są tego różne przyczyny. Wieś z jednej strony kojarzy się z sielanką, idyllą, naturą, ale z drugiej strony wręcz odwrotnie – z ubóstwem, ciężką pracą na roli lub w gospodarstwie, brakiem wygód i odpowiedniego standardu życia, odpowiadającego współczesnym możliwościom. We wschodniej części Polski drewniane budynki mieszkalne, najczęściej o niewielkich kubaturach, utożsamiane są przez mieszkańców wsi z biedą, niedostatkiem, przez co najchętniej wymieniane są na murowane, o znacznie większych kubaturach, a przy tym zunifikowanych, jednakowych w całej Polsce „katalogowych” formach. Z kolei problemem w zachowaniu czy kontynuacji krajobrazowego dziedzictwa kulturowego w zachodniej części Polski jest przerwanie ciągłości kulturowej na tym obszarze. W wyniku zmian granic powojennej Polski nastąpiły przesiedlenia i wprowadzenie ludności o odmiennej kulturze w miejsce, w którym był zupełnie inny sposób zagospodarowania wsi, a przy tym wyższy stopień zaawansowania kultury rolnej. Poza tym było to miejsce, w którym widoczne były elementy dziedzictwa kulturowego okupanta. Słowo „poniemiec-

kie” oznaczało w pierwszych powojennych latach, że można zastane elementy kultury materialnej zanegować, a co za tym idzie zniszczyć, a przede wszystkim nie kontynuować ich cech charakterystycznych. Na tych obszarach utrzymywało się także przez wiele lat po 1945 roku poczucie tymczasowości, powodujące brak remontów i modernizacji obiektów budowlanych czy całych gospodarstw.

Natomiast głównym problemem dotyczącym wszystkich obszarów wiejskich, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, są zmiany w sposobie ich funkcjonowania. Wsie przestały być miejscem zamieszkania ludności głównie utrzymującej się z rolnictwa. Zmieniają się na osiedla wielofunkcyjne, najczęściej z dominującą zabudową o funkcji mieszkaniowej. Z tego powodu nie ma potrzeby kontynuacji typowej dla dawnych wsi zabudowy zagrodowej, a także utrzymywania tej już istniejącej. Przy czym dodatkowo zmiany i rozwój technologii produkcji rolnej wpływają m.in. na sposób przechowywania produktów rolnictwa, co przyczynia się do znikania z krajobrazu wsi, nawet w funkcjonujących gospodarstwach, już istniejących budynków składowo-gospodarczych – stodoł, tak charakterystycznego dla dawnej zabudowy wiejskiej elementu zagrody. W wyniku tych procesów konieczne staje się wypracowanie nowego podejścia do projektowania zabudowy we współczesnych wsiach, a także znalezienie odpowiedzi i podjęcie decyzji czy możliwe jest przy tym kontynuowanie specyficznych cech regionalnej architektury.

Wyróżniki krajobrazu wiejskiego

W prowadzonych przeze mnie od ponad 30 lat badaniach krajobrazu wsi na terenie Dolnego Śląska i Opolszczyzny rozpatrywane były możliwości kontynuacji dawnych wartości związanych z krajobrazowym dziedzictwem kulturowym wsi. Istotne przy tym było wykorzystanie pojęcia „wyróżnika krajobrazu”. Samo znaczenie słowa wyróżnik używane jest w analizach krajobrazowych w różnym kontekście. Najczęstsza jego interpretacja łączy się z identyfikowaniem cech charaktery-

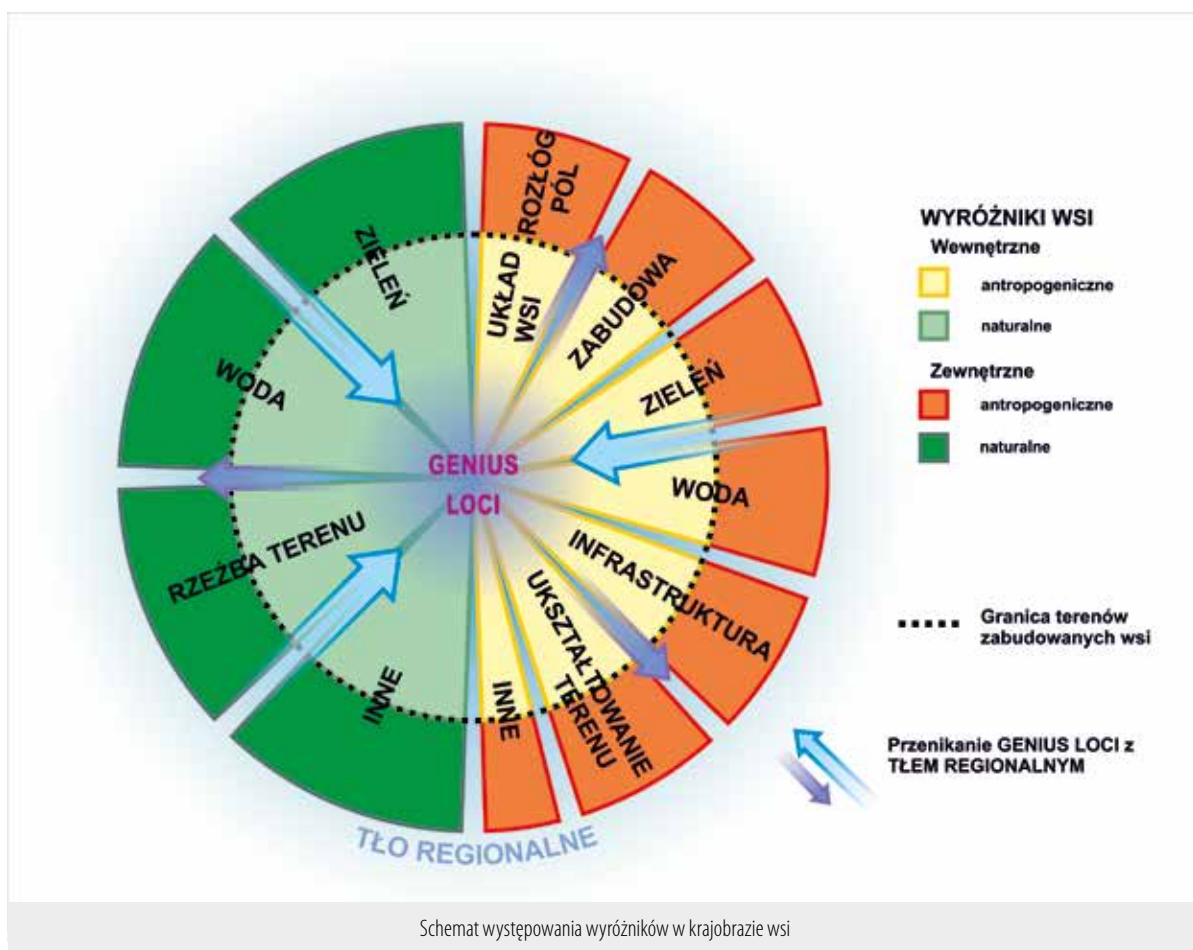
stycznych danego krajobrazu. Moje badania związane z wsiami skierowane były na sprecyzowanie wyróżników krajobrazu wiejskiego, rozumianego jako wyraźny ślad działań w krajobrazie poprzednich pokoleń, czyli elementów widocznego w nim dziedzictwa kulturowego. Definicja tak rozumianego wyróżnika ewoluowała w czasie, a finalnie określone zostało, że „jest to materialny lub niematerialny nośnik cech charakterystycznych krajobrazu wiejskiego, albo takich, których podstawą jest odmienność i/lub kontrastowość, także w aspekcie unikatowości”. Wyróżniki krajobrazu mogą być elementami negatywnymi, ale w prowadzonych badaniach uwzględniano jedynie wyróżniki o charakterze pozytywnym. Każda miejscowość może mieć wiele wyróżników, lecz jednemu z nich nadaje się rangę wiodącą lub uzupełniającą. Służą one razem do identyfikacji miejscowości w skali regionalnej lub krajowej w zależności od ich wartości. Wsie z budynkami o konstrukcji szachulcowej czy „czerwone” z budynkami licowanym cegłą pozwalają nam się w przybliżeniu zorientować, w jakim regionie Polski się one znajdują. Wyróżnikami mogą być też elementy przyrodnicze, np. aleja lipowa wewnątrz wsi, drzewa owocowe, sadzone wzdłuż polnych dróg wychodzących ze wsi, układy pól lub formy zieleni śródpolnej czy specyficzne rośliny sadzone w wiejskich przedogródkach i ogrodach. Tak sprecyzowane wyróżniki stają się inspiracją dla nowej zabudowy lub sposobów zagospodarowania posesji, terenów publicznych danej miejscowości czy jej otoczenia. Powtarzalność charakterystycznych budynków, ich detali architektonicznych, kształtów dachów, kolorystyki elewacji w nowej zabudowie albo form zieleni w zagospodarowaniu przestrzeni wiejskiej powoduje, oprócz kontynuacji dziedzictwa kulturowego danego miejsca, odczucie ładu przestrzennego w krajobrazie wsi.

Prowadzone badania i wnioski miały duże wsparcie we współpracy Instytutu Architektury Krajobrazu (obecnie katedry) Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu w ramach programu Odnowy Wsi, początkowo od 2001 roku z Urzędem Marszałkowskim Województwa Opolskiego, a od 2004 roku



Wyróżnik Doliny Baryczy – „czerwone” domy, Brzostowo

Fot. Irena Niedzwiecka – Filipiak



także dolnośląskiego. Trzeba dodać, że kształtowanie i ochrona krajobrazu wiejskiego jest jednym z kluczowych elementów tego programu. Wraz z zespołem pracowników i studentami architektury krajobrazu opracowałam w tym czasie ok. 160 planów rozwoju miejscowości dla wsi uczestniczących w programie. W opracowaniach tych nie stosowałam początkowo pojęcia wyróżnika krajobrazu, jednak efektem prac inwentaryzacyjnych i analitycznych był zawsze katalog elementów charakterystycznych wraz z wnioskami, a także wskazanie słabych i mocnych stron miejscowości. Głównym celem było określenie inspiracji i podstawy do opracowania wytycznych do planu rozwoju miejscowości, w którym z naszej strony kluczowe było uwzględnienie aspektów dziedzictwa kulturowego w krajobrazie poszczególnych miejscowości. Prace prowadzone były trzetańkowo: inwentaryzacja, analiza i plan rozwoju, na każdym etapie we współpracy z mieszkańcami wsi. Ważny przy tym był kontakt ze studentami, którzy czuli się odpowiedzialni za wykonywane prace, a także uczyli się rozmów z inwestorami na poszczególnych etapach prac.

Z uwzględnieniem tego co zastane

Konsultacje i dyskusje z lokalną społecznością były bardzo istotnym elementem prowadzonych prac także dla mieszkańców poszczególnych miejscowości. Często dopiero podczas tych spotkań dowiadywali się o walorach krajobrazowych swej miejscowości, gdyż były one dla nich bagatelizowaną codziennością. Dotyczyło to także wsi, w których nastąpiło przerwanie ciągłości kulturowej. We wsiach takich początkowo wygłaszane było przez większość mieszkańców stwierdzenie, że się nie może nic udać. Dzięki programowi Odnowy Wsi, pokazywaniu dobrych praktyk także zmieniła się ich mentalność. We wsiach takich konieczna jest także akceptacja zastanego dziedzictwa i wypracowanie spójnej koncepcji na przyszłość uwzględniającej tradycje nowych mieszkańców, często pocho-

dzących z wielu stron Polski. Proces taki jest widoczny już w wielu miejscowościach.

Działania w ramach programu Odnowy Wsi są zjawiskiem bardzo pozytywnym dla zachowania tożsamości obszarów wiejskich. Pobudzana jest aktywność mieszkańców wsi, powstaje szansa na polepszenie ich bytu, a wszelkie działania w przestrzeni wiejskiej prowadzone są z uwzględnieniem jej tradycyjnego charakteru. Nie oznacza to jedynie prac zachowawczych i wprowadzania skansenów na tereny wsi, raczej takie podejście, które prowadzi do nowych rozwiązań z uwzględnieniem tego co zastane. Pomimo wielorakiego pozytywnego wsparcia dostarczanego przez program Odnowy Wsi, pozostało jeszcze wiele problemów do rozwiązania w kontekście zachowania czy kontynuacji walorów dziedzictwa kulturowego w krajobrazie wiejskim. Remont czy modernizacja obiektów zabytkowych spoczywa na barkach ich właścicieli – mieszkańców wsi. Z tego powodu historyczna zagroda, budynek mieszkalny, stodoła, budynek inwentarski są dla nich w wielu przypadkach jedynie ogromnym problemem. W pokazywanych podczas podróży studialnych wsiach niemieckich i austriackich inwestycje prywatne mają wsparcie finansowe ze strony gminy lub państwa w postaci np. dofinansowania do 60% danej inwestycji, wykonanej zgodnie z zaleceniami konserwatorskimi, albo np. zwrotu różnicy w kosztach przy wymianie okien pomiędzy oknem plastikowym, a drewnianym z podziałkami, takimi jak w budynkach charakterystycznych w danym regionie. Jest to duża pomoc, a także dobre narzędzie, którym można sterować działaniami mieszkańców wsi, zmierzającymi do ekspozowania i poszanowania dziedzictwa kulturowego i cech regionalnych w budownictwie. We wsiach niemieckich są również w gminach zatrudniani specjaliści, którzy nieodpłatnie doradzają mieszkańcom wsi, jak mają modernizować lub jaką formę nowej zabudowy wprowadzać, aby było to zgodne ze specyfiką krajobrazu danej miejscowości.

Kolejnym problemem jest to, że w polskich wsiach społeczności wiejskie przy modernizacjach starych budynków stosują często argumenty ekonomiczne, wspierając unifikację budownictwa na terenie wsi bez uwzględniania w nim cech regionalnych. Nie biorą pod uwagę, że ta oszczędność jest czasem pozorna, ponieważ z pięknego krajobrazu, z widoczną jego specyfiką i odrębnością regionalną, także można uzyskać profity finansowe.

Jakość, wizerunek i rozwój

Takie podejście, gdy szanowane jest wiejskie dziedzictwo kulturowe, a zarazem stworzone warunki do zarobkowania, zostało zastosowane w Sieci Najpiękniejszych Wsi we Francji (Les Plus Beaux Villages de France). Funkcjonuje ona od lat 80. XX w. i w 2022 roku objęła już 164 miejscowości, które są nastawione na zachowanie bezcennego wiejskiego dziedzictwa kulturowego, a jednocześnie jego promocję poprzez turystykę wiejską. W marcu 2022 roku obchodzono 40-lecie tej sieci. Jej strategiczna baza opiera się na trzech głównych wzajemnie powiązanych i wspierających się elementach: jakość, wizerunek i rozwój. Siecią zarządza założone w 1982 roku stowarzyszenie. Wsie, żeby wstąpić do stowarzyszenia, muszą spełnić szereg warunków, sprawdzanych przez komisję składającą się ze specjalistów, przedstawicieli różnych dziedzin. Wsie te nie są skansenami, jednak muszą spełniać dość rygorystyczne wymagania dotyczące ich krajobrazu, infrastruktury pobytowej i lokalnego produktu. Zdarza się, że liczba turystów przyjeżdżających do tych miejscowości jest tak duża, że stają się oni kłopotliwi dla normalnie funkcjonujących w nich mieszkańców. Pomysł był na tyle atrakcyjny, że w 2003 r. utworzono Stowarzyszenie Najpiękniejszych Wsi na Ziemi. Jego nazwę zmieniono na Federację w 2012 roku w Gordes we Francji (Federation of the Most beautiful Villages of the Earth). Zrzesza ona oprócz Francji sieci Walonii, Włoch, Niemiec, Hiszpanii i Japonii, przy czym jest otwarta dla innych krajów, stąd obserwatorami są Szwajcaria, Liban, Saksonia i Rosja. Dotąd wydano około 800 certyfikatów

wsiom, które spełniły warunki, jak to określają: piękna krajobrazu i doskonałości. W Polsce także została w 2012 r. podjęta inicjatywa utworzenia sieci inspirowanej tymi działaniami. Jednak w trakcie prac stwierdzono, że nie będzie ona bazowała jedynie na wartościowym dziedzictwie kulturowym i pięknie krajobrazu, ale otwierać się będzie także dla wsi, które mają ofertę wskazującą miejsca interesujące, stąd nazwa Sieć Najciekawszych Wsi w Polsce (SNW). Wypracowane wcześniej pojęcie wyróżnika krajobrazu stało się jednym z kluczowych elementów sieci, przy tworzeniu tzw. opowieści o wsi, czyli „atrakcyjnie sformułowanej narracji o takich zjawiskach i procesach, które miały miejsce i nadal zachodzą w danej miejscowości”. Jest to czasem krótkie hasło, czasem slogan, a celem jest zachęcenie i zmotywowanie potencjalnych turystów do przyjazdu. Podobnie jak we wsiach francuskich, bazowymi elementami są tutaj jakość, wizerunek i rozwój miejscowości, polegający na tworzeniu oferty pobytowej i powiązanego z nią koszyka produktów wytwarzanych lokalnie. Za wdrażanie i koordynację SNW odpowiada Stowarzyszenie Polska Sieć Odnowy i Rozwoju Wsi (PSORW). Obecnie SNW zrzesza 14 wsi z przyznanymi certyfikatami sieci i 9 pretendujących do udziału.

Temat dziedzictwa kulturowego wiejskiego krajobrazu jest zagadnieniem bardzo szerokim. Zdaję sobie sprawę, że poruszyłam tutaj zaledwie ułamek problemów, które się z tym wiążą. W Polsce jest podejmowanych jeszcze szereg innych inicjatyw mających na celu ochronę czy kontynuację wiejskiego krajobrazowego dziedzictwa, jednak nadal rozglądając się wokół, można odczuć ich niedosyt i wrażenie bezpowrotnego zanikania specyficznych regionalnych wyróżników wiejskiego krajobrazu.

Ilustracje 2 i 3 pochodzą z publikacji mojego autorstwa
Walory miejscowości – tworzymy Sieci Najciekawszych Wsi.

Dr hab. inż. arch. Irena Niedźwiecka-Filipiak, prof. UPWr, Katedra Architektury Krajobrazu, Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu



Jakość, wizerunek i rozwój we Flavigny sur Ozerain, członka Sieci Najpiękniejszych Wsi Francji

Dziedzictwo kulturowe... wciąż odkrywane

Retrospekcja (i ewolucja) badań własnych

Powszechne jeszcze w latach 90. XX w. przeświadczenie, że dziedzictwo poniemieckie było w okresie powojennym tylko niszczone – jest bardzo krzywdzące. Moje badania pokazały wyraźnie ambiwalencję postaw wobec zastanej spuścizny. Jedni niszczyli, inni ratowali, generalny jednak grzech, to grzech zaniechania.

Chciałam na wstępie podziękować Redakcji „Forum Akademickiego” za zaproszenie do napisania tego tekstu. Nigdy bowiem nie zastanawiałam się nad ewolucją własnego pojmowania pojęcia dziedzictwa kulturowego i systematycznego rozszerzania badań nad nim. Dzięki temu zaproszeniu przeliczyłam moje publikacje dotyczące zagadnień związanych z dziedzictwem kulturowym (jest ich ponad 70) oraz lata pracy w tej materii (16 lat, od 2006 r.). Można więc pokusić się o pierwsze wnioski. Moim obszarem badań są Warmia i Mazury, województwo warmińsko-mazurskie z pomniejszych regionami kulturowymi i historycznymi, Prusy Wschodnie, a więc dziedzictwo kulturowe ziem pruskich. Najbliżej mi jednak do Warmii – mieszkam i pracuję w Olsztynie, jestem współwłaścicielką Muzeum Warmińskiego, Gospodarstwa we wsi Giławy i depozytariuszem wpisu gwary warmińskiej na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. To zobowiązuje.

Moja droga do odkrywania dziedzictwa

Historię regionu zaczęłam interesować się dopiero podczas studiów historycznych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nie jestem bowiem rodowitą olsztynianką. Przeprowadziłam się tu z Grudziądza na początku studiów. Jestem jednak Warmiaczką z wyboru. Najpierw zaczęłam pracować jako nauczycielka historii i bardzo mi brakowało pomocy dydaktycznych do edukacji regionalnej – nie było Internetu ani kolorowych publikacji możliwych do wykorzystania w szkole. Przechodząc do pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, chciałam jako mój przyszły doktorat opracować podręcznik z historii i kultury regionu. Nie było to jednak możliwe. Trzeba było zrobić najpierw badania nad świadomością historyczną młodzieży, by naukowo stwierdzić, czy w ogóle jest potrzeba pisania o historii i dziedzictwie regionu. Podręcznik i materiały dydaktyczne przygotowałam wiele lat później. Silnie łączyłam sferę edukacji i popularyzacji z uświadomieniem – historii,

otaczających nas zabytków, przekazywanych przez poprzednie pokolenia zwyczajów, własnej tożsamości. Tak narodził się pomysł, by zająć się dziedzictwem kulturowym.

Pierwsze bibliografie i definicja

Czym zatem było dla mnie dziedzictwo? Jestem historykiem, pracuję na źródłach. Na studiach nauczono mnie, by najpierw sprawdzić, co zostało do tej pory napisane na dany temat, aby nie odkrywać tematów już znanych. Zaczęłam szukać definicji i wyjaśnień. Historycy o dziedzictwie nie pisali. Dla socjologów była to tradycja, dla dziennikarzy modne słowo, które odmieniali przez wszystkie przypadki. Przebadałam instytucje w regionie, które zajmują się badawczo historią, kulturą, zabytkami, muzealnictwem, pojechałam na kilka konferencji i zebrałam wszystko w duży tekst wyjaśniający zawilgości terminologiczne, dodając do tego cztery wykresy rozpatrujące dziedzictwo pod względem zakresów terytorialnych, różnorodnych podziałów, obszarów badawczych i świadomościowych.

Po pięciu latach monografia habilitacyjna *Warmia i Mazury 1945-1989. Trudne dziedzictwo ziemi*, była już gotowa. Książka nie była w moich badaniach przełomem, raczej ważnym etapem w rozwoju. Pojawiły się nowe terminy: dziedzictwo trudne, odkrywane, zapomniane, porzucone, dziedzictwo bez dziedziców. Dla mnie wszystkie one były odkryciem. Do tej pory utożsamiałam bowiem dziedzictwo z zabytkami, głównie materialnymi. Poniżej omówię zatem te obszary badań, które podejmowałam i nadal podejmuję.

Badania nad zabytkami i dziedzictwem architektury

Z jednej strony penetrowałam najbliższe mi okolice, a także organizowałam dalsze wycieczki po regionie, bo turystyka od zawsze była i jest moją pasją. Napisałam nawet taki tekst w gazecie studenckiej: *Historyk musi mieć zdarte buty* (choć ci, co siedzieli w archiwach, pisali, że twardą pupę). Byłam przez

kilka lat koordynatorem specjalności turystyka historyczna w Instytucie Historii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Uważam, że nie można pisać o zabytkach, a tym bardziej o dziedzictwie, siedząc tylko w książkach lub archiwach. Trzeba wyjść do ludzi, prowadzić rozmowy, penetrować teren, szukać śladów.

W terenie znalazłam m.in. tajemniczą figurę z malej osady Pajtuński Młyn, datowaną na 1791 r. Dlaczego tajemnicza? Bo nie miała głowy, była wykonana z trzech rodzajów piaskowca, nie było o niej żadnej wzmianki. Wszystkie te zawilości udało się odkryć dzięki kontaktom z urzędnikami gminy Purda, pracownikami Muzeum Warmii i Mazur i rozmowami telefonicznymi z dawnymi właścicielami młyna mieszkającymi od lat w Niemczech. To właśnie są elementy świadczące o dziedzictwie kulturowym – figura była wpisana do rejestru zabytków, ale ślady w dokumentacji były bardzo skromne, było to więc dla mnie dziedzictwo zapomniane i bez dziedziców. Okazało się bowiem, że głowa w latach 70. XX w. została zwalona przez traktor, który manewrował po podwórzu. Dopiero dzięki naszym staraniom trafiła na swoje miejsce. Dziedzice, czyli przedwojenni właściciele, którzy też otrzymali ją w spadku po poprzednikach, wyjechali w latach powojennych do Niemiec. Nowi właściciele, prowadzący gospodarstwo agroturystyczne, nie mieli na poszukiwanie prawdy o tym zabytku ani czasu, ani możliwości.

Podobnie fascynujący był Trakt Biskupi, prowadzący z Warszawy do Lidzbarka Warmińskiego i przecinający granicę Prus Książęcych i Warmii w miejscowości Bałdy. Do dnia dzisiejszego zachował się 900-metrowy dukt leśny, którymi od XVI do XVIII w. wjeżdżali biskupi. Na granicy witała ich warmińska szlachta, duchowieństwo i chłopci. Zostałam zaproszona do grupy mającej za zadanie reaktywację tego dziedzictwa. Stawiliśmy sobie pytania: Który biskup i w którym roku tamtędy przekraczał granicę? Czy rzeczywiście była to jedyna droga, którą dostawali się do stolicy w Lidzbarku? Jak mogła wyglądać uroczystość powitania? Co zrobić, aby przywrócić to miejsce do pamięci? Udało się wiele osiągnąć, dziś to rozpoznawalne miejsce na mapie turystycznej regionu, świadomość mieszkańców okolicznych miejscowości znacznie się poszerzyła, można powiedzieć, że przybyło nowe miejsce pamięci, dziedzictwo żywe.

Nie stroniłam też od archiwów. Dla mnie głównym źródłem były dokumenty z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie, z których wiadomości sprawdzałam następnie w terenie. W ten sposób zajęłam się zapomnianymi kamienicami w Lidzbarku Warmińskim czy też mocno wówczas odwołującym się do polskości zamkiem biskupów warmińskich. Ciekawiły mnie też powojenne losy zamków krzyżackich i pałaców magnaterii pruskiej. W obu przypadkach historia urywała się w latach wcześniejszych. O zamkach krzyżackich właściwie przestawało się mówić po upadku zakonu krzyżackiego i jego zeświecczeniu w Prusach w 1525 r. Ani Krzyżacy, ani ich zamki nie istnieli w świadomości społecznej, zarówno tych, którzy uczyli się w PRL, jak i młodego pokolenia Polaków. O tym, że zakon krzyżacki istnieje do dzisiaj, ma swoją siedzibę w Wiedniu i pełni ważne funkcje charytatywne, dowiedziałam się dopiero kilkanaście lat temu, przy okazji badań nad Traktem Biskupów w Bałdach. Otóż w 2010 r. udało się pracownikom Urzędu Gminy w Purdzie zaprosić ówczesnego wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego do odsłonięcia głazu pamiątkowego poświęconego pierwszemu biskupowi warmińskiemu Anzelmowi. Wówczas została zorganizowana konferencja (w której miałam okazję czynnie uczestniczyć) oraz wycieczka po regionie zorganizowana dla gości z zagranicy (o której pisałam). To także było wielkie wydarzenie



z zakresu budowania świadomości, a także trudnego polsko-krzyżackiego dziedzictwa.

Stosunek do zastanego dziedzictwa

Wiele namysłu poświęciłam stosunkowi władz i społeczeństwa polskiego do zastanej na ziemiach odzyskanych poniemieckiej, pożydowskiej, poewangelickiej spuścizny. Były to przecież nie tylko zabytki, ale też cmentarze, pomniki, nazwy miast, ulic. To wszystko państwo polskie musiało jakoś oswoić, by nowym osiedlencom, Polakom z Polski centralnej i Wileńszczyzny, żyło się bezpieczniej, bardziej swojsko.

Znienawidzeni przez lata wojny Niemcy byli tu jednak widoczni na każdym kroku. Słyszało się jeszcze ich mowę, czytało napisy na murach, szyldy na domach, widziało niemieckie makatki i obrazy na ścianach mieszkań, książki w bibliotekach, druki w urzędach. Dzisiaj repolonizacja na Warmii, Mazurach i Powiślu, a także na innych ziemiach pozyskanych od państwa niemieckiego jako rekompensata za utracone Kresy Wschodnie, budzi niechęć i powszechną krytykę, ale wówczas była nieunikniona. Nie wolno oceniać przeszłości z dzisiejszej perspektywy. Trzeba koniecznie umieć patrzeć oczyma ówczesnych ludzi, i to ludzi różnych warstw i środowisk, każde bowiem miało swoje – jakże inne – racje.

Powszechne jeszcze w latach 90. XX w. przeświadczenie, że dziedzictwo poniemieckie było w okresie powojennym tylko niszczone – jest bardzo krzywdzące. Moje badania pokazały wyraźnie ambiwalencję postaw wobec zastanej spuścizny. Jedni niszczyli, inni ratowali, generalny jednak grzech, to grzech zaniechania. Stąd też mamy dziedzictwo niechciane, zaniebane, porzucone. Dotyczyło to przede wszystkim niezamieszkałych pałaców i dworów, kościołów i cmentarzy ewangelickich i żydowskich pozostawionych bez wyznawców, nieczytanych niemieckich książek. Do tych, którzy ratowali wszystko, co należało do poprzednich pokoleń, bez względu na proveniencję, należeli muzealnicy, bibliotekarze, nauczyciele, konserwa-

torzy zabytków. Pozostawili oni piękne wspomnienia z odzyskiwania każdej możliwej książki, figurki, obrazu. To co udało się uratować, możemy dziś nazwać dziedzictwem odzyskanym, uratowanym. Uratowanym najpierw przed Armią Czerwoną, szabrownikami, złodziejami, potem też przed zwykłymi hultajami i osobami zupełnie nieświadomymi bogactwa, jakie niszczą. Niestety spuścizna żydowska nie doczekała się jeszcze godnego upamiętnienia. Co prawda dobrze funkcjonuje dawna synagoga w Barczewie oraz dom oczyszczenia w Olsztynie, ale zaniedbane i zapomniane kirkuty wciąż nie są dobrze upamiętnione. W ostatnich latach prowadziłam badania nad tym zagadnieniem i przygotowałam obszerny katalog kilkudziesięciu zabytków żydowskich na obszarze województwa warmińsko-mazurskiego, który wciąż czeka na publikację.

I tutaj nasuwają się kolejne rozważania o dziedzictwie – dziedzictwie Kresów. W Polsce mamy taką tendencję, by patrzeć na utracone dla Polaków Kresy Wschodnie. Mało kto jednak patrzy na Kresy Wschodnie dla Niemców – to są właśnie dawne ziemie Prus Wschodnich. Tak samo nostalgiczne, tak samo piękne, tak samo utracone.

Ciekawiła mnie zawsze procedura i argumentacja w nadawaniu nowych nazw na Warmii i Mazurach. Dlaczego Rastenburg nazwano Kętrzynem, Lötzen Giżyckiem, Wartenbork Barczewem, a Sensburg Mrągowem, choć ani Wojciech Kętrzyński, ani Gustaw Gizewiusz, ani Walenty Barczewski, ani Krzysztof Celestyn Mrongowiusz nie mieli nic wspólnego z miejscowościami, które przybrały ich imię? Takie przykłady można by mnożyć. Najdziwniejsze wyjaśnienie ma nazewnictwo wsi Sząbruk, po wojnie Unieszewo. W swoich badaniach nie dotarłam do żadnych wiarygodnych informacji, ale podaję tradycję przekazywaną ustnie, że wioska została tak nazwana na cześć sowieckiego dowódcy Jurija Ustjaszowa, dzięki któremu

żaden kościół w niedalekim Olsztynie nie został zniszczony przez Armię Czerwoną w styczniu 1945 r. Coraz częściej czytamy, że jest to fakt, a nie legenda. Tak więc dziedzictwo staje się na naszych oczach. Czasami jest to dziedzictwo zakłamanie. Ale czyż legendy o Popielu, którego zjadły myszy, i Wandzie, co nie chciała Niemca, też nie są naszym polskim dziedzictwem? A przecież nie są prawdą historyczną!

Dziedzictwo niechciane, teraz odkrywane, czyli pałace i dwory junkrów pruskich

Do najbardziej rozpoznawalnych zabytków na Warmii i Mazurach należą pałace i dwory magnaterii pruskiej, w których powstają w ostatnich latach piękne hotele i pensjonaty. Należały one od czasów nowożytnych do wschodniopruskiej szlachty i arystokracji, kilka miało nawet status królewskich. Nie wszystkie udało się do końca II wojny światowej utrzymać w pięknym stanie. Niektóre z nich także popadały w ruinę. Tak więc stosunek do dziedzictwa kulturowego Warmii i Mazur nie jest warunkowany narodowo (także polskie pałace i dwory były po wojnie niszczone), ustrojowo (dużo pałaców, *użytkowanych w PRL jako biura* w państwowych gospodarstwach rolnych, popadło w ruinę po zmianie ustroju w 1989 r. i upadku PGR-ów), ani nawet rodzinnie (np. rodzina Lehndorffów w latach międzywojennych doprowadziła do upadku swojej rezydencji w Sztynorcie). Wszystko zależy od świadomości człowieka, a nie od jego wyznania czy narodowości.

Od roku 2010 zaczęłam żywiej interesować się pałacem w Sztynorcie, którego dotyczył m.in. międzynarodowy młodzieżowy projekt, w którym brałam udział ze studentami UWM. Wtedy też mocno uświadomiłam sobie, że dziedzictwo powinniśmy klasyfikować jako europejskie, szczególnie jeśli dotyczy trudnych, niewyjaśnionych zawiłości historycz-



Aleja Biskupów w Baldach.

Zdjęcie: Wikipedia. Fot. Stanisław Czachrowski

nych i praw dwu lub więcej narodów. Rozmowy z niemieckimi partnerami pokazały mi, jak podchodzą oni do pozostawionych przez Niemców dóbr kultury na Warmii i Mazurach.

Nieco inaczej wyglądały moje badania nad pałacem w Kwitajnach. Zainteresowanie tym obiektem rozpoczęło się, gdy poznałam mieszkańca tej wioski, Czesława Dziemidowicza, który spędził tu dzieciństwo, a następnie wykształcił się w Olsztynie, zrobił doktorat z pedagogiki i resztę życia spędził w Bydgoszczy. Ten światły, refleksyjny człowiek pokazał mi „swoje” Kwitajny, prowadząc nie tylko po znanych zabytkach, ale też przekazując opowieści dotyczące ludzi i pozostałości, o których nie można było przeczytać w żadnym opracowaniu. Do tego doszła analiza literatury i zastanych archiwaliów. W Kwitajnach poznałam też byłego pracownika PGR, mającego stanowisko techniczne, który uczestniczył w likwidacji przedsiębiorstwa po zmianie ustroju. Zabrał on całą dokumentację, której nie przekazał do archiwum, a potem przez wiele lat sprzedawał kopie, szczególnie zainteresowanym Niemcom. Mnie także oferował dokumenty do sprzedaży za kilka tysięcy złotych. Nie skorzystałam z tego. Zgłosiłam do pracowników archiwum, ale niestety nie zostały mu one odebrane. Tak więc mamy przykład dziedzictwa zawłaszczonego, a wręcz skradzionego.

Kultura ludowa w relacjach ustnych, tradycje i zwyczaje, tożsamość

Bardzo pomocne w tej tematyce były moje badania nad historią mówioną (oral history), które starałam się łączyć w poznawaniu dziedzictwa kulturowego regionu, a szczególnie tradycji i zwyczajów. Biedna ludność przedwojenna lub tuż powojenna nie spisywała swoich zwyczajów, były one przekazywane w rodzinach, z pokolenia na pokolenie. To właśnie jest jeden z ważniejszych elementów dziedzictwa. To nadawanie wartości. Nie każdy bowiem fakt historyczny, nie każdy zabytek, nie każdy zwyczaj jest od razu dziedzictwem. Musi istnieć pozytywne wartościowanie. Nadawca i odbiorca, ten który chce przekazać i ten, który chce o tym słuchać i o to zadbać. Moją pierwszą rozmówczynią była babcia mojego męża, Irena Mackiewicz, która przyjechała z Wileńszczyzny po II wojnie światowej na Warmię. Opowiadała mi o wartościach rodzinnych i relacjach

międzyludzkich, o zwyczajach i codziennym życiu w Nemenčinie, 7 km od Wilna, gdzie mieszkała w dzieciństwie.

Później zajęłam się relacjami Warmiaków, czego efektem są prace o ich powojennym życiu i tożsamości. Szersze badania nad kulturą ludową tej grupy etnicznej, w kontekście ratyfikowanej przez Polskę w 2011 r. Konwencji o ochronie niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO, pozwoliły mi na szerszą refleksję nad identyfikowaniem i zachowaniem ulotnego dziedzictwa grup etnicznych, szczególnie Warmiaków.

Nie zabrakło też w moich badaniach kontaktów z Mazurami. Jednym z nich był Dietmar Serafin, były dyrektor Muzeum Ziemi Piskiej, Mazur od pokoleń. Wraz z Warmiakiem Edwardem Cyfusem zorganizowałam ich wspólny wywiad na temat gwary obu regionów i kultury ludowej (nagranie jest w moich zbiorach). Każdy z panów mówił o własnym dziedzictwie i miło było słuchać, jak Warmiak z Mazurem się przekomarzają. Pan Serafin oprowadził mnie po muzeum, pokazywał zbiory etnograficzne i opowiadał o ich pozyskiwaniu.

Dziedzictwo niematerialne – gwara warmińska na liście UNESCO

Znacznym zintensyfikowaniem badań nad niematerialnym dziedzictwem kulturowym była praca nad wpisaniem gwary warmińskiej na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO, zakończona sukcesem w 2016 r. Jako depozytariusze tego wpisu, wraz z Edwardem Cyfusem i Łukaszem Ruchem, przywróciliśmy pamięć o gwarze szerokiemu gronu mieszkańców województwa warmińsko-mazurskiego. Wpis był bardzo medialny, powstawały audycje radiowe i programy telewizyjne; przeprowadziliśmy też wiele szkoleń i prelekcji dla nauczycieli, uczniów i mieszkańców regionu. Tym samym gwara została przywrócona pamięci, a jej dziedzictwo uratowane. Co prawda na początku były też głosy przeciwe, że próbujemy „reaktywować trupa”, ale byliśmy przekonani o słuszności naszych działań.

I tu znowu nasuwa się refleksja o samym pojęciu dziedzictwa. W definicji konwencji z 2003 r. jest bowiem zapis, że „niematerialne dziedzictwo kulturowe oznacza praktyki, wyobrażenia, przekazy, wiedzę i umiejętności – jak również związane z nimi



Pałac w Sztynorcie.

instrumenty, przedmioty, artefakty i przestrzeń kulturową – które wspólnoty, grupy i, w niektórych przypadkach, jednostki uznają za część własnego dziedzictwa kulturowego. To niematerialne dziedzictwo kulturowe, przekazywane z pokolenia na pokolenie, jest stale odtwarzane przez wspólnoty i grupy w relacji z ich otoczeniem, oddziaływaniem przyrody i ich historią oraz zapewnia im poczucie tożsamości i ciągłości, przyczyniając się w ten sposób do wzrostu poszanowania dla różnorodności kulturowej oraz ludzkiej kreatywności”. Gdyby nie potrzeba społeczna, zaciekawienie ludzi – rodowitych Warmiaków i ludności osiedlonej po II wojnie światowej, starszych i młodszych, z przedszkolakami włącznie, a przede wszystkim determinacja kilku depozytariuszy – gwara nie stałaby się dziedzictwem tego regionu, pozostałaby tylko gadką garstki tutejszych.

Krajobraz kulturowy, dziedzictwo natury i kultury

Wzajemne oddziaływanie człowieka i przyrody ciekawiło mnie od zawsze. Zaraz po studiach, będąc nauczycielką w Ekologicznym Liceum Ogólnokształcącym w Olsztynie, opracowałam autorski program nauczania pt. „Człowiek i środowisko przyrodnicze w historii”, organizowałam konkursy dla młodzieży i tym samym kształtowałam jej świadomość historyczno-ekologiczną. Po kilku latach wróciłam do tego zagadnienia, ale już z innym spojrzeniem. W 1972 r. została uchwalona Konwencja UNESCO w sprawie ochrony światowego dziedzictwa kulturalnego i przyrodniczego, która w Polsce przez dziesiątki lat kojarzona była jedynie z obiektami wpisanymi na listę światowego dziedzictwa. Dzisiaj inaczej podchodzę do

tego zagadnienia – spuścizna dzieł stworzonych przez człowieka nierozzerwalnie łączy się z krajobrazem kulturowym, naturą, życiem. Zauważam to wszędzie i próbuję tak konstruować swoje teksty naukowe czy wypowiedzi popularnonaukowe, aby ta prawda dotarła do szerszego grona czytelników i przyczyniła się do kształtowania ich wrażliwości postrzegania otaczającej przestrzeni.

Dziedzictwo postaci, biografistyka historyczna

Podobnie jak przyroda, od młodości interesowały mnie losy pojedynczego człowieka: W jaki sposób jego życie miało wpływ na innych? Czy jego historia może być wzorem do naśladowania dla następnych pokoleń? Co pozostawił po sobie jako spuściznę? W jaki sposób ją dziś możemy odkryć? To niewątpliwie dziedzictwo postaci. O każdej z nich mogłabym napisać oddzielny tekst, każda była fascynująca. W przygotowanych przeze mnie historiach nie chodziło o konkretne fakty z życia, ale o relacje z drugim człowiekiem, ze środowiskiem (społecznym i przyrodniczym), z władzą.

W czasach studenckich zajęłam się biskupem warmińskim Janem Stefanem Wydźgą, którego odkrywałam na podstawie korespondencji pozostawionej w Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie i na tej podstawie obroniłam pracę magisterską. Ciekawą postacią, którą przez krótki czas się zajmowałam, był Henryk Archutowski, żołnierz Armii Polskiej gen. Władysława Andersa, który po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii i w Londynie założył Towarzystwo Przyjaciół Warmii i Mazur. Dotarłam do jego syna, z którym przeprowadziłam wywiad, a także do wielkich materiałów pozostawionych w polonijnych środowiskach w Londynie. Przy okazji moich badań nad dziedzictwem przyrodniczym zainteresowałam się też postaciami leśników, którzy mocno się w tę ochronę zaangażowali. Była to głównie postać Otokara Rudke, który przybył z Kielecczyny na Warmię i tutaj został nadleśniczym w podolsztyńskich Kudypach.

Kolejna postać, której poświęciłam więcej uwagi, to Władysław Ogrodziński, działacz społeczno-regionalny, były dyrektor Muzeum Warmii i Mazur, pisarz i popularyzator. Przeprowadziłam z nim kilka wywiadów, napisałam kilka tekstów. Zainteresowała mnie, bowiem przymierzałam się do napisania monografii muzeum w Olsztynie. Nota bene ówczesny dyrektor skutecznie mnie odciągnął, mówiąc, że właśnie sam taką monografię przygotowuje, czego nie zrobił do dzisiaj. Do dzisiaj nie udało się też nikomu napisać biografii W. Ogrodzińskiego, a moja doktorantka, która szukała po nim materiałów w Archiwum Państwowym w Olsztynie, usłyszała, że ich nie dostanie, bo to nie jest temat dla tak niedoświadczonego historyka, jak doktorant. Czyż to nie jest kolejny przykład na zawłaszczanie dziedzictwa?

Efektom moich wieloletnich badań nad trudnym dziedzictwem ziemi Warmii i Mazur były kontakty z byłym wojewódzkim konserwatorem zabytków w Olsztynie – Lucjanem Czubielem. Przeprowadziłam z nim 19 ponadgodzinnych wywiadów, z których czerpałam wiedzę do monografii habilitacyjnej, a następnie skonstruowałam książkę w postaci wywiadu-rzeki. Pan Lucjan opowiadał mi przede wszystkim o ratowaniu zabytków w trudnym PRL-owskim czasie, i to nie tylko zabytków o polskiej proveniencji, ale też krzyżackich zamków, prawosławnych ikon czy junkierskich obrazów.

Kolejną postacią, której poświęciłam odrębną książkę biograficzną, był Józef Malewski ze wsi Jaroty – rolnik, przedwojenny działacz społeczno-gospodarczy, współzałożyciel szkoły dla mniejszości polskiej w tej wiosce. Praca nad odkrywaniem tej postaci była niezwykle frapująca, bowiem kilku naukowców w różnych publikacjach poświęconych historii Warmii



Autorka w stroju warmińskim.

oraz Olsztyna używało skrótu J. Malewski, często myląc tę postać z Juliuszem Malewskim, kuzynem Józefa, sprawującym poważną funkcję kierownika Banku Ludowego w przedwojennym Olsztynie, a po wojnie będącym zastępcą przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej. Do niedawna była w Olsztynie ulica Juliusza Malewskiego, ale po publikacjach Instytutu Pamięci Narodowej i wyjściu na jaw jego nieprzychylnych postawy wobec Warmiaków, nazwę ulicy zmieniono. Natomiast Józef Malewski doczekał się nadania swojego imienia Szkole Podstawowej nr 34 w Olsztynie, mieszczącej się w dzielnicy Jaroty. Tak więc dziedzictwo to sprawa wartości, gdy nadajemy komuś lub czemuś pozytywne wartości, chcemy o tym mówić i pamiętać – dziedzictwo się tworzy. Gdy chcemy zapomnieć, zostaje zapomniane, przestaje się wspominać, z czasem postać lub wydarzenie zupełnie niknie z ludzkiej świadomości.

Lokalne postaci wciąż mnie fascynują. Przygotowałam ostatnio tekst o niemieckim księdzu Johannesie Gehrmanne pochodzącym z podolsztynskich Jarot, który wyemigrował jako dziecko z rodziną do Niemiec. Po uzyskaniu święceń kapłańskich przez kilka lat był kapłanem wojskowym m.in. żołnierzy z pancernika Schleswig-Holstein i doprowadził do pojednania polskich weteranów z Westerplatte z żołnierzami niemieckimi. Niestety część polskich weteranów zbojkotowała jego działania i nie pojednała się z Niemcami. Kontrowersyjne dziedzictwo wciąż jest żywe, szczególnie jeśli chodzi o trudną historię czasów wojen. Ksiądz Gehrman w czasie stanu wojennego zaangażował się w akcję pomocy Polakom, a dzięki niemu zostało na Warmię i Podhale wysłane ok. 80 transportów z odzieżą, żywnością i lekami. Postać nieznana, fascynująca, może też kontrowersyjna?

Piękną postacią, do tej pory pozytywnie ocenianą, ale jeszcze do końca nieodkrytą, jest mazurska działaczka społeczno-kulturalna Emilia Sukertowa-Biedrawina. Powoli czytam jej korespondencję, śledzę życiorys, badam Instytut Mazurski, który zakładała i przez wiele lat nim zarządzała. Na jej temat powstała w latach 70. XX w. biografia, ale na pewno pani Emilia zasługuje na nowe spojrzenie i ogląd swojego zaangażowania z nowszej perspektywy badawczej. Tym bardziej że jej praca polegała na ratowaniu przedwojennego dziedzictwa regionu – głównie piśmienniczego, które było też dziedzictwem niemieckim i ewangelickim.

Turystyka dziedzictwa

Od 30 lat utwierdzam się w przekonaniu, że tylko edukacja (szkolna i pozaszkolna) oraz szeroka popularyzacja może kształtować świadomość społeczną – historyczną, kulturową, jak i świadomość dziedzictwa. Ta ostatnia to związki, które łączą jednostki ze spuścizną własnej rodziny, środowiska lokalnego, grupy etnicznej, religijnej czy szerzej – całego narodu. Te związki wynikają z wiedzy i uczuć, a ujawniają się w opiniach i poglądach oraz działaniu. I właśnie turystyka realizuje wszystkie te elementy: wiedzę, uczucia, opinie, poglądy, a także działanie na rzecz dziedzictwa. Tak więc jak najbardziej może być rozpatrywana w kontekście jego upowszechniania. Do tej pory najczęściej była kojarzona z turystyką do miejsc wpisanych na listę UNESCO, jednak od kilku lat dotyczy także turystyki do wszystkich miejsc zabytkowych, a nawet tych, które nie są jeszcze wpisane do żadnych rejestrów zabytków, a uważane za spuściznę, chociażby lokalnej społeczności. Zainteresowałam się badawczo turystyką dziedzictwa, kiedy zaczęłam wyklądać na kierunku turystyka i rekreacja na UWM. Omawiając ze studentami kulturowe szlaki turystyczne, turystykę miejską i industrialną czy dziedzictwo kulturowe, zaczęłam uświadamiać sobie, że wiele miejsc, świadczących o spuściznie poprzednich pokoleń, nie jest jeszcze włączonych do społecznej świa-

domości. W pierwszej kolejności należy opracować je merytorycznie, potem włączyć do listy zabytków regionu lub połączyć w szlak kulturowy i koniecznie nagłośnić medialnie i turystycznie. Nie jest to oczywiście zadanie dla jednego człowieka, ale grupa zaangażowanych osób może już to zrobić. Moim zadaniem jest merytoryczne opracowanie i popularyzacja w postaci tekstów naukowych i popularnonaukowych.

* * *

Próbując reasumować ten tekst, należałoby wysnuć wniosek, że wszystko, co nas otacza, może być kiedyś dziedzictwem kulturowym. Zależy to od przyszłych pokoleń, czy zechcą to pozytywnie wartościować, czy będzie to dla nich ważne, ciekawe, warte zachowania dla potomnych. To co dzisiaj jest naszą codziennością, „jutro” może być już tylko przeszłością. Czy w przyszłości będziemy chcieli to chronić? Czy będziemy o tym pamiętać? Czy będziemy o tym edukować i przekazywać to młodemu? Starajmy się żyć ciekawie, a nasze otoczenie czynić interesującym – może w przyszłości będzie ono czymś dziedzictwem...

Dr hab. Izabela Lewandowska, prof. UWM, Instytut Historii Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego w Olsztynie



Izabela Lewandowska (z lewej) i Łukasz Ruch (z prawej) w obecności minister Magdaleny Gawin odbierają certyfikat wpisu gwary warmińskiej na listę UNESCO, Kraków 14 X 2016 r.

Unieważniona habilitacja z botaniki

Habilitantce śpieszyło się z habilitacją i być może nadmierny pośpiech spowodował, że szła na skróty, co skończyło się tak dużą katastrofą.

Historia, którą poniżej przedstawiam, zaczęła się trzy lata temu. Wówczas, 30 maja 2019 r., na swoim blogu naukowym „For Better Science” dr Leonid Schneider w obszernym opracowaniu zwrócił uwagę na krytyczne komentarze, które pojawiły się na platformie „PubPeer” pod adresem dr hab. Magdaleny Migockiej z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Dr Schneider urodził się w 1977 r. na Ukrainie, skąd w połowie lat 90. wyemigrował do Niemiec. Tam na Uniwersytecie w Kolonii w 2003 r. skończył studia magisterskie w zakresie biologii, a następnie w 2008 r. w Instytucie Biochemii i Biologii Molekularnej Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Heinego w Düsseldorfie obronił doktorat *Role of the mitotic spindle associated protein TACC3 in cell proliferation and survival*. Dalsze cztery lata spędził jako postdoc w Instytucie Onkologii Molekularnej w Mediolanie, później rok na Politechnice w Darmstadtzie (2012-2013) i dwa lata w Instytucie Badań Polimerów Maxa Plancka (2014-2015). I wtedy odszedł z czynnej nauki, stając się niezależnym dziennikarzem naukowym i karykaturzystą oraz zaczął prowadzić blog w języku angielskim „For Better Science”.

Trzeba też dodać, że portal PubPeer jest prowadzony przez niezależną kalifornijską fundację non profit, a jego rolą jest podniesienie jakości nauki poprzez umożliwienie czytelnikom prac naukowych zamieszczenia anonimowych, zwykle krytycznych opinii jako swoistego procesu społecznego „post publication peer review” (eksperckich recenzji powydawniczych), dotyczącego już opublikowanych prac. Ta publiczna, anonimowa i bezpłatna dla naukowców „tablica ogłoszeń” o tym, co jest nie tak w konkretnym artykule naukowym, wiele już razy doprowadziła do unieważnienia (retrakcji) publikacji nawet w tak świetnych czasopismach jak „Science” czy „Nature”.

W swoim opracowaniu, zatytułowanym *Magdalena Migocka blames students for impending retractions* (który polecam Czytelnikom „Forum Akademickiego”), dr Schneider opisał kilka wskazanych przez uważnych czytelników przykładów tzw. image manipulation, czyli fałszowania i manipulacji w ilustracjach towarzyszących artykułowi naukowemu w dwóch pracach dr Migockiej. Była ona pierwszym i korespondującym autorem zasygnalizowanych publikacji i, jak żar-

to bliwie napisał o niej dr Schneider, „wschodzącą gwiazdą polskiej fizjologii roślin”.

Krytyka zamieszczona na PubPeer dotyczyła artykułu *Two metal-tolerance proteins, MTP1 and MTP4, are involved in Zn homeostasis and Cd sequestration in cucumber cells* autorstwa Magdaleny Migockiej, Anny Kosieradzkiej, Anny Papierniak, Ewy Maciaszczyk-Dziubińskiej, Eweliny Posyniak, Arnolda Garbieca oraz Sophie Filleur. Został on opublikowany w „*Journal of Experimental Botany*” (2015) DOI 10.1093/jxb/eru459, którego pięcioletni Impact Factor ówczesnie wynosił 6,3, czyli był wysoki. Jasno wykazano nierzetelność wyników laboratoryjnych przedstawionych w przytoczonych fotografiach, co niosło za sobą groźbę unieważnienia prac.

System PubPeer jest tak zorganizowany, że o wpisach (które są z reguły poważne i bardzo konkretne) od razu powiadamia głównego autora krytykowanej pracy. Dr Migocka odpowiedziała publicznie już po kilku godzinach, przypisując winę doktorantowi, który przeprowadził te eksperymenty. Tłumaczyła, że ze względu na niską jakość i „słaby sygnał” z płytek Western Blot doktorant elektronicznie wzmocnił ekspozycję oraz kontrast zdjęć wyników i wyciął te z najmocniejszym sygnałem (za pomocą programu Photoshop firmy Adobe). Leonid Schneider podkreślił, że ostatni współautor to prof. Sophie Filleur z CNRS Institute for Integrative Cell Biology w Paryżu (CNRS to sieć francuskich państwowych instytutów naukowych, podobna do instytutów PAN w Polsce). Gdy napisał do szefa laboratorium, w którym ta pracowała, uzyskał odpowiedź, że dr Migocka była u nich na krótkim stypendium, na którym analizowała pod mikroskopem fokalnym badania potrzebne do tej pracy. Są one ukazane na ilustracji 5A i 5B. Pozostałe badania, w tym te wątpliwe, wykonano we Wrocławiu, w macierzystym zakładzie pierwszej autorki, która będzie proszona o retrakcję tej pracy. Leonid Schneider poinformował też, że szybko napisała do niego prof. Grażyna Kłobus, szefowa i promotorka doktoratu M. Migockiej, która poinformowała go, iż także rozmawiała z autorką o konieczności retrakcji nierzetelnych prac.

Ogółem na PubPeer wskazano początkowo pięć takich prac M. Migockiej, przy czym jedna była ze współautorstwem prof. G. Kłobus. Chodzi o artykuł *Comparative study of the active*

cadmium efflux systems operating at the plasma membrane and tonoplast of cucumber root cells, wydrukowany także w „*Journal of Experimental Botany*” (2011) DOI 10.1093/jxb/err180, autorstwa M. Migockiej, A. Papierniak, E. Kosatki i G. Kłobus (praca ta została retraktowana przez redaktora naczelnego 7 października 2020 r.). Później doszły dalsze teksty i razem publicznie zakwestionowano rzetelność ilustracji w 13 artykułach z udziałem dr M. Migockiej.

Talent, ambicja, kariera

Główna bohaterka tej historii, dr Magdalena Krystyna Migocka, studia magisterskie z biologii w specjalności botanika skończyła w czerwcu 2002 r. na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego. Jej praca magisterska wykonana została w Zakładzie Fizjologii Roślin Instytutu Biologii Roślin pod opieką prof. Grażyny Kłobus. Pięć lat później, w grudniu 2007 r., na Wydziale Nauk Biologicznych UW. M.K. Migocka obroniła doktorat *Rola plazmolemy w detoksykacji komórek roślinnych podczas stresu wywołanego obecnością metali ciężkich w środowisku*, którego prof. Kłobus była promotorem. Później przez rok była asystentem w Zakładzie Genetyki i Mikrobiologii, zaś od stycznia 2009 r. objęła stanowisko adiunkta w Zakładzie Fizjologii Molekularnej Roślin Instytutu Biologii Eksperymentalnej UW. (dyrektor prof. Robert Wysocki), gdzie pracowała do chwili odejścia z uniwersytetu w marcu 2020 r.

W grudniu 2015 r. dr Migocka złożyła w Biurze Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułu Naukowego wniosek o otwarcie przewodu habilitacyjnego na Wydziale Nauk Biologicznych UW. pt. „Molekularna charakterystyka transporterów błonowych związanych z detoksykacją komórek ogórka z nadmiaru metali ciężkich”, na który składał się monotematyczny cykl siedmiu publikacji anglojęzycznych. Habilitantka była pierwszym autorem i autorem korespondencyjnym we wszystkich pracach, z wkładem pracy określonym przez współautorów na 65-70%. Sumaryczny impact factor całego cyklu wyniósł 40,5 oraz 277 punktów ministerialnych. To bardzo dużo!

Procedowanie przewodu poszło szybko. Już 7 marca 2016 r. powołano komisję habilitacyjną, której przewodniczył prof. Grzegorz Bartosz z Katedry Biofizyki Molekularnej Uniwersytetu Łódzkiego, a recenzentami dorobku M.K. Migockiej zostali: prof. Danuta Antosiewicz z Instytutu Biologii Eksperymentalnej i Biotechnologii Roślin Wydziału Biologii UW, prof. Agnieszka Sirko z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN w Warszawie oraz prof. Anna Tukiendorf z Zakładu Fizjologii Roślin Instytutu Biologii i Biochemii UMCS w Lublinie. Do końca kwietnia wszystkie trzy bardzo pozytywne recenzje wylądowały na biurku ówczesnego dziekana, dr. hab. Dariusza Skarżyńskiego, prof. UW. Podkreślono w nich, że habilitantka w dorobku naukowym wykazała jeszcze 17 wysokopunktowanych publikacji (w tym 13 opublikowanych w latach 2014-2015), brała udział w 22 konferencjach naukowych. Była także kierownikiem 5 grantów (dwa ministerialne Juventus Plus za 100 tys. zł, Sonata Narodowego Centrum Nauki za 500 tys. zł oraz trzech uczelnianych). Trzykrotnie była nagradzana przez rektora UW., a dwa razy przez towarzystwa naukowe. Przez osiem miesięcy przebywała na stypendiach naukowych we Francji. Prowadziła dydaktykę, była promotorem 10 prac magisterskich i wielu licencjackich oraz angażowała się organizacyjnie.

Posiedzenie komisji habilitacyjnej odbyło się 28 kwietnia 2016 r. Jednogłośnie „w wysokich słowach” zdecydowano o nadaniu habilitacji. Takie samo stanowisko przyjęła Rada Wydziału Nauk Biologicznych UW., która 19 maja 2016 r. nadała dr M.K. Migockiej stopień doktora habilitowanego w dziedzinie nauk biologicznych w dyscyplinie biologia.

W osobnej uchwale, na wniosek członków komisji habilitacyjnej, osiągnięcie habilitacyjne wyróżniono.

„Lepsza nauka” we Wrocławiu

O artykule dr. Schneidera zostałem poinformowany 12 czerwca 2019 r. Był on czytany i dyskutowany na kilku forach. Dwa dni później napisałem email do ówczesnego rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Adama Jezierskiego, prosząc go o wszczęcie dyscyplinarnego postępowania wyjaśniającego z urzędu z powodu zarzutów fałszowania ilustracji w pracach dr M. Migockiej. Dodałem: „Proszę o formalne potraktowanie mojego pisma, gdyż sprawa ma wydźwięk międzynarodowy i uderza w prestiż Uniwersytetu Wrocławskiego. Część prac jest badanych już przez redakcje, które ze swojej strony podejmą kroki prowadzące do ewentualnej retrakcji, jeśli zarzuty się potwierdzą, jednak Uniwersytet nie może w takiej sprawie stać bezczynnie”. Po trzech dniach, 17 czerwca 2019 r., otrzymałem od rektora UW. odpowiedź, że sprawę zna, zaś w celu zbadania zarzutów dr. Schneidera powołana została komisja wydziałowa – chodzi o wyjaśnienia merytoryczne. Po potwierdzeniu zarzutów będzie wszczęte postępowanie dyscyplinarne.

Z kolei, jak mnie poinformował pisemnie dziekan WNB, Dariusz Skarżyński, 6 czerwca 2019 r. zwrócił się on do rektora Jezierskiego o wszczęcie postępowania wyjaśniającego, jednak ten zalecił jakoby powołanie komisji dziekańskiej. Została ona powołana 11 czerwca w składzie: prof. Małgorzata Daczewska, prodziekan ds. ogólnych, kierownik Zakładu Biologii Rozwoju Zwierząt, prof. Maria Ogielska z Zakładu Biologii Ewolucyjnej i Ochrony Kręgowców oraz prof. Dariusz Rakus z Zakładu Fizjologii i Biologii Molekularnej. Komisja oparła swe ustalenia na pisemnych wyjaśnieniach dr Magdaleny Migockiej i dr Anny Papierniak, która od października 2015 r. do listopada 2019 r. pracowała jako adiunkt w zespole prof. Danuty Antosiewicz na Wydziale Biologii UW. Ta pierwsza przyznała się do błędów i niezaplanowanych manipulacji w 6 publikacjach, ale nie była w stanie ustosunkować się do wszystkich zarzutów dotyczących wyników uzyskanych techniką Western Blot, gdyż badania te zostały wykonane przez dr Annę Papierniak. Ta pisemnie oddaliła zarzut, że jakieś ilustracje zostały zmanipulowane, przesyłając szereg zdjęć i rycin wraz ze swoją analizą. Z kolei do nieumyślnego błędu w swojej pracy przyznała się dr hab. Katarzyna Kabała. W końcowej opinii z 30 czerwca 2019 r. komisja dziekańska uznała, że wyjaśnienia dr A. Papierniak i materiał zdjęciowy dostarczony przez nią powinny zostać zweryfikowane przez eksperta w zakresie analizy grafiki komputerowej.

Raport komisji dostarczono rektorowi Jezierskiemu 4 lipca 2019 r. i ten uznał, że „nie rozstrzyga on jednoznacznie, czy popełniona została nieuczciwość naukowa” i zlecił zwrócenie się do fachowca informatyka, co komisja wykonała. Jak napisał do mnie dziekan Skarżyński, drugi raport, uzupełniony o analizę grafiki komputerowej wykonaną przez ekspertów z Instytutu Informatyki UW., został przedstawiony rektorowi 4 listopada 2019 r. Tutaj podobno potwierdzono zarzuty. Niestety władze dziekańskie zostały sprawę retrakcji w rękach dr Migockiej, która starała się „ocalić” jak największą liczbę swoich prac. Nierzetelności były też w publikacjach, w których pierwszymi współautorami byli inni badacze, a M. Migocka dostarczała tylko np. fotografie mikroskopowe.

Jak mnie rok później poinformował nowy rektor, prof. Przemysław Wiszewski, rzecznik dyscyplinarny powołany przez rektora Jezierskiego, po dłuższej analizie dokumentów, zaproponował, aby autorce udzielić upomnienia (sic!). Nie zdążono jednak tego zrobić, gdyż dr hab. Magdalena Migocka 30 marca 2020 r. odeszła z pracy na Uniwersytecie Wrocławskim za poro-

zumieniem stron. Do tej pory redakcje zdążyły retraktować trzy jej artykuły.

Nieco inny opis wczesnych wydarzeń (który moim zdaniem jest rzetelny) przedstawił mi dyrektor Instytutu Biologii Eksperymentalnej, prof. Robert Wysocki. O artykule dr. Schneidera i zarzutach wobec prac dr Migockiej dowiedział się on 30 maja 2019 r. od prof. Grażyny Kłobus. Następnego dnia widział się z nią oraz z dr hab. Małgorzatą Janicką (nowym kierownikiem zakładu, w którym pracowała dr Migocka) i uzgodnili, że trzeba pilnie spotkać się z dziekanem WNB, prof. Dariuszem Skarżyńskim, w celu ustalenia dalszych działań, a przede wszystkim powołania niezależnej komisji, której zadaniem byłaby ocena zarzutów stawianych dr Migockiej i przed którą mogłaby ona złożyć wyjaśnienia. Spotkanie odbyło się 6 czerwca 2019 r. Dziekan otrzymał pisemny wniosek o powołanie takiej komisji w celu wyjaśnienia, czy dopuszczono się nierzetelno-

ści naukowej w omawianych na PubPeer pracach. Dalej relacje się pokrywają. Warto podkreślić, że obydwu raportów komisji dziekańskiej nie upubliczniono nawet Radzie Wydziału. Jak wytłumaczył mi dziekan: „Raportów nie upubliczniałem, jako że powstały na zlecenie JM Rektora (mając mu pomóc w podjęciu decyzji o wszczęciu postępowania wyjaśniającego) i w jego gestii była decyzja o ujawnieniu ich treści”. Nie jest to zgodne z prawdą: komisja była dziekańska i to dziekan miał obowiązek przedstawić je Radzie Wydziału, czego nie zrobił.

Jak napisał do mnie prof. Wysocki, w lutym 2020 r. ustnie poinformował dziekana o wycofaniu przez redaktora naczelnego trzech kolejnych prac z „Journal of Experimental Botany” z powodu manipulacji i duplikacji zdjęć (data retrakcji: 23 stycznia 2020 r.). Została wycofana też przez autorów praca z „Journal of Biological Chemistry”. Oznaczało to retraktowanie czterech z siedmiu prac stanowiących osiągnięcie naukowe będące



Rys. Sławomir Makal

podstawą nadania pani Migockiej stopnia doktora habilitowanego nauk biologicznych. W związku z tym prof. Wysocki wyraził opinię, że niezbędne jest ponowne wszczęcie przewodu habilitacyjnego dr Migockiej. 14 lutego 2020 r. złożył na ręce dziekana oraz przewodniczącą Rady Dyscypliny Nauki Biologicznej, prof. Bogusława Pawłowskiego, pismo z informacją o wycofaniu części prac z osiągnięcia habilitacyjnego dr Migockiej z prośbą o podjęcie odpowiednich działań w tej sprawie.

Na moje zapytanie z 28 sierpnia 2020 r., skierowane do prof. Skarżyńskiego, dlaczego nie wszczął postępowania unieważniającego habilitację, otrzymałem 31 sierpnia (w ostatnim dniu jego urzędowania, bo od 1 września był już nowy dziekan, dr hab. inż. Marcin Kadej) odpowiedź, którą przytaczam: „W reakcji na pismo prof. Roberta Wysockiego, w związku z wątpliwościami natury proceduralnej, dnia 21 lutego 2020 r. zwróciłem się do Biura Radców Prawnych z prośbą o opinię, czy w zaistniałej sytuacji (retrakcja 3 z 7 publikacji) powinny zostać podjęte jakieś działania (unieważnienie stopnia doktora habilitowanego/ponowna ocena pozostałych 4 prac stanowiących osiągnięcia habilitacyjne), a jeśli tak, to jaki organ powinien sprawę procedować (Rada Dyscypliny Naukowej, Rada Wydziału czy Rektor UWr)? Opinię otrzymałem 28 sierpnia 2020 r. Wynika z niej, że to Rektor powinien powołać komisję w celu zbadania, czy istnieją przesłanki do wznowienia postępowania, po czym złożyć wniosek do Centralnej Komisji”.

Skomentuję to: co za cierpliwość! Pół roku czekać na odpowiedź, która powinna przyjść najdalej po 14 dniach.

Unieważnienie habilitacji

Moje sierpniowe zapytania i rozmowy telefoniczne sprawiły, że nowy dziekan, dr hab. inż. Marcin Kadej, 10 września powołał czteroosobową komisję ad hoc. 17 września 2020 r. zwróciła się ona do nowego rektora, Przemysława Wiszewskiego, z prośbą, aby poprosił Centralną Komisję o ponowne rozpatrzenie wniosku dr M. Migockiej o przyznanie stopnia doktora habilitowanego. Podstawą jest fakt, że z 7 prac osiągnięcia habilitacyjnego do tej chwili aż 5 publikacji zostało już unieważnionych, a szósta jest zagrożona retrakcją. Tydzień później rektor formalnie zwrócił się o wznowienie przewodu habilitacyjnego.

Wznawieniowa komisja habilitacyjna

26 listopada 2020 r. Prezydium Centralnej Komisji wznowiło postępowanie administracyjne w przewodzie habilitacyjnym M. Migockiej. Pod koniec kwietnia 2021 r. powołano komisję habilitacyjną, której przewodniczącą została prof. Zofia Szweykowska-Kulińska z Instytutu Biologii Molekularnej UAM w Poznaniu, sekretarzem dr hab. Elżbieta Myśków z Zakładu Biologii Rozwoju Roślin UWr., a członkami dr hab. Edyta Gola z Zakładu Biologii Rozwoju Roślin UWr i dr hab. Alicja Węgrzyn z Pracowni Biologii Molekularnej Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN w Gdańsku. Recenzentami zostali: prof. Iwona Ciereszko z Zakładu Fizjologii Roślin Instytutu Biologii Uniwersytetu w Białymstoku, prof. Michał Jasiński z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu, prof. Stanisław Karpiniński z Katedry Genetyki, Hodowli i Biotechnologii Roślin Instytutu Biologii SGGW w Warszawie.

Tytułem wyjaśnienia, ówczesna Rada Dyscypliny Naukowej Biologia UWr, na której prowadzono postępowanie habilitacyjne, wybrała ze swojego grona 3 członków komisji habilitacyjnej: recenzenta, sekretarza i członka. Ich kandydatury zostały przedstawione Radzie Doskonałości Naukowej (RDN), która wyznaczyła kolejnych dwóch recenzentów, przewodniczącego komisji i członka. Każda z tych czterech dobranych przez RDN osób powinna być w innej uczelni i nie może mieć żadnych związków z habilitantem. Te siedem osób tworzy komi-

sję do konkretnego przewodu habilitacyjnego. Każda z nich musi się zapoznać z osiągnięciem habilitacyjnym i dorobkiem naukowym. Trzej recenzenci muszą przedstawić w terminie 8 tygodni formalne recenzje, które są upublicznione na stronie uczelni przed posiedzeniem komisji habilitacyjnej. Decydują one o powodzeniu lub niepowodzeniu procedury. Pozostali członkowie komisji przedstawiają mniej formalne, pisemne opinie w czasie jej posiedzenia. Po dyskusji odbywa się głosowanie.

Trzeba wspomnieć, że obecnie nastąpiła mała zmiana w opisywanym powyżej schemacie postępowania habilitacyjnego. Zwiększono liczbę recenzentów do czterech i teraz RDN powołuje ich trzech, a uczelnia jednego. Wprowadzono też przepis, iż dwie negatywne recenzje z mocy prawa powodują odmowę nadania habilitacji.

15 czerwca 2021 r. zwołano posiedzenie komisji habilitacyjnej. Wszystkie trzy recenzje były negatywne i podkreślały, że unieważnienie 5 publikacji w zasadzie pozbawiło osiągnięcia habilitacyjne wartości naukowej. Mimo że pozostałe dwie prace są dobre, to nie na tyle, aby wyrównać stratę pięciu retraktowanych artykułów. Żałowano habilitantki, a kilka osób, w tym prof. Michał Jasiński, dostrzegło w niej duży potencjał naukowy i pracowitość. Zauważono, że wiele prac wydrukowano w roku 2015, stąd sądzono, że dr Migockiej „się spieszyło” z habilitacją i być może ten nadmierny pośpiech spowodował, że habilitantka „szła na skrót”, co skończyło się tak dużą katastrofą. W głosowaniu jednogłośnie uznano, że habilitacji nie można utrzymać.

Rada Dyscypliny Naukowej Biologia UWr. 24 czerwca 2021 r. podjęła uchwałę o uchyleniu uchwały z 19 maja 2016 r. oraz odmówiła we wznowionym postępowaniu nadania stopnia doktora habilitowanego. Jest ona prawomocna, gdyż nie wpłynęło odwołanie.

Trzeba dodać, że grant dr M.K. Migockiej w konkursie Sonata 3 z 2012 r. „Znaczenie fizjologiczne transporterów metali ciężkich CsMTP5, CsMTP6 i CsMTP7, reprezentujących trzy odrębne filogenetycznie grupy w rodzinie białek MTP (Metal Transport Proteins) u ogórka”, o wartości 500 tys. złotych, został rozliczony w marcu 2016 r. trzema publikacjami. Z pieniędzy grantowych kupiono mikroskop za 200 tys. złotych. Pięć lat później dwie z tych trzech prac zostały unieważnione. Redakcja ustaliła, że nowe władze UWr powiadomiły NCN o unieważnieniu części publikacji, które rozliczyły grant. Dyrektor NCN, prof. Zbigniew Błocki zdecydował o wznowieniu oceny merytorycznej rozliczenia grantu i jest ona w toku.

Kilka publikacji ze współautorstwem dr M.K. Migockiej otrzymało corrigendum, czyli poprawienie odautorskie. I tak np. redakcje „Journal of Experimental Botany” (Wydawca: Oxford Academic), „Biochemica and Biophysica Acta”, „Bio-membranes” (Wydawca: Elsevier) oraz „Molecular Microbiology” (Wydawca: Wiley) pozwoliły autorom podmienić nierzetelne ilustracje, które jakoby „pomyłkowo” trafiły do publikacji, na prawidłowe, nieobciążone „grzechem Photosopa”.

Trzeba też pamiętać, że 6 dotychczas retraktowanych prac figuruje w dorobku habilitacyjnym lub naukowym innych osób, które zapewne nie śpią spokojnie: jeśli dojdą kolejne retrakcje, sytuacja może być dla nich trudna.

Z przykrością muszę nadmienić, że za kadencji rektora Adama Jezierskiego (chemika) sprawy tej na Uniwersytecie Wrocławskim nie załatwiono tak jak potrzeba, natomiast mało brakowało, aby ją „zagrzebano”.

Z tego co mi wiadomo, dr Migocka odeszła z nauki. Redakcji nie udało się nawiązać z nią kontaktu. Ta smutna historia niech służy innym za przestrożę, że chodzenie „na skrót” może wykończyć nawet świetnie zapowiadającą się karierę.

marekwrona@gmail.com

Ukraińska misja UMCS

Olena Sloboda pochodzi ze Lwowa. Trzy lata temu rozpoczęła studia z grafiki na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie. Po ostatniej sesji wyjechała w rodzinne strony, gdzie zamierzała spędzić międzysemestralną przerwę. Tam zastała ją wybuch wojny. Przeczując dalszy rozwój wypadków, jeszcze tego samego dnia spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i wróciła do Polski. Najpierw pomagała rodakom na granicy w Zosinie. Później za namową koleżanki pojawiła się w Heliosie.

– Potrzebny był tłumacz, bo do Lublina przyjeżdżało coraz więcej ludzi nie znających ani polskiego, ani angielskiego. A trzeba ich było zakwaterować, dowiedzieć się, jakich artykułów w danej chwili najbardziej potrzebują, niektórym znaleźć lekarza, psychologa, pomoc prawną – wylicza Olena.

Dom studencki Helios stał się dla uciekających przed wojną prawdziwym azylem. Mogą tu odpocząć, przespać się, umyć, zjeść coś gorącego... Dla niektórych to tylko przystanek w dalszej podróży, inni zatrzymują się na dłużej. UMCS jako jedyna uczelnia publiczna w regionie udostępnił im cały akademik. Na ten czas oddano go pod administrację Urzędu Miasta. W tej chwili przebywa tam 300 osób, głównie matek z dziećmi, ale były dni, gdy zajętych było wszystkich 450 miejsc. Uchodźcy nie są tam pozostawieni sami sobie. Do ich dyspozycji są przez cały czas wolontariusze. Tacy właśnie jak Olena.

– Spędzam tu każdą wolną chwilę, gdy nie mam zajęć, to nawet całą dobę, bo dyżury są też w nocy. Najtrudniejszy moment? Chyba wtedy, gdy przyjechał autokar ze 150 osobami. Plakali, pytali, jak długo można tu zostać, co muszą zrobić, byli bardzo zestresowani. Uspokajałam: jesteście w Polsce, pomożemy wam – wspomina.

Universitas w praktyce

Studenci z Ukrainy, tacy jak Olena, stanowią najliczniejszą grupę cudzoziemców kształcących się na lubelskiej uczelni. Jest ich ponad osiemset. Do tego dochodzi blisko stu pracowników i doktorantów pochodzenia ukraińskiego. Już choćby z tego względu uczelnia miała do odegrania szczególną rolę w tej sytuacji. Ale same liczby nie są tu najważniejsze – one nie oddają w pełni idei universitas.

– Wypełniając edukacyjną misję uniwersytetu, przygotowujemy młodych ludzi na wyzwania współczesnego świata. Wojna w Ukrainie sprawiła, że lekcje z empatii, solidarności, współpracy nie mają już tylko teoretycznego wymiaru. Jako największa uczelnia we wschodniej Polsce, tuż przy granicy z Ukrainą, nie mogliśmy pozostać obojętni na dziejący się obok nas dramat – przyznaje rektor, prof. Radosław Dobrowolski.

– Między nami i naszymi koleżankami z Ukrainy zawsze była pewna bliskość. Oni są z nami w grupach, z nami studiują, odczuwamy bezpośrednio ich dramat – podkreśla Patryk Bukała, przewodniczący Zarządu Uczelnianego Samorządu Studentów UMCS i koordynator ds. pomocy humanitarnej na Lubelszczyźnie z ramienia Parlamentu Studentów RP.

Tuż po rosyjskiej agresji władze UMCS wyraziły solidarność z całym społeczeństwem ukraińskim, w szczególności ze swoimi studentami i doktorantami. „Zapewniamy, że w tym trudnym czasie możecie liczyć na wsparcie ze strony swojej Alma Mater w zakresie m.in. zapomóg, ustalenia puli bezpłatnych miejsc w domach studenckich dla osób pochodzących z Ukrainy, wprowadzenia obniżki opłat za studia, a także uruchomienia dodatkowej liczby bezpłatnych miejsc w ramach programu „Talenty na UMCS” – inicjatywy, która umożliwiła podjęcie bezpłatnego kształcenia na naszej uczelni” – napisało w specjalnym liście kolegium władz rektorskich.

Dynamiczna sytuacja sprawiła, że słowa błyskawicznie zamieniały się w czyn. Rektor powołał pełnomocnika ds. pomocy Ukrainie, którym została dr Alina Czarnacka. Przez Lublin w pierwszych tygodniach przetoczyła się blisko 1,5-milionowa fala uchodźców, więc pomoc ze strony uniwersytetu musiała objąć nie tylko studentów, ale także inne osoby. Utworzono Zespół ds. pomocy Ukrainie, któremu przewodniczy prorektor ds. ogólnych, prof. Arkadiusz Bereza. Uruchomiono specjalną zakładkę na stronie internetowej UMCS (www.ukraina.umcs.pl) i adres mailowy (ukraina@umcs.pl), który stał się podstawowym kontaktem z ukraińską społecznością uniwersytetu.

Z „Trójki” na front

Ducha uniwersyteckiej wspólnoty najlepiej chyba oddała zainicjowana na uczelni zaraz na początku wojny zbiórka darów. Zaangażowali się w nią również mieszkańcy Lublina. Przez ponad dwa tygodnie do punktu zorganizowanego przy stołówce akademickiej „Trójka” przynoszono to, co było najbardziej potrzebne: ubrania, żywność z długim terminem przydatności, wyroby higieniczne, artykuły medyczne niewymagające specjalnych warunków przechowywania, produkty dla dzieci. Wysłano kilkanaście transportów, w tym jeden 20-tonowy tir. Dzięki ochotnikom załadowano go w ledwie kilka godzin. Choć nie obyło się bez problemów.

– Tak duży pojazd nie mógł wjechać na miasteczko akademickie, więc czekał na wyznaczonym miejscu, a my dowoziliśmy tam paczki mniejszymi samochodami – opowiada Taras Bondarenko, który zajął się koordynacją kwestii logistycznych.

Zwłaszcza na początku ważne było, żeby pomoc trafiała na Ukrainę jak najszybciej. Współpracowano w tym zakresie z organizacjami pozarządowymi. Co dwa, trzy dni posegregowane już dary wysyłano z Lublina. Jechały m.in. do Chmielnickiego i Lwowa. Z tymi miastami uczelnia od dawna współpracuje. Znajdują się tam punkty informacyjne UMCS, których pracownicy zgłaszali zapotrzebowanie dla miejscowego centrum pomocy humanitarnej. Tam rozdzielano paczki do szpitali, miejscowej ludności czy dalej na front. Niektóre z transportów trafiły też do Równego, Czernichowa, a nawet na tereny okupowane – w tym wypadku trzeba było opracować już bardziej skomplikowaną trasę. Ale z pustymi rękoma nie zostawiano również tych, którzy przebywają w Lublinie i przychodzili do „Trójki”.



– Zaskoczyła mnie skala zaangażowania, każdy pytał, w jaki sposób może dołączyć. Na apel o pomoc w załadunku przyszło tyle ludzi, że w mig załadowaliśmy ciężarówkę. Polscy studenci pomagali swoim ukraińskim kolegom, wykładowcom, tym, z którymi codziennie się spotykają na uczelni. Jestem im naprawdę wdzięczny – podkreśla Bondarenko, który siedem lat temu przyjechał do Polski ze Lwowa. Odbywał roczne stypendium dla naukowców im. Lane’a Kirklanda. Został na UMCS, dziś pracuje w Biurze Rekrutacji.

Oprócz centralnej, zakończonej już, zbiórki, cały czas prowadzone są mniejsze, na poszczególnych wydziałach, m.in. Historii i Archeologii, Filozofii i Socjologii czy Biologii i Biotechnologii.

Będą ambasadorami

Przeprowadzono także zbiórkę pieniężną, w wyniku której udało się zrealizować założony cel – prawie 50 tys. zł. Kwota ta pozwoliła przygotować około 230 paczek żywnościowych dla studentów i ich rodzin zamieszkujących w akademikach. Ukraińcom udostępniono bowiem miejsca nie tylko w największym Heliosie, ale również w kilku innych. Wyplacono też ponad 540 zapomóg dla studentów z Ukrainy, a grupie 135 najbardziej potrzebujących obniżono opłaty za studia. W niektórych przypadkach dodatkowo zmniejszone zostały opłaty za zakwaterowanie w domach studenckich. Pomoc zaoferowano także nauczycielom akademickim z ukraińskich szkół wyższych znajdujących się na terenach objętych działaniami wojennymi. Wybrano jednak inną niż standardowa drogę – nie zatrudniania na stałe, co wiązałoby się siłą rzeczy z drenażem intelektualnym Ukrainy, lecz wsparcia na okres do ich powrotu na macierzyste uczelnie. Z miesięcznych staży (z możliwością przedłużenia o kolejne miesiące) korzysta już 14 osób. System, w ocenie rektora, funkcjonuje bez zarzutu.

– Po powrocie do swojej ojczyzny będą oni swoistymi ambasadorami naszego uniwersytetu. Liczę w przyszłości na kooperację z ich uczelniami – zapowiada prof. Dobrowolski.

Takimi ambasadorami już z pewnością są judocy z kadry osób niesłyszących. Dwóch z nich przyjechało do Lublina wraz z rodzinami z Charkowa i Równego. Korzystali z uczelnianych obiektów, głównie sali sportów walki. Intensywnie trenowali przed Deaflympics, czyli igrzyskami olimpijskimi niesłyszących. Widząc to, przedstawiciele Centrum Kultury Fizycznej UMCS postanowili pomóc w przygotowaniach do tej imprezy całej kadrze. Zaproszono ich do Lublina, w sumie 20 judoków. Przez dwa tygodnie mieszkali w domu studenckim Kronos. Ćwiczyli na matach, mogli też regenerować siły na pływalni, a przede wszystkim w spokoju szykować się do rywalizacji w brazylijskim Caxias do Sul. Przywieźli stamtąd worek medali, w tym złote w drużynowej rywalizacji kobiet i mężczyzn oraz kilkanaście indywidualnych.

– Mimo tego, co ich spotkało, piękne było to, w jaki sposób podchodzili do zajęć treningowych. Pokazali pełny profesjonalizm. Byli wdzięczni za naszą pomoc, mówili, że czują się jak w domu. A my mogliśmy dołożyć cegiełkę do ich sukcesu na igrzyskach – przyznaje prof. Tomasz Bielecki, dyrektor CKF UMCS.

Obiekty sportowe uczelni pozostają otwarte też dla pozostałych Ukraińców. Mogą dołączać do grup, które funkcjonują na stałe i obejmują pracowników UMCS bądź ich dzieci. Aktyw-

ność fizyczna pozwala na odreagowanie, rozładowanie napięcia związanego z ostatnimi przeżyciami, być może zapomnienie choć na chwilę o dramatycznej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Centrum zorganizowało turnieje sportowe, podczas których pracownicy i studenci UMCS rywalizowali w koszykówce, siatkówce, futsalu. Odbył się także maraton fitness „Kobiety – Kobietom z Ukrainy”.

W Akademickim Centrum Kultury i Mediów UMCS Chatka Żaka zostały zaaranżowane przestrzenie dla uchodźców, takie jak strefa mamy i dziecka czy sala komputerowa przystosowana dla osób ukraińskojęzycznych. Przygotowano zajęcia plastyczne, ruchowe, animacje. Audycje w swoim ojczystym języku Ukraińcy mogą posłuchać w Akademickim Radiu Centrum. Mają też możliwość nauki języka polskiego – kursy uruchomiło Centrum Języka i Kultury Polskiej dla Polonii i Cudzoziemców UMCS. Uchodźcy mogą liczyć także na grupę wsparcia psychologicznego, a dzięki współpracy z Okręgową Izbą Radców Prawnych w Lublinie, której prorektor Bereza jest dziekanem, oferowana jest także bezpłatna pomoc prawna. Radcowie doradzają w zakresie legalizacji pobytu czy ustanowienia opieki w punkcie recepcyjnym na granicy.

– Wszystkie te inicjatywy mają charakter indywidualny, ale mamy świadomość, że przyjdzie też czas na pomoc instytucjonalną, taki plan Marshalla skierowany do ukraińskich uczelni, instytutów. Jeszcze za wcześnie, by myśleć o szczegółach, wszak trudno określić, jak długo potrwać działania wojenne, lecz z pewnością zaoferujemy nasze aktywne wsparcie w odbudowie akademickiej Ukrainy – podkreśla rektor Bereza.

Beczenni wolontariusze

Warto podkreślić, że większość podejmowanych przez uczelnię działań nie byłaby możliwa bez zaangażowania społeczności akademickiej. Zgłosiło się ponad 300 wolontariuszy, w tym wielu ukraińskich studentów mieszkających w Lublinie. Delegowano ich do różnych zadań. Informowali uchodźców o adresach, kontaktach, działaniach różnych instytucji, dostarczali produkty pierwszej potrzeby, pośredniczyli w umawianiu wizyt w szpitalach czy ośrodkach pomocy, organizowali transport do miejsc, do których Ukraińcy chcieli dotrzeć, okazywali wsparcie mentalne. Bardzo cenna okazała się także pomoc językowa udzielana przez studentów ukrainistyki bądź pochodzących z Ukrainy m.in. w Lubelskim Urzędzie Wojewódzkim, Urzędzie Marszałkowskim, Centrum Interwencji Kryzysowej, Szpitalu Dziecięcym i Szpitalu Klinicznym nr 4.

– Na ten wolontariat trzeba spojrzeć też z innej strony. Kiedy Ukraińcy dzwonią do swoich rodzin i mówią, że tu wszystko jest w porządku, że są zaopiekowani, mają gdzie spać i co zjeść, to jest to niezwykle ważna informacja dla tych, którzy tam zostali i dalej walczą – mówi Patryk Bukała.

Na rolę wolontariuszy i podejmowanych przez nich inicjatyw, w które włączali się pozostali członkowie akademickiej społeczności, zwraca uwagę także rektor UMCS.

– To niezwykle cenne doświadczenie w kontekście budowania uczelnianej wspólnoty. Bez wątpienia będzie determinowało jej kształtowanie się w przyszłości – podsumowuje rektor Dobrowolski.

Mariusz Karwowski



Planowanie przyszłości

Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu znalazł się w gronie dziesięciu polskich szkół wyższych, które uzyskały status uczelni badawczej. UMK wyróżniony został w pierwszym konkursie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego odbywającym się w ramach programu Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza (IDUB). Wprowadzony na mocy ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce program ma na celu wybranie, a następnie wspieranie rodzimych szkół wyższych, tak, by mogły one konkurować ze znanymi, międzynarodowymi ośrodkami naukowymi. Status uczelni badawczej zapewnia, poza oczywistym prestiżem, także większe środki finansowe, które niezbędne są do planowania kolejnych etapów rozwoju. O tym, jak wykorzystuje otrzymaną szansę uniwersytet z grodu Kopernika, informuje czasopismo „Głos Uczelni” (nr 3-4/2022).



Jak się okazuje, toruńska uczelnia postawiła, po pierwsze, na koncepcję 4xINCUCO, co w skrócie oznacza internacjonalizację, interdyscyplinarność, innowacyjność oraz integralność, po drugie zaś wyznaczyła sobie sześć głównych celów do realizacji. Wśród tych ostatnich znalazło się zarówno zwiększenie wpływu działalności uczelni na rozwój światowej nauki, wzmocnienie jej współpracy badawczej z uznanymi ośrodkami, jak i podwyższenie jakości kształcenia, a także przygotowanie kompletnych rozwiązań mających na celu rozwój zawodowy pracowników, podniesienie jakości zarządzania czy wreszcie zintensyfikowanie wpływu uczelni na całe otaczające ją środowisko.

Potrojenie

Co trzeba zrobić, by osiągnąć dobre wyniki w procesie rekrutacji? Po pierwsze należy przygotować ofertę złożoną z atrakcyjnych kierunków, czyli takich, których ukończenie realnie zwiększy szansę przyszłych absolwentów na znalezienie atrakcyjnej pracy. O tym, jak to się robi w praktyce, dobrze wiedzą na Politechnice Częstochowskiej.

Uczelnia, która jako pierwsza w Polsce uruchomiła kierunek budownictwo z wykorzystaniem technologii BIM, z powodzeniem kontynuuje swoją dobrą passę. W nadchodzącym roku akademickim planuje uruchomić trzy nowe, obdarzone dużym potencjałem kierunki studiów. Pierwszym z nich będzie inżynieria gospodarki obiegu zamkniętego. Studia, które przygotować mają wysoko wykwalifikowaną kadrę do pracy w tych sektorach, gdzie



powstają duże ilości odpadów, pozwolą zdobyć szereg przydatnych w tej konkretnej branży kompetencji. Odnawialne źródła energii (OZE), to drugi z planowanych kierunków. Nastawiony na przyszłość, swoją przewagę zawdzięczać powinien wzrastającemu zapotrzebowaniu na fachowców z branży OZE, co ma ścisły związek z potrzebą odchodzenia od paliw kopalnych i koniecznością wdrażania planu transformacji energetycznej. Ostatnim zapowiadany kierunkiem jest architektura krajoobrazu. Charakteryzujący się interdyscyplinarnością, połączyć ma zagadnienia z obszarów obejmujących dziedziny przyrodnicze, techniczne oraz artystyczne. Jego absolwenci nauczą się sposobów projektowania i zarządzania przestrzenią zarówno naturalną, jak i kulturalną.

Aby dowiedzieć się więcej na temat ambitnych planów edukacyjnych uczelni spod Jasnej Góry, sięgnąć trzeba do pisma środowiska akademickiego „Politechnika Częstochowska” (nr 77/2022).

Podobieństwa łączą

Wspólnota takich wartości, jak wolność, prawda, poszanowanie godności jednostki, równość społeczna, międzyludzka solidarność, a także tolerancja i równe traktowanie różnorodności na trwałe połączyła trzy gdańskie uczelnie. Powstały w wyniku chęci wspólnego działania Związek Uczelni w Gdańsku im. Daniela Fahrenheita stworzyły kolektywnie: Gdański Uniwersytet Medyczny, Politechnika Gdańska oraz Uniwersytet Gdański. Podpisana umowa o powołaniu do życia wspólnoty Uczelni Fahrenheita oraz kooperacja przy tworzeniu federacji o identycznej nazwie zjednoczyła wspomniane podmioty w imię potrzeby realizowania misji, której celem jest rozwój potencjału naukowego miasta, z którego pochodzą wszystkie uczelnie oraz zadbania o to, by zyskało ono miano wiodącego ośrodka akademickiego, liczącego się na polskiej i międzynarodowej niwie naukowej. O tym, jak wygląda współdziałanie różnych jednostek, jakie mają plany i jakie projekty zgodnie realizują, informuje miesięcznik Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego „Gazeta GUMed” (nr 4/2022).



Na łamach czasopisma przeczytać można o tym, jak wiele powstała wspólnota czerpie z gdańskich tradycji akademickich, które sięgają czasów jej patrona Daniela Fahrenheita, a także, w jaki sposób projekt, taki jak chociażby wspólny zakup systemu bibliotecznego pozwalający na wprowadzenie jednej karty bibliotecznej, nie tylko potrafi ułatwić życie wszystkim jego użytkownikom, ale także umożliwia wynegocjowanie korzystnej ceny zakupu.

Obecnie trwają prace nad powołaniem międzyuczelnianych studiów podyplomowych. Podkreślenia wymaga fakt, że wszelkie decyzje, jakie zapadają podczas Zgromadzenia Uczelni Fahrenheita, są zawsze konsultowane z przedstawicielami społeczności akademickich wszystkich trzech uczelni członkowskich, co oznacza, że głos każdego z podmiotów ma równorzędne znaczenie, a wszystkich razem łączą wspólne cele.

Aneta Zawadzka

Zbigniew Drozdowicz

Poważny uczyony

Powagi uczonym mogą również ujmować zachowania, które nawet przez osoby spoza akademickiego środowiska uznawane są za niewłaściwe. Jednym z nich jest nadużywanie alkoholu.

Nazwanie kogoś poważnym uczonym spotka się raczej z zadowoleniem ze strony osoby w ten sposób wyróżnianej, nawet jeśli ma to jedynie grzecznościowy charakter. Inne reakcje mogą dotyczyć tych, którzy dobrze znają osiągnięcia naukowe tej osoby i uważają, że nawet przy daleko idącej wyrozumiałości nie można ich uznać za poważne. Problem nie tylko w tym, że określenia tego się nadużywa, ale także w tym, że jest kwestią dyskusyjną zarówno to, co dodaje, jak i to, co ujmuje powagi uczonym.

Dodawanie powagi

Lista tego, co dodaje powagi, nie tylko jest zróżnicowana, ale także zmienna historycznie. Można wprawdzie umieścić na jej szczycie osiągnięcie w nauce tak znaczących wyników, że stanowią one albo rozwiązanie któregoś z fundamentalnych problemów, albo przynajmniej takie jego przeformułowanie, że otwiera ono nowe możliwości jego rozwiązywania. Tego rodzaju osiągnięcia w nauce mają jednak miejsce stosunkowo rzadko. Co więcej, o tym, że mają one przełomowy charakter, niejednokrotnie decydują nie tylko ci, którzy ich dokonali, ale także ci, którzy podążyli za ich wskazaniami i potwierdzali (lub nie) trafność owych osiągnięć, nawet jeśli wymagały one pewnych korekt. Wprawdzie korekty nie stanowią przeważnie przeszkody uznania „ojców” dokonań za poważnych uczonych, to jednak zwykle dopisywani są do tej listy również ci, którzy coś istotnego w nich zmienili. Ważne jest, aby te zmiany oznaczały ulepszenie rozwiązań i stawianych problemów. To jednak również nie zdarza się często. Niemniej się zdarza i to w naukach, które mają długie tradycje. Należy do nich m.in. fizyka. Interesującym przyczynkiem do dyskusji o jej poważnych przedstawicielach może być obraz *Ewolucji fizyki* nakreślony przez Alberta Einsteina i Leopolda Infelda. Do refleksji może skłaniać to, że w książce tak krótka jest lista tych, których oni zaliczyli do poważnych uczonych, oraz to, że za przełomowe uznane zostały dopiero dokonania Galileusza i Izaaka Newtona. Wygląda tak, jakby dopiero od nich zaczynała się poważna fizyka, a przecież ma ona znacznie dłuższe tradycje i we wcześniejszym okresie również można znaleźć niejednego fizyka, łączącego zwykle fizykę z matematyką i z astronomią, który miał również poważne dokonania.

Powagi uczonym może również dodawać ich instytucjonalne umocowanie. Jest to jednak jeszcze bardziej dyskusyjny wskaźnik niż poprzedni, zwłaszcza jeśli łączony jest z ich funkcjonowaniem na uczelniach. Przez wiele stuleci oznaczał on bowiem nie tylko ich podleganie różnego rodzaju uczelnianym

zależnościom, ale także sprawującymi nad uczelniami kontrolę kościelną zwierzchnościom, określającym granice poprawności ich myślenia i mówienia. Dotyczyło to również takich poważnych uczonych jak wymieni wyżej fizycy i astronomowie. W *Ewolucji fizyki* pomijane są milczeniem zarówno kłopoty Galileusza z kościelnymi cenzorami, jak i kłopoty Newtona z kultywowanymi m.in. w Kościele anglikańskim wierzeniami w Trójcę Świętą. Dla tego uczonego był to jednak poważny problem, gdyż nie wierzył on w jej istnienie, a jednocześnie był profesorem w Trinity College (Kolegium Świętej Trójcy) Uniwersytetu w Cambridge. Przyjął zresztą święcenia kapłańskie, dołączając tym samym do grona uniwersyteckich teologów. Poważnym problemem było jednak dla niego nie tylko pogodzenie religijnych przekonań z wierzeniami akademickiego otoczenia, ale także z raczej mało poważnym traktowaniem przez to otoczenie uczelnianych obowiązków. Podejście to sprawiło, że w XVIII stuleciu uczelnia ta – podobnie zresztą jak konkurujący z nią Oxford – znalazła się w głębokim upadku, a ci, którzy chcieli prowadzić poważne badania naukowe, szukali miejsca dla siebie poza ich murami. Kryzys dotknął zresztą wiele uczelni również w innych krajach, w tym Akademię Krakowską. Sprawili, że zatrudnienie na nich w gruncie rzeczy przestało być wyznacznikiem powagi uczonego. Jednak w świadomości uczonych wyznacznik ten nie przestał funkcjonować i był, oraz jest, stosowany również przez tych, którzy z konfrontacji z uczelnianą rzeczywistością wynieśli nie najlepsze doświadczenia.

Sporym uznaniem cieszy się także dodawanie uczonym powagi przez tytuły. Jest z tym jednak spore zamieszanie. Tylko jedną z jego przyczyn jest utrata dawnego znaczenia tytułu naukowego magistra (pierwotnie oznaczał on akademickiego mistrza) oraz nabranie nowego znaczenia przez tytuły doktora i profesora (przez długi czas związane były one nie z prowadzeniem badań, lecz z akademickim nauczaniem). Dzisiaj z pewnym namaszczeniem tytułuje się magistrami stanowiących apteczny personel magistrów farmacji, a doktorami nazywa się wszystkich lekarzy. Jednak w środowisku akademickim mało kto ma wątpliwości co do tego, że absolwentom studiów magisterskich zwykle sporo brakuje do mistrzostwa w ich naukowej dyscyplinie. Natomiast uzyskanie doktoratu traktowane jest w wielu krajach w najlepszym razie jako przekroczenie pierwszego progu do poważnej naukowości. Są zresztą w wielu krajach doktoraty, które łączy się nie tyle z naukowością, co z umiejętnością wdrożenia naukowych rozwiązań (tak jest nie tylko w Polsce, ale także w innych krajach). To ogromne zróżnicowanie doktoratów sprawia, że nie-

jednokrotnie trudno powiedzieć, czy spotykany PhD lub doktor ma jeszcze, czy już nie ma nic wspólnego z nauką. Nieco inaczej to wygląda z tytułem profesora. Jednak tylko w krajach, gdzie – tak jak np. w Niemczech – z uporem obstaje się przy generalnej zasadzie, że tym tytułem naukowym mają prawo posługiwać się jedynie osoby faktycznie posiadające wysokie kwalifikacje naukowe i prowadzące badania naukowe. W Hiszpanii jest tak wiele kategorii profesorów, że mieszczą się wśród nich również ci, którzy – tak jak np. profesor ayudante – są dopiero na początku swojej drogi do uzyskania wysokich kwalifikacji naukowych.

Ujmowanie powagi

Nie można powiedzieć, że wszystko to, co jest przeciwieństwem dodawania powagi, ujmuje jej uczonym. Ta druga lista jest bowiem nie tylko znacznie bardziej zróżnicowana niż pierwsza, ale także jest sporządzana według bardziej kontrowersyjnych kryteriów. Przykładowo: w przywoływanej w poprzednim punkcie rozważań *Ewolucji fizyki* jej autorzy całkowicie pomijają milczeniem m.in. astrologiczne i alchemiczne zainteresowania Newtona. Można przypuszczać, że wychodzili oni z założenia, iż ich przywołanie ujmowałoby powagi zarówno uczonemu, jak i jego historycznym dokonaniom. Moim zdaniem, może ono jednak stanowić ułatwienie w zrozumieniu uwarunkowań, które sprawiły, że jego naukowe osiągnięcia w fizyce wymagały później istotnych korekt. Co by się jednak nie powiedziało o dokonaniach Newtona, to jego wpływ na późniejszy rozwój nauki jest ogromny.

Kwestia określenia takiego wpływu stanowi dzisiaj jedną z poważniejszych kontrowersji w środowisku akademickim. Jest spora liczba osób, które nie tylko opowiadają się za mierzaniem powagi uczonych i ich dokonań współczynnikiem wpływu (Impact Factor), który da się dokładnie określić metodą Hirscha. Inni jednak uważają, że nie można traktować zbyt poważnie ani tego wskaźnika, ani tej metody, ani tych, którzy wierzą w ich wiarygodność. Należy do nich m.in. Edward Towpik (profesor medycy w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym), autor zamieszczonego w czasopiśmie „Nowotwory. Journal of Oncology” artykułu pt. *IF-mania*. Wskazuje w nim m.in., w jaki sposób tzw. prestiżowe wydawnictwa kupują sobie „Świętego Graala”, jakim jest dla wielu uczonych Journal Impact Factor (JIF) i „manipulują składowymi wzorami obliczeń”, według którego ustalane są wskaźniki przywołań autorów publikujących w ich czasopismach; „jest tajemnicą poliszynelem, że szereg pism (a może raczej wpływowych koncernów wydawniczych?) negocjuje z Thomson Scientific elementy składające się na wzór obliczeń JIF”. Autor tego artykułu przekonywująco wykazuje, że „ten „dyktat JIF może prowadzić do nierzetelności naukowej”, a w skrajnych przypadkach do zawłaszczania cudzej własności intelektualnej. Żadna kradzież nie dodaje powagi, a ujmuje jej ona zwłaszcza tym, którzy są uczonymi lub przynajmniej chcieliby za nich uchodzić.

Nie tracę jednak nadziei, że w którymś momencie przyjdzie opamiętanie w pogoni za wysokimi wskaźnikami wpływu. Sygnały opamiętania lub przynajmniej ostrzeżenia uczonych przed zgubnymi następstwami tej „IF-mani” już są. W naszym kraju jest to m.in. głos E. Towpika (nieodosobniony). Natomiast w Stanach Zjednoczonych stanowi je sygnowana „pierwotnie przez 155 indywidualnych badaczy i redaktorów pism oraz 82 instytucje” *Declaration on Research Assessment* z maja 2013 roku. Oby te głosy trafiły do przekonania naszych „IF-manów”, którzy określają dzisiaj kryteria dla poważnych uczonych oraz poważnych uczelni i przyznają różnego rodzaju bonusy tym, którzy opublikowali artykuły w tzw. prestiżowych czasopismach.

Powagi uczonym mogą również ujmować zachowania, które nawet przez osoby spoza akademickiego środowiska uznawane są za niewłaściwe. Jednym z nich jest nadużywanie alkoholu. Informacje o tym, że akademicka kadra znakomitej dzisiaj uczelni, jaką jest Uniwersytet Oxfordzki, miała w przeszłości problem z alkoholem, powtarzają się w przekazach absolwentów, w tym tak szeroko znanych jak filozof Thomas Hobbes i historyk Edward Gibbon. Przebywający w latach 1966-1967 w należącej do tej uczelni All Souls College Andrzej Walicki wspomina, że dzisiaj te pijackie tradycje są w nim kultywowane w ten sposób, że jest „jeden wieczór w roku, kiedy należy się «wstawić»”. Rzecz jasna, rozmaicie wygląda kwestia takiego „wstawiania się” w różnych uczelniach. Jednak stwierdzenie, że w krajach zachodnich kadra uczelni w zdecydowanej większości stroni od alkoholu, byłoby bardzo ryzykowne. Problem jednak nie w tym, że poważny uczony z zasady powinien być abstynentem, lecz w tym, że nie powinien nadużywać alkoholu. Bo uczony, który chwiejnym krokiem przychodzi na zajęcia ze studentami, a na wykładach niewyraźnie bełkocze, wygląda raczej mało poważnie. Ponoć alkohol jest również dla ludzi, a uczony to przecież też człowiek. Jest jednak wiele sytuacji, w których może on dać świadectwo słabości do alkoholu bez narażania na szwank reputacji swojej oraz zatrudniającej go uczelni. Są



zresztą regulacje prawne, które zakazują spożywania alkoholu w miejscach publicznych, a uczelnie są takim miejscem. Trzeba jednak do tego jeszcze chcieć ich przestrzegać i potrafić egzekwować. Z tym oczywiście różnie bywa (nie tylko w Polsce).

Moje spostrzeżenia

W pierwszej kolejności dotyczą one spożywania alkoholu w krajach romańskich, w których wielokrotnie przebywałem, i na moim rodzimym „podwórku” akademickim, tj. w tak poważnej i ważnej na polskiej mapie akademickiej uczelni, jaką jest UAM. Jeśli chodzi o te pierwsze, to mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że występuje w nich spore upodobanie do spożywania dobrych win i społeczność akademicka nie jest od niego wolna. Pewnym zaskoczeniem we Francji było dla mnie to, że Francuz potrafi wypić butelkę wina przy jednym posiłku i później uisnąć za kierownicę oraz w miarę bezpiecznie dojechać do domu. Natomiast w Hiszpanii stanowił go zwyczaj dolewania gościom do kieliszka przez kelnerów dopóty, dopóki oni stanowczo nie zaprotestują. Sprawia to, że któryś z uczonych może wychodzić z lokalu na tak „miękkich” nogach, że potrzebuje pomocy życzliwych mu przyjaciół (byłem świadkiem takiej sytuacji). Sporo mógłbym powiedzieć również o słabości do alkoholu w krajowym wydaniu. Powiem jednak jedynie, że

spotykałem się z nią zarówno jako student, jak i pracownik naukowy mojej uczelni. Traumatyczna dla mnie była sytuacja, gdy towarzyszyłem swojemu profesorowi okazującemu w miejscu publicznym objawy alkoholowego upojenia.

Kłopotliwe sytuacje obserwowałem również w przypadku zachowania niektórych uczonych, którzy po przekroczeniu progu samodzielności naukowej (przyjęło się, że stanowi go uzyskanie habilitacji) oczekiwali od akademickiego otoczenia traktowania, jakie w ich przekonaniu należy się poważnym uczonym. Nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby szły z tym w parze nadzwyczajne osiągnięcia naukowe. Rzecz w tym, że nie szły. Jednak powiedzenie tego formalnie samodzielnemu uczonemu mogłoby wywołać oburzenie, a w przypadku, gdy poza stopniem doktora habilitowanego otrzymał również stanowisko profesora uczelnianego, mogłoby to nawet sprawić, że będzie się w nim miało dozgonnego wroga. Nie mogę wykluczyć, że już ta dosyć ogólna i pozbawiona personaliów uwaga może uszczuplić grono moich przyjaciół. Dodam jednak, że dzisiaj w naszym kraju łatwiej uzyskać formalną samodzielność akademicką niż wyniki badawcze, które stanowią znaczące osiągnięcie naukowe. Co więcej, po jej uzyskaniu można całymi latami świętować sukces i nie skalać się poważniejszym wysiłkiem badawczym.



Fot. Stefan Ciechan

Na cienkim lodzie

Organizatorzy wielu kursów i autorzy wielu samouczków obiecują nauczyć języka biegle, ale bez „tej nudnej gramatyki”. Chciałbym powiedzieć to jasno i wyraźnie, podkreślając jednocześnie, że to tylko moje przekonanie: uważam, że to niebezpieczna iluzja.

Kontrast między bierną a czynną znajomością angielskiego

Filozofia to kraina cierpliwych. Szereg podstawowych pytań ontologicznych, epistemologicznych i etycznych postawionych jeszcze w starożytności do dziś nie doczekało się satysfakcjonującej odpowiedzi, a w odniesieniu do wielu z nich sformułowanie takowej kiedykolwiek jest mało realne. W przypadku niektórych zagadnień samo zadanie właściwego pytania zajęło wiele stuleci. O takich nierozstrzygalnych problemach Tadeusz Mazowiecki powiedział, że pytania, na które nie ma odpowiedzi, rozwiązujemy nie przez ich wyjaśnienie, ale przez postawę wobec nich. Zawsze jest jednak jeden warunek – że zrozumieliśmy pytanie. W mojej pracy redaktora w wydawnictwie naukowym mam niestety wrażenie, że pytania, które stawiam autorom, nie zawsze są dla nich jasne, choć posługujemy się tym samym językiem. Tytuł tego artykułu jest bardzo istotny. Mam świadomość, że poruszam w nim zagadnienie delikatne, którego jak dotąd starałem się w tym cyklu publikacji unikać. Uznałem jednak, że nikomu nie stawiam zarzutów ani nie umniejszam niczych kompetencji, zwracam jedynie uwagę na pewien problem, który – podobnie jak wielkie pytania filozofii – nie ma jednego, prostego rozwiązania.

Redagowanie artykułu naukowego czy książki naukowej (ani żadnej innej) nie jest procesem jednokierunkowym. Nie wygląda to tak, że artykuł opuszcza biurko autora, wjeżdża na biurko redaktora i z niego z kolei idzie już tylko do składu i do drukarni. Redaktor nie tylko poprawia tekst, ale też konsultuje się z autorem, gdyż to ten ostatni jest specjalistą w danej dziedzinie i jest w stanie wyjaśnić niezrozumiałe fragmenty i odpowiedzieć na wątpliwości redaktora. Konsultacje takie obejmują zarówno kwestie merytoryczne (np. używanie konkretnych pojęć, uwidacznianie w wywodzie pewnych zależności między opisywanymi zjawiskami), jak i bardziej lub wręcz czysto językowe. Przy tych pierwszych zdarza się, że to dla mnie pewne zagadnienia są nie do końca uchwytne i muszę zaufać zarówno autorowi, jak i redaktorowi tematycznemu oraz recenzentom, którzy są specjalistami w danej dziedzinie. Przy tych drugich bywa jednak, że to autorzy zdają się nie rozumieć moich pytań. Nie jest to w żadnym sensie ich (ani niczyja) wina ani nie daje to żadnemu redaktorowi prawa do poczucia wyższości czy połajane. Z drugiej strony nie zmienia to jednak faktu, że porozumienie się jest utrudnione, a bez niego nie da się poprawić tekstu w satysfakcjonujący obie strony sposób.

Podam konkretny przykład takiej sytuacji. Jakiś czas temu poprawiałem artykuł napisany generalnie dość poprawną angielszczyzną, w którym znalazłem jednak kilka zdań pozbawionych orzeczeń. Nie były to równoważniki zdań, ale zdania podrzędnie złożone, w których w zdaniu nadrzędnym nie było osobowej formy czasownika użytej w funkcji orzeczenia. Taka konstrukcja nie może być poprawna składniowo ani po angielsku, ani po polsku, ani w żadnym języku europejskim. Zazna czyłem zatem w tekście te fragmenty, każde z nich opatrując komentarzem, że dane zdanie nie zawiera orzeczenia (ang. predicate). Ponieważ autor był obcokrajowcem, korespondowałem z nim po angielsku. Otrzymałem odpowiedź, że zdanie zawiera hipotezę (hypothesis). Najwyraźniej autor nie zrozumiał słowa predicate jako terminu gramatycznego, ale jako wskazanie, że zdanie orzeka o faktach (np. niemieckie das Prädikat to także orzeczenie urzędowe lub ocena). Postanowiłem zatem wyrazić się prościej i wskazałem, że zdanie nie zawiera osobowej formy czasownika (personal verb form). W odpowiedzi autor wskazał na obecny w zdaniu czasownik, który nie był jednak formą osobową, ale imiesłowem czasu przeszłego (past participle), w takiej pozycji w zdaniu pełnił rolę przymiotnika. Na tym etapie zdawałem już sobie jednak sprawę, że dalsza rozmowa za pomocą terminów gramatycznych nic nie wniesie i wysłałem autorowi przerobione przeze mnie zdanie z luką [VERB] w miejscu, gdzie miało być orzeczenie (wybór właściwego czasownika wymagał wiedzy o przebiegu opisywanego eksperymentu, której nie dało się wynioskować z reszty tekstu). Nie od razu uzyskałem satysfakcjonującą mnie odpowiedź, ale po wymianie dalszych kilku maili problem udało się rozwiązać.

Autor wspomnianego artykułu nie rozumiał ani natury błędu (nie widział, że w zdaniu brakuje jego najważniejszej części), ani używanej przeze mnie terminologii. To drugie jest mniej zaskakujące, gdyż podczas nauki języków obcych nawet na zaawansowanym poziomie rzadko zapoznajemy się z językoznawczym aparatem pojęciowym – co najwyżej z nazwami części mowy (verb, noun, adjective, preposition etc.), a i to niekoniecznie. Jednak niedostrzeżenie braku orzeczenia w zdaniu wydaje mi się częścią szerszego problemu. Ująłbym go tak: u wielu naukowców (i w ogóle u wielu wykształconych osób, z którymi się stykam) obserwuję duży kontrast między bierną a czynną znajomością angielskiego na zaawansowanym

poziomie (oczywiście przy założeniu, że dla danej osoby nie jest to język ojczysty). Bez problemu korzystają z anglojęzycznych źródeł, ale gdy mają sami stworzyć jakiś tekst naukowy, jest on schematyczny składniowo i najeżony potocznymi bądź żargonowymi określeniami. Jako że zajmowałem się też (a trochę zajmuję do dziś) nauczaniem języków obcych (angielskiego i niemieckiego), mam podejrzenie, że wynika to ze sposobów, w jakie autorzy, z którymi się stykam, uczyli się lub uczą angielskiego, a także z uświadomionych lub nieświadomych celów i motywacji tej nauki.

Szczególnie na Dalekim Wschodzie nie stanowią rzadkości badacze, którzy uczyli się angielskiego głównie w piśmie i głównie biernie – poprzez tłumaczenie tekstów o wzrastającym poziomie trudności i pamięciowe opanowywanie słownictwa. To prawda, że takie nauczanie języków dominowało do pojawienia się metody konwersacyjnej w szkołach Berlitz, czyli do lat 70. XIX wieku, ale stosowano w tym celu specjalne podręczniki, zawierające liczne ćwiczenia gramatyczne oraz rozbudowane zadania pisemne (przede wszystkim tworzenie różnego typu listów). Tak nauczana osoba mogła wprawdzie nie umieć mówić w danym języku, ale w piśmie znała go i biernie, i czynnie. Natomiast uczenie się wyłącznie rozumienia tekstów bez ich tworzenia skutkuje słabą znajomością mechanizmów gramatycznych, zwłaszcza składniowych, i nieodróżnieniem od siebie np. różnych czasów, skoro uczący się koncentruje się na opanowywaniu znaczeń pojedynczych słów, a nie całych zdań. Jest to wyraźnie widoczne w używaniu zaimków. Niewielka fleksyjność angielszczyzny (wiele części mowy w ogóle się nie odmienia, a jeśli tak, to kategorii, przez które odmieniamy, i możliwych form jest niewiele) powoduje, że w zdaniu złożonym łatwo doprowadzić do sytuacji, gdy nie wiadomo, do którego wyrazu w zdaniu poprzedzającym odnosi się zaimek (np. *it, which, that*) w kolejnym zdaniu. Przy czytaniu na ogół rozu-

miemy to intuicyjnie, ale gdy piszemy sami, trzeba to kontrolować, gdyż łatwo o błąd, a przynajmniej dwuznaczność. Osoba, która uczyła się tylko rozumienia i tylko w piśmie, może po prostu nie zrozumieć, dlaczego redaktor o to pyta. Tego rodzaju problemy mają często osoby, które uczyły się języka na własną rękę. Sam jestem częściowo samoukiem w tym obszarze i wiem, jak ważne jest korzystanie z odpowiednich narzędzi (np. odpowiednich podręczników czy materiałów multimedialnych i internetowych) do samodzielnej nauki, przygotowanych przez doświadczonych metodyków, gdyż pozwalają one ćwiczyć także inne umiejętności językowe, a nie tylko bierne rozumienie. Warto też mieć na uwadze, że język to narzędzie wymagające kreatywności w posługiwaniu się nim, a nie wyłącznie reprodukcja gotowych wzorców. Głównie bierna znajomość języka skutkuje trudnościami w przeformułowywaniu zdań czy całych akapitów, co bywa konieczne, jeśli skanowanie za pomocą narzędzi antyplagiatowych ma wypaść pomyślnie.

Piszemy inaczej niż mówimy

Wychyleniem w drugą stronę są metody kładące nacisk przede wszystkim na mówienie, praktykowane w wielu nowocześniejszych prywatnych szkołach językowych (np. metoda Callana). Ogromną zaletą takiej nauki jest duża swoboda w komunikacji bezpośredniej. Nawet jeśli zabraknie nam słowa czy konstrukcji gramatycznej, jakoś wybrniemy z sytuacji. Takie metody nie są jednak – wbrew reklamom szkół, które nieraz tak je prezentują – panaceum na problemy z nauką języków, budują bowiem fałszywe przekonanie o biegłej znajomości danej obcej mowy. Tymczasem tzw. *flow* podczas mówienia nie oznacza jeszcze zaawansowanej znajomości języka, a ta jest niezbędna przy pisaniu dłuższych tekstów (np. właśnie artykułów naukowych) i nie da się jej skompensować za pomocą słowników czy narzędzi elektronicznych, gdyż oficjalna odmiana



Fot. Stefan Cierchan

angielszczyzny to także specyficzna składnia, a nie tylko słownictwo. Osoby uczone głównie taką metodą, które w niewielkim zakresie ćwiczyły dłuższe i bardziej sformalizowane wypowiedzi pisemne, często argumentują, że uczyły się przede wszystkim po to, „żeby się dogadać”. Tymczasem „dogadanie się” – rozumiane jako porozumiewanie się w codziennych sytuacjach – może mieć z uprawianiem nauki po angielsku niewiele wspólnego. Nie chodzi tu tylko o słownictwo z oficjalnego rejestru. Piszemy zupełnie inaczej niż mówimy, zarówno po polsku, jak i po angielsku.

Paradoksalnie pewne zalety ma wciąż praktykowana na lektoratach języków obcych na wielu polskich uczelniach tradycyjna metoda szkolna książka-tablica-zeszyt, wspomagana nagraniami audio. Wielu lektorów prowadzi takie zajęcia z użyciem bardziej tradycyjnych (co nie znaczy starych) podręczników, które do pewnego stopnia nazywają opanowywane przez słuchaczy konstrukcje gramatyczne i wyjaśniają, jak je budować i do czego można je stosować. Takie analityczne podejście do nauki języków obcych pozwala mi nie samemu opanować je – po latach nauki! – w stopniu umożliwiającym np. wykonywanie tłumaczeń pisemnych zarówno z języka obcego na ojczyzny, jak i w drugą stronę. Organizatorzy wielu kursów i autorzy wielu samouczków obiecują nauczyć języka biegle, ale bez „tej nudnej gramatyki”. Chciałbym powiedzieć to jasno i wyraźnie, podkreślając jednocześnie, że to tylko moje przekonanie: uważam, że to niebezpieczna iluzja. Niebezpieczna, gdyż budzi w słuchaczach kursu przekonanie, że znają język w stopniu umożliwiającym użycie go w różnych zastosowaniach. Na pewnym poziomie nie tyle znajomości, co stosowania języka konieczny jest (moim zdaniem) także jakiś poziom świadomości językowej, nie tylko tego, co mówimy, ale też jak i jakimi elementami języka się przy tym posługujemy. Wielu pracowników nauki, z którymi się stykam, mówiąc o swojej znajomości angielskiego, ma na myśli przede wszystkim wymowę i akcent, a w zastosowaniach, o których mówimy, nie one są najważniejsze. Można mówić pięknie, płynnie i poprawnie, nie znając żadnych językoznawczych pojęć, w dawniejszych czasach tra-

fiali się kilkudziesięciu ludzie nieumiejący nawet czytać. Natomiast nie sposób jest moim zdaniem zarówno współpracować z redaktorem, jak i wykonywać tłumaczenia pisemne (nawet własnych tekstów) czy pisać utrzymane na wysokim poziomie teksty w obcym języku bez bazowej znajomości jego gramatyki. Pewnych zagadnień nie da się wytłumaczyć bez użycia tych pojęć, przynajmniej najbardziej podstawowych, a redaktor nie wszystko będzie w stanie przerobić na własną rękę, gdyż nie zna opisywanego zagadnienia ani trochę w takim stopniu, jak autor. Wiedzy o języku, którym posługują się naukowcy do upubliczniania wyników badań (na tym etapie rozwoju ludzkości – angielskiego), nie można cedować tylko na fachowców (tj. redaktorów). Zdarzają się autorzy-Polacy, którzy, gdy pytam, co mieli na myśli w konkretnym miejscu tekstu, opisują to po polsku i proszą, żebym sobie przetłumaczył. Wielu z nich to wybitni specjaliści i któregoś dnia mogą otrzymać propozycję publikacji np. w „Nature”. Taka metoda porozumiewania się z redaktorem może się wówczas okazać mało skuteczną.

Uważam, że pisząc ten tekst, stąpałem po cienkim lodzie, gdyż może on zostać odebrany jako sugestia, że polscy naukowcy czy badacze w ogólności słabo znają angielski, a ja uważam to za przejaw niekompetencji. Jestem jak najdalszy od takiego myślenia, chcę tylko zwrócić uwagę na to, że sposób, w jaki uczymy się języka, ma potem wpływ na to, do czego potrafimy go użyć. A współcześnie trudno jest przecież uprawiać wielkość gałęzi nauki bez publikowania po angielsku. Warto zatem potraktować naprawdę staranne opanowanie tego języka jako ważne narzędzie pracy, a nie tylko poboczną umiejętność, która pojawia się gdzieś w tle, sama z siebie. Nie można też defetystycznie nie opuszczać rąk, twierdzić, że nie ma się talentu do języków i liczyć na fachowców. Nawet jeśli badacz korzysta z usług tłumaczy, specjalistów w scientific writing czy native speakerów obrabiających teksty przed wysłaniem ich do wydawnictwa czy redakcji czasopisma, na pytania redaktora odpowiadać będą nie ci specjaliści, ale autor. Warto – choć zabrzmiało to jednak nieco arogancko – aby był w stanie zarówno zrozumieć pytanie, jak i na nie odpowiedzieć bez pomocy osób trzecich.

Nowi profesorowie

18 maja 2022 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Marcin Grzegorz Gmys** (UAM)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Piotr Wincenty Czech** (PŚ), **Justyna Anna Kobylarczyk** (PK), **Andrzej Roman Kulczycki** (ITWL Warszawa), **Wojciech Piasta** (PŚk), **Krzysztof Pikoń** (PŚ), **Krzysztof Sławomir Strzelec** (PŁ), **Maria Jolanta Sulewska** (PB), **Marta Xymena Szachniuk** (PP), **Barbara Krystyna Tchorzewska-Cieślak** (PRz), **Krzysztof Walczak** (UEP), **Wojciech Witkowski** (PG), **Adam Zofka** (IBDiM Warszawa)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Jan Krzysztof Bilski** (UJ), **Michał Jarosław Grąt** (WUM), **Tomasz Tadeusz Hryniewiecki** (IK Warszawa), **Tomasz Hryszko** (UMB), **Marek Hus** (UML), **Iwona Maria Inkielewicz-Stępiak** (GUMed), **Krzysztof Marek Kochanek** (IFiPS Warszawa), **Tomasz Kocki** (UML), **Andrzej Mastalerz** (AWF Warszawa), **Adam Nogalski** (UML), **Radosław Pietura** (UML), **Agnieszka Małgorzata Tycińska** (UMB), **Marek Krzysztof Waluga** (SUM), **Piotr Henryk Wąz**

(GUMed), **Dariusz Grzegorz Wydra** (GUMed), **Agnieszka Zmysłowska** (UMŁ)

NAUKI ROLNICZE: **Sławomir Bakier** (PB), **Grzegorz Borsuk** (UPL), **Michał Aureliusz Jank** (SGGW), **Piotr Witold Koczoń** (SGGW), **Krzysztof Kozłowski** (UWM), **Jolanta Kwiatkowska-Malina** (PW), **Piotr Micek** (URK), **Tomasz Krzysztof Oszako** (IBL Sękocin Stary), **Lidia Maria Sas-Paszt** (IO Skierniewice), **Iwona Barbara Skrzecz** (IBL Sękocin Stary), **Mariola Staniak** (IUNiG – PIB Puławy), **Krzysztof Szulowski** (PIW – PIB Puławy), **Antoni Jacek Szumny** (UPWr)

NAUKI SPOŁECZNE: **Grzegorz Dariusz Mazurek** (ALK), **Marek Rocki** (SGH), **Krzysztof Rybiński** (AFiB Vistula), **Patrycja Wanda Zawadzka** (UWr), **Andrzej Janusz Zybortowicz** (UMK)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Artur Stanisław Burzyński** (IO PAN Sopot), **Cezary Ryszard Czaplewski** (UG), **Michał Józef Jasiński** (UPP), **Mariusz Sebastian Rzętała** (UŚ), **Izabela Sitkiewicz** (NIL)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Leszek Szewczyk** (UŚ)

SZTUKA: **Krzysztof Białowicz** (UMK), **Zbigniew Treppa** (UG), **Marzena Jadwiga Wolińska** (UAP)

Mariusz Karwowski

Odnajdują ducha małych ojczyzn

Wypełniając na różne sposoby misję podtrzymywania lokalnej tożsamości, uczelnie spoza dużych ośrodków akademickich stają na straży miejscowego dziedzictwa kulturowego. Doskonałą ilustracją tego może być Laboratorium Regionów.

Ludzie stamtąd mawiają, że Warmia jest dla ducha, zaś Mazury dla ciała. Potwierdzenia tych słów nie trzeba długo szukać. Umowna granica, która dzieli obie krainy, to jak przejście z jednego świata do drugiego. W tym pierwszym, kształtowanym od stuleci przez katolików, oprócz licznych czerwonoceglastych, gotyckich kościołów dominują charakterystyczne przydrożne kapliczki. Znajdują się prawie w każdej wsi. Doliczono się ich około półtora tysiąca. Najstarsza, w Dobrągu, pochodzi z początku XVI wieku. Stawiano je na skrzyżowaniach dróg, w miejscach objawień czy tam, gdzie lokalna społeczność zbierała się na ważnych dla niej wydarzeniach. Umieszczane na drewnianych bądź murowanych słupach miały służyć nie tylko religijnym celom, były również punktem orientacyjnym, chroniły przed złem, śmiercią i burzami. W niektórych umieszczano dzwony, które wzywały na modlitwę, ale też ostrzegały mieszkańców przed niebezpieczeństwem. Wszystkie są konfesyjnym świadectwem warmińskiej części regionu. Zgoła inaczej niż na Mazurach, gdzie swoją obecność zaznaczyli protestanci. Tu z kolei przeważają warowne zamki i pałace. Wszystkie te obiekty, pełniąc na przestrzeni dziejów wielorakie funkcje, od obronnych po religijne, formowały lokalną tożsamość. Dziś tworzą ją również powidoki, nieistniejące już w rzeczywistości, za to tkwiące nadal w pamięci mieszkańców, jak choćby przedwojenne fabryki, stare młyny, ale także dawne miejsca spotkań. Co więcej, obejmuje ona również sposób życia i funkcjonowania w konkretnym miejscu oraz kontekst, otoczenie, relacje człowieka z przyrodą.

– Niezwykle istotne znaczenie dla dzisiejszego odbioru Warmii i Mazur ma okres powojenny, gdy w wyniku przesiedleń nastąpiła niemal całkowita wymiana ludności. „Nowi” przeważnie nie lubili tego miejsca, czuli się tu niebezpiecznie, bali się kolejnych wypędzeń. Dodatkowo wszystko to, co poniemieckie, wywoływało w nich traumę, więc niszczyli te ślady. Ten proces wpłynął na taki, a nie inny rozwój przestrzeni. Jak pokazują badania, dopiero trzecia, a więc moje pokolenie, może się od tego uwolnić, poczuć jak u siebie. Stąd m.in. dające się teraz obserwować odkrywanie na nowo języka mazurskiego – wskazuje dr inż. Marta Akincza z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie.

Plecami do lokalności

Nie przypadkiem akurat ona, architekt krajobrazu, trafiła do Laboratorium Regionów. Obok historyków sztuki, specjalistów od projektowania, inżynierów architektury, to właśnie fachowcy od krajobrazu potrafią chyba najbardziej docenić lokalną tożsamość. W końcu to w nim zapisana jest cała historia danego miejsca, ona w dużym stopniu go kształtuje. Zrzędzeniem losu nie jest także to, że w projekcie badawczo-wdrożeniowym, realizowanym pod auspicjami Narodowego Instytutu Architektury i Urbanistyki, bierze udział olsztyńska uczelnia. I przypada jej szczególna rola. Instytucje akademickie znajdujące się poza dużymi ośrodkami, za to mocno osadzone w swoim środowisku, siłą rzeczy stają się strażnikami miejscowego dziedzictwa. Misję tę mogą wypełniać poprzez dydaktykę, prowadząc choćby kierunki studiów tradycyjnie związane z regionem i odpowiadające na zapotrzebowanie tamtejszych pracodawców, bądź poprzez działalność naukowo-badawczą, realizując projekty ukierunkowane na specyfikę danego miejsca. Stąd zaangażowanie UWM do Laboratorium Regionów. Trzecim partnerem jest Politechnika Warszawska. Naukowcy, wspierani przez fotografów architektury, których inne, obrazowe postrzeganie przestrzeni doskonale uzupełnia akademickie dyskusje, koncentrują się nad rozwiązaniami służącymi ochronie integralności architektonicznej i urbanistycznej regionów rozumianej jako dziedzictwo kulturowe. W pierwszej kolejności zajęto się Warmią i Mazurami.

– Chcemy w oparciu o ideę Baukultur, która polega na edukowaniu w świadomości architektonicznej, przeciwdziałać ztraceniu tożsamości danego miejsca – podkreśla badaczka z UWM, odwołując się przy tym do wymownego przykładu z mazurskich jezior, na których coraz częściej można zobaczyć... śródziemnomorskie jachty.

Podobne zjawisko obserwuje się już od jakiegoś czasu w architekturze. „Odwracanie się do lokalności plecami”, jak to określa Filip Springer, autor reportażu poświęconych architekturze, wygląda w praktyce tak, że podhalańskie chałupy stawia się już w całej Polsce, równie ochoczo i bez wiedzy adaptuje się elementy wielkopolskie, mazowieckie czy roztoczańskie, a niekwestionowaną królową pozostaje „Skandynawia”



Fot. UM w Barczewie

Barczewo

i tamtejszy design. Taka unifikacja, wynikająca w dużej mierze z braku świadomości, a do tego poczucia estetyki, budzi nie małe zdumienie wśród architektów i urbanistów. Jednogłośnie przekonują, że czerpanie z tradycji i stylu miejsca, w którym się buduje, powinno być priorytetem każdej inwestycji. W końcu z miejscem o historycznej ciągłości, wzmacnianym kulturowym i architektonicznym kontinuum, łatwiej się utożsamić.

Żywe laboratoria

W tzw. Deklaracji z Davos z 2018 roku zdefiniowano koncepcję Baukultur jako „każdą działalność człowieka zmieniającą przestrzeń zbudowaną”. Ta przestrzeń, wraz z całym zaprojektowanym i zbudowanym kapitałem osadzonym w środowisku naturalnym i z nim związanym, musi być rozumiana jako jeden podmiot. „Baukultur obejmuje istniejące budynki, wli-

czając zabytki i inne elementy dziedzictwa kulturowego, a także projekty i konstrukcje współczesnych budynków, infrastrukturę, przestrzeń publiczną i krajobrazy (...) Oprócz projektów architektonicznych, konstrukcyjnych i krajobrazowych oraz ich materialnej realizacji, Baukultur wyraża się również w procesach planowania przedsięwzięć budowlanych, infrastruktury, miast, wsi i otwartych krajobrazów” – czytamy w dokumencie.

W myśl tych założeń naukowcy z NIAiU, UWM, PW, współpracując z samorządami, partnerami publicznymi i prywatnymi, a także lokalnymi społecznościami, zamierzają wypracować interdyscyplinarne rozwiązania do poprawy ładu przestrzennego. Żywymi laboratoriami będą małe miasta, liczące nie więcej niż 30 tys. mieszkańców. Postawiono na kryterium wielkości, uznając, że ono w największym stopniu definiuje rozwój przestrzenny. O ile w przypadku wsi czy dużych ośrodków potrafiono systemowo zidentyfikować najpilniejsze potrzeby i tam skierować szeroko rozumianą pomoc, o tyle właśnie małe miasteczka, gdzieś pomiędzy, są pozostawione same sobie, traktowane nieco po macoszemu. Mimo że tkwi w nich ogromny potencjał kulturowy, pozwalający choćby realizować niezwykle popularną dziś ideę slow life. Zresztą zaraz po wojnie Kazimierz Wejchert, inwentaryzując tamtejszą przestrzeń, zauważył, że „miasteczka mazurskie są organicznie związane z terenem (...) takie przenikanie się krajobrazu miejskiego z podmiejskim, krajobrazu miasta bogatego w liczne, wspaniałe drzewa, a na zewnątrz opartego na doskonale wykorzystanych i z reguły niemal nagiętych do potrzeb warowności warunków terenu – jest występującą wyraźną wspólną cechą miast mazurskich”.

Co jest dziś czynnikiem budującym tożsamość lokalną: czy przywiązanie do miejsca zamieszkania, do miejsc pracy, pochodzenie, obyczaje, historia, czynniki polityczne, administracyjne? Jaką rolę odgrywa w tym procesie architektura? Te kwestie w najbliższych miesiącach staną się przedmiotem badawczych analiz. W trakcie seminarium inauguracyjnego projektu wskazywano, że w krajobrazie kulturowym tamtejszych miast, kształtowanym od połowy XIX wieku, widać obecność w tkance architektoniczno-urbanistycznej trzech



Fot. Stanisław Kuprjanik, źródło: Encyklopedia Warmii i Mazur

„logik rozwojowych”: kapitalistyczną modernizację Prus Wschodnich (zapóźnienie rozwojowe, militaryzacja), modernizację socjalistyczną (praca i mieszkania) i modernizację kapitalistyczną (przestrzeń i czas jako główne zasoby eksploatowane „neoliberalnie”). Do tego dochodzi czas geologiczny i „prehistoryczny” (Prusowie, Krzyżacy). Zatem będąc w Ostródzie, Morągu, Szczytnie lub Mikołajkach, można wciąż mówić o jednym mieście czy bardziej o trzech, a nawet czterech ulepionych z różnych okresów?

– Te doświadczenia należy traktować jako równorzędne, widzieć miasto jako produkt, ale także arenę tych trzech doświadczeń, które w jednakowym stopniu są ważne, formacyjne dla genius loci, i dostrzegać zależności między nimi – przekonuje dr hab. Wojciech Łukowski ze stowarzyszenia „Wspólnota Mazurska”.

Spśród blisko pół setki miast znajdujących się na terenie Warmii i Mazur do pilotażu wybrano dwa. Jednym z nich jest Barczewo, reklamujące się jako „miasto wielu kultur”. Jak większość na terenie województwa warmińsko-mazurskiego, zostało założone w średniowieczu. Jego układ urbanistyczny oparto na planie regularnego prostokąta z ulicami przecinającymi się pod kątem prostym. Powstała tzw. szachownica. Pierwotnie w centralnej części znajdował się rynek miejski ze studnią, później ratusz, wokół którego ulokowano sukienice. Kamienice mieszczkańskie tworzyły pierzeje rynku. We wschodniej części zostały usytuowane główne dominanty układu przestrzennego: wieża kościoła parafialnego oraz ratusza. W granicach miasta znajdował się także zamek biskupi.

Z kolei oddalone o jakąś godzinę drogi Giżycko wzięło swój początek od krzyżackiej warowni Loetzenburg. Była to pograniczna strażnica, a później zamek wykorzystywany do wypraw wojennych. Z powstałej przy nim osady z czasem wyrosło miasto, które w najnowszej historii osiedlili osadnicy z „kresów wschodnich”. Za symbol dawnego grodu nad Niegocinem może uchodzić kościół ewangelicko-augsburski stojący w miejscu niedysiejszego rynku. Szpaler drzew na centralnym placu kończy się „dębem plebiscytowym”, posadzonym po zwycięstwie opcji niemieckiej w plebiscycie, decydującym o przynależności państwowej tych terenów.

Na to kulturowo-historyczne dziedzictwo zamknięte w architekturze czy urbanistyce warmińsko-mazurskich miasteczek można się natknąć niemal na każdym kroku. Niektóre z nich, jak choćby Reszel, mają na tyle dobrze zachowaną substancję, że – co podkreśla Iwona Liżewska z Narodowego Instytutu Dziedzictwa – kwestią nie jest wprowadzanie nowych rozwiązań, tylko ochrona tego, co już istnieje. W innych, mocno zdegradowanych, problem stanowi z kolei tzw. pustka architektoniczna. Na razie nie można powiedzieć, by pod wpływem trendów któreś zmieniło się nie do poznania. Za to ich fragmenty – już tak. Marta Akincza podaje przykład nowych osiedli, tzw. deweloperskich, w których wszystkie domy są identyczne. Takie miejsca, tworzone jakby od sztańca, tracą swoją lokalną tożsamość. Tymczasem, by ją zachować, nie trzeba wiele, nawet jeśli budynek ma mieć nowoczesną formę, powinien nawiązywać w jakiś sposób do przestrzeni, która kształtowała się przez wieki, być jej kontynuacją. Problem szczególnie widoczny jest właśnie w małych miasteczkach, gdzie decydujący głos ma czynnik ekonomiczny, a niekiedy... wygoda mieszkańców, którzy domagają się zalania bruku asfaltem czy wycięcia drzew z reprezentacyjnej alei.

– Abstrahując od tego, czy to jest słuszne, czy nie, zauważmy, że te charakterystyczne elementy, jak właśnie brukowana ulica, przepiękna aleja ze szpalerem drzew czy unikalna fasada budynku, znikają z naszych oczu. Moim zdaniem to efekt braku narzędzi, które pomogłyby podjąć właściwe decyzje, wskazały,

jak pogodzić nasze rosnące oczekiwania jakościowe z tym, by uniknąć destrukcji krajobrazu – zauważa olsztyńska badaczka.

By lepiej się żyło

Taki „narzędziownik” dla całego regionu naukowcy chcą podsunąć architektom, urbanistom, planistom, inwestorom, miejskim urzędnikom i samym mieszkańcom. Nie będzie to podręcznik, bardziej katalog dobrych praktyk, pomagający zrozumieć lokalną tożsamość i wskazujący drogę do jej odnalezienia. Naukowcy nie chcą niczego narzucać, bardziej rekomendować, podpowiadać, doradzać rozwiązania, które w konkretnym miejscu okażą się zarazem funkcjonalne, przydatne i estetyczne interesujące. Być może w Reszlu, inaczej niż w Giżycku czy Mikołajkach, bardziej będą pasować dachówki czerwone i dach dwuspadowy? W jaki sposób te charakterystyczne w danej lokalizacji elementy odszukać i je wykorzystać, wskażą badania i warsztaty z urzędnikami i mieszkańcami. Ci ostatni potrzebują nie tylko finansowej, ale też edukacyjnej pomocy w tworzeniu przestrzeni. Muszą wiedzieć, że np. wstawienie okien określonej wielkości i w odpowiednich odstępach, wpłynie na estetykę otoczenia. Podobnie jak kolorystyka dachówki, elewacji czy sposób ocieplenia budynku.

Inspiracji dostarczą także wyjazdy studyjne do niemieckich landów. Za uczestnikami projektu już wizyty w Nadrenii Północnej-Westfalii, Brandenburgii i Meklemburgii-Pomorzu



Przednim. Spotykali się tam z urzędnikami, przewodnikami, konserwatorami zabytków, architektami, pytając ich o pomysły na pogodzenie historii z nowoczesnością. W Warburgu zobaczyli historyczną zabudowę pozbawioną jakichkolwiek barier architektonicznych. W Dragow przyglądali się temu, jak przystosować stare budynki do potrzeb osób starszych i zapobiec ich ucieczce z centrum.

– Najbardziej urzekło mnie Kempen, w którym w obrębie dawnych murów miejskich wyłączono ruch samochodowy, co sprawiło, że ulice stały się pełne ludzi. Postanowiono wyjść naprzeciw pieszym. Ciekawe było też udane wkomponowanie w staro-

miejską tkankę obiektów współczesnych. To przykład dobrze zaprojektowanego i żyjącego miejsca – uważa Marta Akincza.

Zwraca też uwagę, że częsty zachwyt nad estetyką małych miasteczek na Zachodzie – w Niemczech, Holandii czy Francji – nie idzie w parze z refleksją, że tam wszystko jest kształtowane i planowane w oparciu o wiedzę dotyczącą dziedzictwa architektonicznego i krajobrazowego. U nas, jej zdaniem, gospodarowanie krajobrazem miejskim wciąż pozostaje zbędną fanaberią. Nic dziwnego, że brak harmonii w kształtowaniu otaczającej nas przestrzeni sprawia, że gorzej nam się na co dzień żyje, czujemy się mniej bezpiecznie, mamy wrażenie postępującego chaosu. Kto wie, czy rozwiązaniem tego nie byłyby więk-

sza partycypacja społeczna. Polskie urzędy nie wychodzą naprzeciw mieszkańcom, czekają, aż ci do nich przyjdą. Za granicą standardem jest podawanie informacji, co będzie zmieniane, dlaczego akurat ten fragment ulicy i jak będzie wyglądał. Właśnie zaangażowanie mieszkańców w proces identyfikacji kodu architektoniczno-urbanistycznego ich „małej ojczyzny” jest kluczowym elementem Laboratorium Regionów. To oni mają być aktorami i kreatorami działań inwestycyjnych.

– Jako eksperci jesteśmy w stanie stwierdzić, gdzie występuje dominanta danej miejscowości, jaka jest sekwencja wnętrz, jak kształtowała się linia zabudowy – to nie problem. Ale coś jeszcze ważniejszego, ducha tego miejsca, mogą wskazać tylko jego mieszkańcy. Cóż z tego, że fontanna w centralnym punkcie nie robi na mnie wrażenia, skoro dla nich z jakiegoś powodu jest wyjątkowa. Albo rozdeptany skwer, który wszyscy uwielbiają. Partycypacja służy właśnie temu, by znaleźć takie miejsca i też włączyć je w strukturę miejskiej tkanki – wyjaśnia badaczka z UWM.

Naukowcy zamierzają stworzyć internetową platformę z podstawowymi informacjami dotyczącymi poszczególnych miasteczek. Myślą też o aplikacji, która pomoże użytkownikowi wykonać symulacje komputerowe. Inwestor, chcący budować w danym miejscu, zobaczy na ekranie, jak np. wysokość, kształt czy kolor fasady jego obiektu, wpłynie na najbliższe otoczenie. W wypadku wyraźnego dysonansu będzie mógł jeszcze przed rozpoczęciem prac zmienić niepasujący element.

Projekt, rozpoczęty na Warmii i Mazurach, ma być kontynuowany także w innych województwach. Organizatorzy chcą, by w każdym partnerem stawała się regionalna uczelnia.



Reszel



Kempen w Nadrenii Północnej-Westfalii

Fot. K. Domagała

Fot. W. Gadońska

Karolina Izdebska

Sztuka publiczna

W książce poświęconej sztuce publicznej podejmuję się oglądu zjawiska z perspektywy socjologicznej. Biorąc pod uwagę wyniki analizy teoretycznej i empirycznej, charakteryzuję rodzime przykłady działań artystycznych i próbuję zdefiniować współczesną sztukę publiczną.

W pewnym sensie podjęłam się roli tropiciela, ponieważ często jest to zjawisko nieuchwytnie, ulotne, dziejące się w konkretnym miejscu i czasie. Wielu słyszało o sztuce publicznej, ale nie każdy potrafi określić, czym ona w istocie jest. Jak przyznają sami artyści, sztuka publiczna nie wygląda jak sztuka. Żeby ją zobaczyć, trzeba być czujnym i uważnym. Joanna Rajkowska, autorka Palmy na rondzie de Gaulle'a, porównała ją do deszczu, gdyż tak jak deszcz potrafi oddziaływać totalnie. Bo dobra sztuka publiczna może pobudzić do dyskusji, poruszyć czule struny miejsc, a nawet wykreować wspólnotę. I coraz częściej wtapia się w codzienność.

Nowa i stara sztuka publiczna

W pewnym sensie sztuka wciąż nosi kulturowe brzemie elitarności. Współcześnie jednak coraz bardziej widoczny jest proces jej demokratyzacji, szczególnie w dążeniach zmierzających do włączenia jej w przestrzeń publiczną i zbliżania do życia.

Choć niektórzy historycy twierdzą, że korzeni sztuki publicznej można się dopatrywać w naskalnych malowidłach w Lascaux, to zwykle uznaje się, że nurt ten pojawił się na świecie w połowie lat 60. XX wieku, wraz z nowym spojrzeniem na edukację i badania naukowe. Od tego czasu wprowadzono rozróżnienie między sztuką w przestrzeni publicznej i sztuką publiczną. Popularne do tej pory monumenty zostały zastąpione wielkimi abstrakcyjnymi rzezbami, które zaczęły wypełniać przestrzeń miast i miały z jednej strony za zadanie oswoić przeciętnego odbiorcę ze sztuką współczesną, stanowiąc próbę otwarcia jej na masowego odbiorcę, a z drugiej miały estetyzować, urozmaicać i humanizować przestrzeń.

Wiele praktyk artystycznych lokowało się coraz częściej w różnorodnych przestrzeniach publicznych, aby kontestować system instytucji artystycznych. Podejmowano też działania, które wymuszały wręcz przemieszczenie się w przestrzeń pozagaleryjną. Mowa tu o szeregu rozmaitych praktyk, takich jak: performanse publiczne, happeningi, instalacje, rzeźby czy inne obiekty umiejscawiane w przestrzeniach miejskich, działania odnoszące się do konkretnych miejsc i ich historii (site-specific) oraz te realizowane w różnych środowiskach społecznych (community art).

Od pomników do antypomników

Kontekst i powody, dla których polscy artyści zaczęli w latach 60. i 70. XX wieku wychodzić w przestrzeń publiczną i tworzyć

sztukę publiczną, są nieco odmienne od tych, które przyświecały wówczas artystom z Zachodu. Na zupełnie innych zasadach funkcjonowała w czasach PRL sama przestrzeń publiczna. Jej funkcje ograniczone były wówczas do rekreacji (tereny zielone) i oficjalnych uroczystości. Artyści nie mieli pełnej swobody twórczej, gdyż byli ograniczani przez cenzurę.

Można wskazać dwa podstawowe obszary aktywności artystycznej jako źródła inspiracji dla polskiej sztuki publicznej: neoawangardę wywodzącą się w głównej mierze z idei Formy Otwartej Oskara Hansena oraz źródła teatralne i parateatralne. Dla najbardziej aktualnej sztuki publicznej przełomowy jest rok 2000: wówczas powstało *Bródno 2000* Pawła Althamera, a zaraz potem *Pozdrowienie z Alej Jerozolimskich* Joanny Rajkowskiej (2002) – prace uważane za prekursorskie i oddziałujące na kolejne projekty sztuki publicznej w Polsce.

Za jedną z najstarszych funkcji sztuki w przestrzeni publicznej można uznać upamiętnianie. Od wieków widocznym znakiem pamięci o ważnych wydarzeniach i osobach był pomnik. Pomnik powstaje przede wszystkim po to, aby za jego pośrednictwem móc celebrować te istotne wydarzenia czy postaci. Jednocześnie w przestrzeni publicznej funkcjonują artystyczne prace upamiętniające, a zarazem odbiegające znacząco od tego, co nazywamy klasycznym pomnikiem. Takie niestandardowe w formie i często efemeryczne sposoby upamiętniania nazywane są antypomnikami lub kontropomnikami. Antypomniki często dotyczą zagadnień traumatycznych, wypartych, uśpionych lub w jakiś sposób kontrowersyjnych, mogą też mieć na celu przypomnienie o zdegradowanych, dysfunkcyjnych i zapomnianych miejscach, aby w ten sposób kształtować i wzmacniać lokalną tożsamość. Najbardziej znanym przykładem antymonumentu jest praca *Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich*, czyli sztuczna palma Joanny Rajkowskiej stojąca w centrum stolicy. Celem artystki było upamiętnienie przeszłości i bezpośrednie nawiązanie do nazwy Aleje Jerozolimskie, przypomnienie o nieistniejącej już społeczności. Historia sięga roku 1772, kiedy to August Sułkowski założył osiedle dla Żydów, zwane Nowa Jerozolima. Przetrwało ono dwa lata, dopóki Żydzi nie stali się konkurencją dla warszawskich kupców i rzemieślników. Aby pozbyć się zagrożenia dla swoich interesów, kupcy pozwali Sułkowskiego, obarczając go winą za swoje straty, i wygrali proces. W konsekwencji Żydów wygnano, zniszczono ich domy i mienie, a po zdarzeniu została tylko nazwa. Mimo tej upamiętniającej funkcji Palma nie przypomina klasycznego pomnika, nie jest

to figuralny kamienny posąg i nie kojarzy się z ponurą historią. Dlatego też, mimo tabliczki informującej o idei powstania, projekt ten jest różnorodnie interpretowany. Różni się od tradycyjnego pomnika również tym, że cały czas jest „w procesie”, reagując na różnorodne zjawiska. Na przykład w 2019 roku palma „uschła” w ramach akcji zwracającej uwagę na problemy zmian klimatycznych i zanieczyszczenia powietrza.

W sztuce publicznej artyści zainteresowani pamięcią jako bezpośrednim przedmiotem działań twórczych, nastawieni na procesy jej odkrywania, wywoływania czy prowokowania, mogą wykorzystywać również formy pracy z różnymi społecznościami. Powstały na przykład akcje realizowane wspólnie z pracownikami fabryk, portów, mieszkańcami dzielnic, podwórek. Antypomniki zmuszają do myślenia i reinterpretacji. Dają też możliwość osobistego i bezpośredniego odkrywania historii, poznania przestrzeni z innego punktu widzenia, „wzucia się”, uruchomienia różnych zmysłów i tym samym głębszego zrozumienia tematu, ponieważ artyści w ramach realizowanych akcji w wybranych przestrzeniach mogą zaprosić widzów do aktywnego uczestnictwa. Poczucie autentyczności wzmacnia sama przestrzeń, ale też udział bezpośrednich świadków przeszłości czy widocznych śladów pamięci.

Oswajanie ze sztuką

Sztuka publiczna może upiększać, humanizować i ożywić przestrzeń. Kilka lat temu w centrum Szczecina przechodnie mogli zaobserwować, jak na szczycie wysokiej starej kamienicy powstaje drewniane rusztowanie, a na nim artysta stawia łódź, jakby chciał ją zwodować w przestrzeń. Akcja trwała zaledwie kilka dni, ale wysnuta z niej opowieść może trwać dalej w świadomości mieszkańców i stać się załącznikiem miejskiego mitu, niematerialnym elementem tożsamości miejsca. Czasem bowiem chodzi o to, aby nie zakłócając naturalnego rytmu ulicy, tylko subtelnie „zawirusować” przestrzeń. Ogólnie celem jest przestrajanie szablonowego myślenia o przestrzeni i o rzeczywistości, przekraczanie utartych schematów. Wszelkie nieszablonowe działania mają za zadanie zaburzyć w pewien sposób codzienność, chwilowo wyrzucić nas z niej, zwrócić na coś uwagę. W efekcie poprzez doświadczenie można zobaczyć, usłyszeć czy poczuć coś więcej lub inaczej.

Oswajanie ze sztuką publiczną może zachodzić również przez użytkowanie. W Warszawie na Placu Defilad Kamila Szejnoch stworzyła specyficzny mebel miejski – *Poczekalnię* (modułowe siedziska i stoliki) dla podróżnych czekających na pociąg przy dworcu dla autobusów, inspirowana przez znajdującą się nieopodal trybuną honorową. Za pomocą sztuki publicznej niektórzy artyści, architekci, planiści i działacze społeczni próbują eksperymentów z różnymi projektami urbanistycznymi, które są celowo tanie, tymczasowe i nieoficjalne, czasem tworzone metodą DIY. Bywa, że te skromne, ale zuchwałe interwencje prowadzą do zmiany polityki miejskiej i trwałych przeobrażeń w krajobrazie miasta. Tworząc tzw. pop-up parks, mieszkańcy mogą dokonać przejścia przestrzeni na swoje potrzeby. Takie inicjatywy nazywane są taktycznym urbanizmem, urbanizmem pop-up czy miejską akupunkturą.

Rzeźbienie w społecznej tkance

Ważnym aspektem związanym z funkcjonowaniem sztuki publicznej jest kreowanie za jej pomocą relacji społecznych. Angażując do działania innych ludzi, artysta generuje proces wytwarzania więzi społecznej, którego końcowym efektem może się stać wspólnota, a nie fizyczne, tradycyjnie rozumiane dzieło. Takie prace mają charakter efemeryczny, są procesualne, oparte na działaniu i relacjach.

W wielu przypadkach do wykreowania relacji budowana jest przez artystów jakaś platforma komunikacji. Może to być fizyczny obiekt, jak 7-metrowy dmuchany Jeź Izzy Rutkowskiej czy ławka w kształcie podkowy, jak w *Piazza. Bezinteresowna Przestrzeń Miejska* Krzysztofa Żwirblisa. Może to być po prostu czynność wymiany, jak w *Cafe Fińska* Michała Mioduszewskiego. Na ogół działania te zwracają uwagę, ingerując w zastany porządek. Wszystko ukierunkowane jest na stymulowanie interakcji, na wspólne działanie i współtworzenie. Zmienia się przy tym rola odbiorcy-uczestnika. Ewoluuje ona od biernych działań dekodowania nadawanych treści kulturowych w kierunku czynnego wejścia w praxis, w kontekst, gdzie znaczenia się komunikuje, tworzy, kwestionuje i negocjuje. Po takich doświadczeniach uczestnicy stają się bogatsi o nowe doświadczenia, bardziej uważni w postrzeganiu świata, bardziej twórczy. Artyści tworzą – żeby użyć Beuysowskiej figury – społeczną rzeźbę, uwalniając potencjał twórczy aktorów społecznych i jednocześnie publiczny potencjał sztuki.

Lokalność, wieś, natura

Sztuka publiczna wbrew pozorom nie pojawia się wyłącznie w przestrzeni dużych miast i jest tworzona nie tylko z myślą o masowym i przypadkowym odbiorcy. Tradycje pozamiejskiej



i pozastudyjnej sztuki publicznej w Polsce sięgają lat 70. i 80. XX wieku, choć wówczas nieco inne niż współcześnie były motywy wychodzenia w przestrzeń wsi.

Można wskazać kilka głównych inspirujących obszarów współczesnych działań artystycznych poza granicami miejskich metropolii. Jednym z nich jest zainteresowanie pograniczem, pamięcią miejsca i tożsamością lokalną. Artyści eksplorują konkretne miejsca, poszukując ich specyfiki, historii, odkrywając ich przeszłość i tradycyjną kulturę. Ważne jest też podejmowanie prób przełamywania granic między miastem a wsią i określenie ich wzajemnych relacji. Artyści zwracają uwagę na kwestie wykluczenia mieszkańców wsi w dostępie do kultury, podejmują próby sprowadzenia sztuki współczesnej na wieś, oswojenia z nią mieszkańców, ale też dają im w ogóle możliwości obcowania z kulturą i uruchomienia potencjału kreatywnego. To badanie relacji działa również w drugą stronę – sztuka staje się pretekstem do przeniesienia wiejskości do miasta. Jednym z widocznych obszarów aktywności jest też zwrot artystów w stronę natury i zaangażowanie w problemy ochrony środowiska. Zbliżając się do natury, artyści zbliżają tym samym sztukę do codzienności i pokazują, w jaki sposób można w estetyczny sposób problematyzować świat, w którym żyjemy.

Sztuka publiczna jako tuba dla problemów społecznych

Nurt nakierowany na zagadnienia problemów społecznych jest różnie określany (sztuka w interesie publicznym, nowa sztuka publiczna, sztuka użyteczna itp.). Jest to sztuka tworzona w duchu aktywistycznym i wspólnotowym. Koncentruje się ona bardziej na kwestiach społecznych i obejmuje współpracę z marginalizowanymi grupami społecznymi (np. bezdomnymi, bezrobotnymi, uchodźcami, mniejszościami). Działalność artystów wychodzi tu poza granice konwencji, wykorzystuje zarówno tradycyjne, jak i nowe media, kładzie nacisk na interakcję ze zróżnicowaną publicznością, opiera się na bezpośrednim zaangażowaniu społeczności i mówi o jej problemach oraz o społecznej sprawczości. Takie projekty mają praktyczne i dobroczynne skutki przede wszystkim dla użytkowników, stanowią wyzwanie dla systemu, w ramach którego funkcjonują, koncentrują się bardziej na „teraz” niż „tu”, zastępują autorów inicjatorami, a widzów użytkownikami, ale też zwracają uwagę na problem i pobudzają do dyskusji.

Trzeba dodać, że projekty odwołujące się do problemów społecznych celowo mają wyrzucić odbiorcę ze strefy komfortu. Sami artyści stawiają się w niekomfortowej sytuacji. To nie jest



Fot. Sieran Ciechan

proces twórczy, w czasie którego mogą się zamknąć w swoim świecie. Ta praca wymaga od nich otwarcia, empatii, ale też umiejętności zdystansowania się dla własnego zdrowia psychicznego, wyczerpuje bowiem emocjonalnie. Artyści starają się przyjąć różne perspektywy i role: świadka, reportera, terapeuty, gościa, trenera. W tego rodzaju działaniach szczególnego znaczenia nabierają kwestie etyczne.

Artywizm – na pograniczu sztuki i aktywizmu

Jedną z podstawowych ról społecznych, jaką przypisują sobie artyści sztuki publicznej, jest rola komentatora rzeczywistości. Artysta powinien zabierać głos w ważnych społecznie sprawach. W pewnym sensie można tę rolę uznać za służebną wobec społeczeństwa, bo za pośrednictwem uprawianej sztuki twórca może zwrócić uwagę na spychane czy nieuświadomione kwestie i sprawić, aby stały się widoczne i słyszalne. Artysta może również nie poprzestać na samym sprawozdaniu, ale też prezentować alternatywne poglądy, idee, wartości. Dlatego głos zabrany przez twórców staje się niekiedy wyrazem krytyki. Stosowanie sztuki jest też ważnym narzędziem protestu.

W ostatnim czasie w Polsce obserwujemy coraz więcej działań z pogranicza sztuki (z elementami performansu, street artu, happeningu), aktywizmu i oporu. Egzemplifikacją są akcje kolektywu akcjonistycznego „Czarne szmaty”, założonego w 2016 roku przez cztery artystki-aktywistki. Pierwsza, zatytułowana *Granica pogardy*, była akcją uliczną nawiązującą do Czarnego Protestu i Ogólnopolskiego Strajku Kobiet (do masowych protestów przeciw projektowi ustawy całkowicie zakazującej aborcji). Przy użyciu 20-metrowego czarnego transparentu („czarnej szmaty”), na którym widniał biały komunikat: „Granica pogardy”, zablokowano na czas akcji ruch uliczny. Chodziło o protest wobec polityki naruszającej prawa reprodukcyjne kobiet i ingerencji w ich ciało. Akcją była bezpośrednią konfrontacją w przestrzeni miejskiej i stanowiła zaproszenie do spontanicznego udziału przypadkowo napotkanych kobiet oraz do kolektywnego działania. Inna akcja wspomnianego kolektywu, pt. *Nie jesteś sama*, miała z kolei formę interwencji na pomnikach warszawskich Syrenek, na których zawieszono czarne szarfy z powyższym komunikatem.

W działaniach z pogranicza sztuki i aktywizmu nie liczy się indywidualne autorstwo. Zwykle przyjmują one formę kolektywną, ale jest to rodzaj kolektywu rozproszonego, tworzącego się w procesie – projekty mają charakter otwarty, każdy może zainicjować lub wyrazić swój sprzeciw. Ich efektem nie są też dzieła sztuki w formie fizycznego obiektu. Nacisk kładziony jest na treść przekazu. Działania są czasowe, czasem wręcz chwilowe i spontaniczne. To często nieskończony proces eksperymentu, samoekspresji, kolektywnej refleksji, totalnego wejścia w praxis, w kontekst, gdzie każdy może się stać współtwórcą przeżyć i znaczeń, jakie wygeneruje konkretny problem czy zdarzenie. Różnorodne metody zakłócania funkcjonowania dominującej hegemonii zarówno tradycyjnych instytucji politycz-

nych, jak i korporacyjnych za pomocą praktyk artystycznych niewątpliwie otwierają kolejne wątki dla badań społecznych.

Artysta schodzi z piedestału

Współczesna sztuka publiczna w Polsce z pewnością jest zjawiskiem, któremu warto się przyglądać nie tylko z perspektywy nauk o sztuce. Po dwóch dekadach uzyskaliśmy już bowiem dobrą perspektywę i wystarczający dystans czasowy, aby poczynić określone obserwacje. Większość działań z zakresu sztuki publicznej buntuje się przeciwko biernemu odbiorowi, zarówno w wymiarze interakcji i uczestnictwa w sztuce (w tym odbioru), jak i bierności w stosunku do różnorodnych bolączek współczesnego świata. Powoduje to, że w wielu przypadkach odchodzi się od hermetycznego języka, od jednoznacznych przekazów i utartych schematów związanych ze strukturą pracy artystycznej i jej formą, jak również z percepcją sztuki. Artyści zajmujący się sztuką publiczną nie stawiają siebie na piedestał. Wychodzą poza pracownię i poza cele czysto artystyczne. Rolę społeczną artysty łączą z rolami sprawozdawców i krytyków rzeczywistości, społeczników, aktywistów. Perspektywę patrzenia z góry, z metaforycznej wieży, i komunikowania się z odbiorcą hermetycznym językiem sztuki zastępują budowaniem mostów i splataniem sieci relacji.

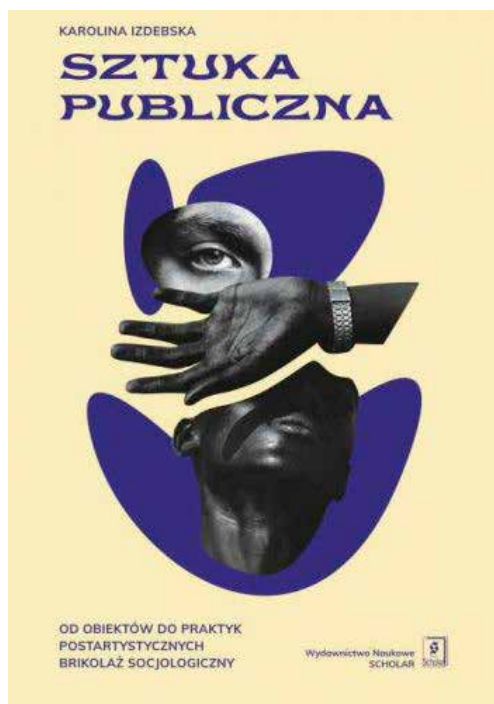
Wydaje się, że jednym z wyraźniej zarysowujących się na najbliższą przyszłość kierunków jest

aktywizm. W przestrzeni publicznej pojawia się coraz więcej praktyk postartystycznych w formie wizualnych protestów i działań performatywno-oporowych. Ogólnie rzecz ujmując, wzrasta świadomość związków sztuki z polityką i propagandą. Drugi przewidywany kierunek, w którym może się w najbliższej przyszłości rozwijać sztuka publiczna w Polsce, to wyjście poza miasto-centrum i otwarcie się na wieś oraz inne obszary niemiejskie. Poza tym eksperci zauważają, że współczesna sztuka publiczna powinna w czasem otworzyć się również na problem religii, gdyż do tej pory temat ten nie został wystarczająco zagospodarowany.

Zauważalna jest też coraz większa świadomość miast na temat zarządzania przestrzenią publiczną. Coraz więcej z nich dąży do tego, aby uatrakcyjnić tę przestrzeń zarówno dla mieszkańców, jak i turystów. Dlatego między innymi przekonują się do często efektywnych obiektów artystycznych w przestrzeni otwartej. Istnieje tu jednak ryzyko, że będzie to sztuka po prostu estetyzująca, nieskładająca do głębszych przemyśleń, zamawiana na przykład przez deweloperów w celach czysto marketingowych. Pozostaje pytanie, czy znajdzie się też miejsce na taką sztukę publiczną, która angażuje lokalne społeczności i jednocześnie nie stwarza zagrożenia w postaci efektu gentryfikacji i artwashingu.

Artykuł stanowi streszczenie wybranych wątków poruszonych w książce Karoliny Izdebskiej *Sztuka publiczna – od obiektów do praktyk postartystycznych. Brikolaz socjologiczny*, Scholar 2021

Dr Karolina Izdebska, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Szczecińskiego



Piotr Hübner

Encyklopedie i słowniki

W anglojęzycznym szkolnictwie prywatnym posługiwano się encyklopediami tak jak słownikami – były pomocniczym źródłem w szkolnych bibliotekach. Odmienne traktowano encyklopedie w kontynentalnej „nauce szkolnej”. Stały się dopełnieniem wiedzy podręcznikowej, zwłaszcza dla nauczycieli.

Encyklopedia to etymologicznie „edukacja całościowa” (grec. *enkuklios paideia*). Początkowo encyklopedie stanowiły – jak podała Joanna Olkiewicz (*Od A do Z czyli o encyklopediach i encyklopedystach*, 1988) – „pewien program nauczania dający człowiekowi to, co obecnie nazywamy wykształceniem ogólnym”. Z czasem zaczęły odgrywać rolę „pewnego rodzaju katalogu osiągniętej już przez człowieka wiedzy o świecie”. Prekursorem ujęć encyklopedycznych był arcybiskup Sewilli, św. Isidorus Hispalensis, który w latach 612-621 sporządził dzieło *Etymologiarum sive originum libri XX*. Zgromadził uporządkowane tematycznie wiadomości o świecie, poczynając od starożytności, łącznie z wiedzą biblijną. W okresie, gdy nadal nie stosowano nazwy „encyklopedia”, najwięcej osiągnięciem było dzieło Vincenta de Beauvais *Speculum maius* (1244-1254). Tytułowe „Zwierciadło wielkie” ukazywało cztery wymiary: naturę, doktrynę, historię i moralność. Według mistrza Wincentego, zwierciadłem jest „wszystko to, co jest godne kontemplacji, czyli podziwu i naśladowania” (tłum. z łaciny Joanna Olkiewicz). Trzy części dzieła, opublikowane bez części dotyczącej moralności, objęły 95 ksiąg. Zachowało się 80 rękopisów, dzieło było więc rozpowszechniane. Do roku 1679 miało też sześć edycji drukowanych. W epoce renesansu uważano, że encyklopedyczne ujęcia konserwują zastaną wiedzę. W latach 1320-1550 nowe encyklopedie nie były sporządzane, nawet w formie kompilacji. Był to efekt dominacji problematyki teologicznej i przekonania, że jeden uczonej nie jest w stanie opanować wszystkich zasobów wiedzy.

Pojęcie „encyklopedia” wymienił i spopularyzował François Rabelais w dziele *Gargantua i Pantagruel* (1532). Tomas Elyot postrzegał je w postaci „the world of science” – całokształtu wiedzy naukowej (*The Boke named The Governour* 1531). Według Pavao Skalića, encyklopedia miała ukazać dorobek poszczególnych dyscyplin nauki, była więc pomyślana głębiej (*Encyclopaedia seu orbis disciplinarum*, 1559). W tym kierunku podążał też Johann Heinrich Alsted, autor *Omnium scientiarum encyclopaedia* (1629). Pod wpływem wydawnictw słownikowych upowszechnił się układ alfabetyczny haseł encyklopedycznych.

Wadą tego układu był chaos merytoryczny, hasła nie wykazywały wzajemnych powiązań, a czytane były z osobna. Nie wiele poprawy wnosili odsyłacze (hasła wewnętrzne) czy przykłady ilustrujące hasła, tabele, schematy, wykresy, mapy, ani też same ilustracje. Dopiero przeczytanie ogółu haseł, co było niewykonalne, mogło dawać efekt systemowy. O wiele trudniejszy w sporządzeniu, ale sensowniejszy w odbiorze był układ systematyczny. Mógł występować w poszczególnych tomach bądź w całej encyklopedii.

Słowniki (*dictionarium*) odróżniały się od encyklopedii lakonicznością haseł, były według Joanny Olkiewicz „podręczną pomocą pedagogiczną (...). Hasło w encyklopedii nie występuje jako znak, ale tylko jako sygnał pewnej zawartości treściowej”. Ma charakter rzeczowy albo pojęciowy. Słownik, „który w swoim dzieciństwie był tylko listą słów, traktuje słowo jako przedmiot sam w sobie (...) towarzyszy mu tylko informacja o jego znaczeniu i funkcjach, w jakich występuje”. Słownik encyklopedyczny (*lexicon*) „włącza niejako cząstkę opisu świata w obręb opisu słowa”, był więc formą pośrednią między encyklopedią a słownikiem. Takie słowniki encyklopedyczne pojawiły się na początku XVIII wieku. Modne stały się zwłaszcza *Konversationslexikon*, ułatwiające kontakty towarzyskie. Pojawiły się też z czasem słowniki specjalistyczne (etymologiczny, wyrazów obcych...) oraz całkowicie odmienne słowniki dwu- i wielojęzyczne.

Szerzenie ducha niezależności

W XVII wieku pojawiły się słowniki. Akademia Francuska uruchomiła (1638) prace nad słownikiem języka francuskiego, układanego według zespołów znaczeniowych wyrazów. Wzręcz małych encyklopedii – podręcznych leksykonów, sporządzanych zgodnie z zasadą „wszystko w jednym tomie” – zapoczątkował Johann Hübner (*Reales Staats, Zeitungs und Conversations-Lexicon*, 1704). W tytule użył określenia dotyczącego celu dzieła: konwersacji towarzyskiej. Wśród słowników encyklopedycznych wyróżniał się zredagowany przez Johanna Heinricha Zedlera *Grosses vollständiges Universal-Lexicon aller Wissenschaften und Künste* (1732-1750). Leksykon obejmował 64

tomy i 4 tomy suplementu. Był to efekt pracy anonimowych redaktorów.

W Rzeczypospolitej szlacheckiej ks. Joachim Benedykt Chmielowski SJ, proboszcz z Firlejowa, przygotował encyklopedię *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna, na różne tytuły iak na classes podzielona, mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erigowana*. Materiały zbierał, pracując jako nauczyciel syna wojewody ruskiego, Jana Jabłonowskiego. W części były już zgromadzone jako przyszłe hasła encyklopedyczne, stąd pojawił się ówczesnie rzadko jeszcze stosowany zarzut plagiatu, co w konsystorzach obalił ks. Chmielowski. Dwie pierwsze księgi opublikował (tom I – 1745, II – 1746) na własny koszt. Wydanie drugie (1754-1756) objęło też tomy III-IV, traktowane jako suplementy. Ogółem encyklopedia zajęła około 3 tys. stron druku. Miała formę encyklopedii rzeczowej, hasła przyporządkowano do działów, a dopiero grupy tematyczne posiadały układ alfabetyczny. Autor hasel powoływał się na źródła, ale zastosował też słynne odwołanie do rzeczywistości: „Koń, iaki iest, każdy widzi”. Opis cudów i dziwactw zajął tylko jedną trzecią całości. Częste, w każdym zdaniu, zwroty i zdania łacińskie były ówczesnie powszechną manierą, świadcząca o obyciu autora.

Epoka oświecenia sprzyjała syntezom encyklopedycznym, stały się jej znamiem. Francuski wydawca André François Le Breton założył (18 X 1745) spółkę wydawniczą w celu przygotowania dzieła *Encyclopédie, ou Dictionnaire Raisonné des Sciences, des Arts et des Métiers par une société de gens de lettres* („Encyklopedia albo słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł...”). Dyrektorem prac wydawniczych został Denis Diderot, wspomagał go Jean Le Rond d'Alembert. Podstawą tekstu encyklopedii miało być tłumaczenie dzieła Efraima Chambersa *Cyclopaedia or an Universal Dictionary of Art and Sciences* (1728), dopełnione tłumaczeniem pracy Johna Harrisza *Lexicon technicum or an Universal English Dictionary of Arts and Sciences*. Zamiary te zostały znacznie rozszerzone w realizacji: ukazało się 17 tomów encyklopedii nazywanej potocznie „wielką” oraz 11 tomów plansz. Pierwszy tom (w nakładzie 2050 egzemplarzy) ukazał się 23 czerwca 1751 roku, datę tę historycy przyjęli za symboliczny początek epoki oświecenia. Tekst podstawowy powstał przy udziale 160 współautorów. Niektórzy z nich napisali kilka i więcej tekstów (Diderot około tysiąca). Wobec kregów autorów stosowano określenie „encyklopedyści”, łączyło ich wspólne

działo i epoka. Byli jednak indywidualistami. Pochodzili z różnych środowisk i pełnili różne role zawodowe. Dobierani byli zgodnie z posiadanymi kompetencjami. Liczba subskrybentów doszła do 3 tysięcy, a nakład do 4225 egzemplarzy (tom IV, 1754). Wydawcy encyklopedii działali jak przedsiębiorstwo. Zatrudniali około tysiąca drukarzy, papierników, introligatorów, grawerów i dystrybutorów. Encyklopedia miała układ alfabetyczny, hasłom nadano formę artykułów, niekiedy obszernych. Nie przestrzegano ówczesnie prawa autorskiego, nagminnie stosowano zapożyczenia.

Już w roku 1752 Królewska Rada Stanu zabroniła rozpowszechniania *Encyklopedii* pod zarzutem szerszenia „ducha niezależności i rewolty”. Dzieło potępił też papież Klemens XII (1759). Akcja ta nie okazała się skuteczna, ale redaktorzy musieli uznać prawa cenzury teologicznej ze strony biskupa. Ostatnie dziesięć tomów *Encyklopedii* ukazało się jednocześnie w 1765 roku. Tomy plansz wydrukowano między 1762 a 1772 rokiem. Liczne hasła dotyczyły zwykłych spraw codziennych, punktem odniesienia był człowiek. Już 1768 roku nowa spółka wydawnicza odkupiła prawa do reedycji *Encyklopedii*, ukazywały się też liczne mutacje wydawnictwa, także zagraniczne.



Nowoczesna era w piśmiennictwie encyklopedycznym

Jedną ze znaczących polemik z encyklopedystami podjął jezuita, François-Xavier de Feller SJ, w dziele *Catéchisme philosophique* (1773, tłum. na jęz. polski 1784). De Feller napisał też słownik biograficzny *Dictionnaire historique* (1781-1784). Mimo rozwiązania Towarzystwa Jezusowego, jego członkowie nadal walczyli z „filozofizmem” encyklopedystów. Do wybuchu rewolucji ukazało się około 24 tys. egzemplarzy *Encyklopedii*, połowa z nich trafiła do czytelników we Francji. Był to wzorzec dla innych publikacji encyklopedycznych, uwzględniających dorobek oświecenia. Takim stał się *Zbiór potrzebniejszych wiadomości porządkiem alfabety ułożonych* (1781-1783), którego autorem był bp Ignacy Krasicki. Drugie wydanie tej pracy (1830-1832, w ramach „Pism”) liczyło 7612 haseł na 1484 stronach. Pośmiertnie ukazał się słownik encyklopedyczny Franciszka Salezego Jezierskiego *Niektóre wyrazy porządkiem abecedą zebrane i stosownymi do rzeczy uwagami objaśnione* (1791). Wstęp do dzieła napisał ks. Hugo Kołłątaj.

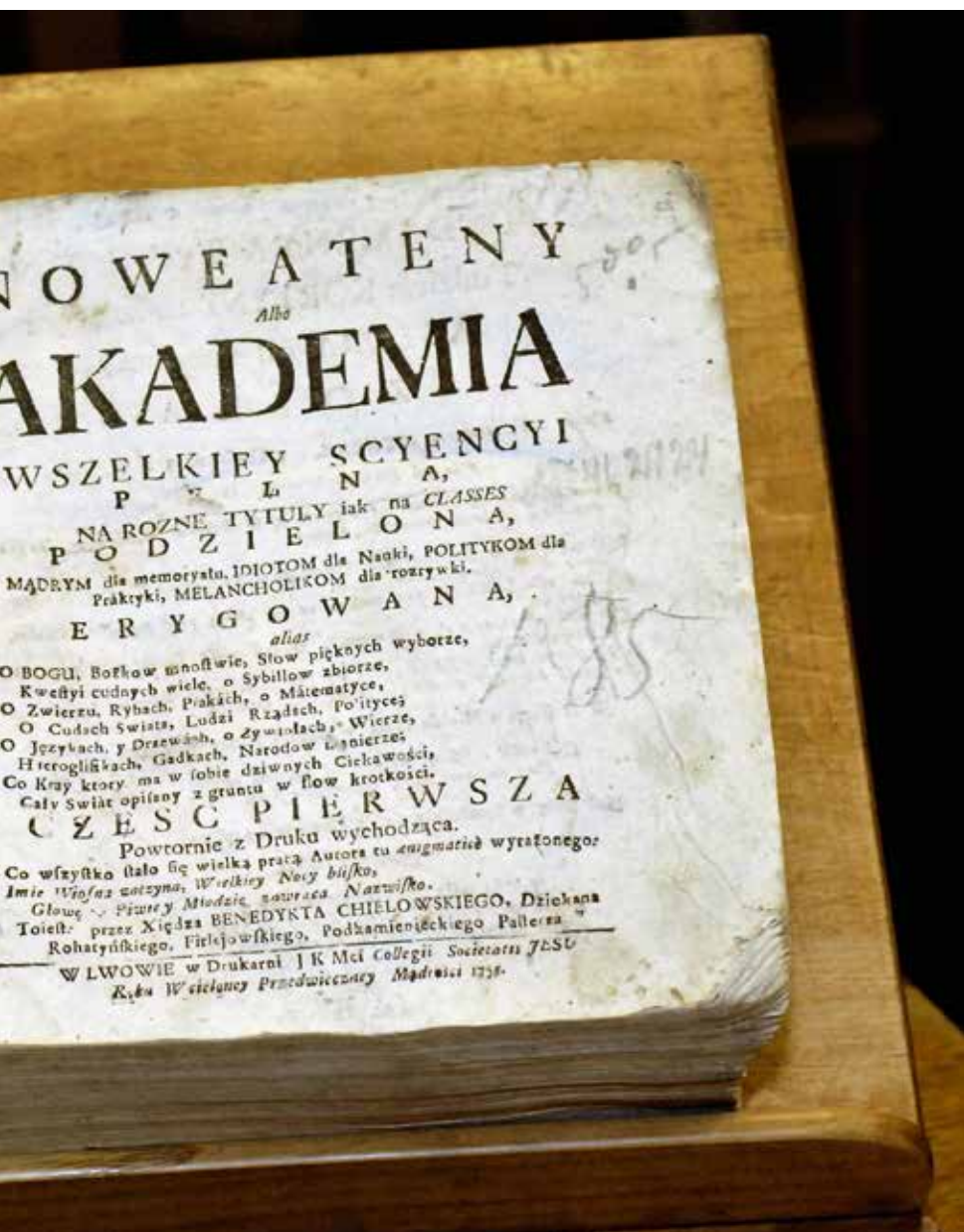
W rozwiniętych cywilizacyjnie państwach pojawiły się narodowe encyklopedie. *Encyklopedia Britannica* (1768-1771) miała

– według Joanny Olkiewicz – „w przeciwieństwie do *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej* charakter nie ideowy, a raczej odtwórczy, pragmatyczny (...) wraz ze współczesnymi jej leksykonami niemieckimi – zapoczątkowała około połowy XIX wieku nowoczesną erę w piśmiennictwie encyklopedycznym”. Z udziałem wielu współpracowników wydał *Encyklopedię* brytyjską w Edynburgu – początkowo w zeszytach – Colin Macfarquhar, redaktorem był William Smellie. Wiele haseł było kompilacją wydrukowanych uprzednio artykułów. Układ był alfabetyczny. Trzy tomy zajęły 2659 stron (i 160 plansz). Dominowały artykuły przeglądowe, wielostronicowe. Pomijano tematykę historyczną i biografie. Drugie wydanie (1778-1783) liczyło już 10 tomów (8595 stron i 340 ilustracji). W trzecim wydaniu – w 18 tomach i na 542 planszach – zrezygnowano z kompilacji. Sprzedano około 10 tys. kompletów dzieła. Do siódmego wydania (1830-1842) dołączono indeks haseł zawartych w 21 tomach (17 801 stron). Od dziesiątego wydania dystrybucję przejęli wydawcy z USA, od jedenastego dzielono artykuły na zwarte hasła (40 tys. wobec 17 tys. w IX wydaniu). Ponad 17 tys. haseł stanowiły już biografie. Od 14 wydania (1929) obowiązuje system ciągłego uaktualniania i rewizji haseł.

W anglojęzycznym szkolnictwie prywatnym posługiwano się encyklopediami tak jak słownikami – były pomocniczym źródłem w szkolnych bibliotekach. Odmienne traktowano encyklopedie w kontynentalnej „nauce szkolnej”. Stały się dopełnieniem wiedzy podręcznikowej, zwłaszcza dla nauczycieli. Wytworzył się więc dydaktyczny schemat nadmiernych wymogów wobec uczniów w formie przymusowo transferowanej „wiedzy encyklopedycznej”, co kojarzono z faktografią.

W kręgu towarzyskim nie funkcjonowały głębokie debaty, oparte na wiedzy encyklopedycznej. Erudyty uchodzili w towarzystwie za dziwaków. Od 1809 roku wydawane były kolejne edycje Friedricha Arnolda Brockhauusa *Konversations-Lexicon oder kurzgefasstes Wörterbuch*. Krótkie hasła w układzie alfabetycznym nie miały charakteru autorskiej wypowiedzi. W innych krajach, także w Rosji i USA, publikowano analogiczne leksykony.

Znaczącym dla kultury polskiej dziełem był *Słownik języka polskiego* Samuela Bogumiła Lindego, wydawany z pomocą Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego w latach 1807-1814. Słownik obejmował sześć tomów, każdy liczył ponad 600 stron. Zawierał łącznie około 60 tys. haseł wyrazowych. Połowę kosztów pokrył Adam Kazimierz książę Czartoryski. W 1807 roku znalazło się zaledwie 116 subskrybentów, nakład wynosił 1200 egzemplarzy. Znaczenie wyrazów wyjaśniał Linde poprzez cytaty z literatury i języka potocz-



Fot. Stefan Ciechan

nego, pomijał dialekty. Drugie wydanie *Słownika* ukazało się w latach 1854-1860, edytorem było Ossolineum.

Larousse na indeksie

Autorem *Grand Dictionnaire universel du XIX siècle* był Pierre Athanase Larousse, absolwent seminarium nauczycielskiego w Wersalu. Słownik wypełnił ponad 20 tys. stron in quarto w układzie czteroszpaltowym. Pracę nad hasłami słownika podjął Larousse około 1845 roku, w 1864 ukazały się pierwsze zeszyty tomu I. Ogółem wydano 15 tomów (1876), dopełnionych suplementami w 1878 i 1890 roku. W roku 1873 wpisano *Słownik* do kościelnego „Indeksu ksiąg zakazanych”, powodem był liberalizm autorów haseł. Propagowano w *Słowniku* wynalazki techniczne, ale i utwory literackie, a nawet muzyczne. Pojawiła się też antologia przysłów, traktowanych jako „mądrość narodu”. Redaktor płacił autorom rękopisów gotówką pozyskiwaną z subskrypcji. Listy subskrybentów publikowano, co było formą nowej nobilitacji społecznej. Dopełnieniem *Słownika* był jednotomowy *Słownik języka francuskiego* (1856), złożony z części słownikowej i części encyklopedycznej.

W Wielkiej Brytanii rozpoczęto w 1857 roku prace nad monumentalnym *The Oxford English Dictionary*. Słownik miał posiadać układ alfabetyczny, uwzględniał także dialekty i mowę potoczną. Materiały do słownika zbierano drogą ankiety od amatorów literatury angielskiej poprzez nadsyłanie odpowiednich cytatów. Plan pracy przygotował Herbert Coleridge. Po jego śmierci przejął prace redakcyjne Frederick James Furnival. Założył Stowarzyszenie Tekstów Wczesnoangielskich, a następnie Towarzystwo Chausersowskie. Po 21 latach prac, prowadzonych przez około 800 korespondentów (wśród nich był William Chester Minor, weteran wojny secesyjnej, przebywający w zakładzie zamkniętym – zebrał ponad 10 tys. haseł), przystąpiono do druku. Redaktorem był James Murray. W roku 1882 zgromadzono już około 3,5 mln kart z wypisami cytatów. Dwa lata później Oxford University Press wydało pierwszy zeszyt (fascykul) *New English Dictionary on Historical Principles*. Grono redaktorów uległo poszerzeniu. Pierwsze wydanie – w 20 półtomach, liczących 414 825 haseł z 5 mln cytatów – zakończono w 1928 roku.

Mimo utraconej niepodległości pojawiły się w Królestwie Polskim wydawnictwa encyklopedyczne. Występowały jednak trudności organizacyjne. Ograniczony krąg subskrybentów spowodował upadek wydawnictwa braci Augusta Emanuela i Krystiana Teofila Glücksbergów. Po wydaniu czterech tomów *Encyklopedii powszechnej, zbiór wiadomości najpotrzebniejszych dla wszystkich stanów* edycję przerwano (na „Czy-”) w roku 1840. Powiodła się dopiero inicjatywa Samuela Orgelbranda. W latach 1859–1868 opublikował 28 tomów *Encyklopedii Powszechnej*. Pozyskał około trzech tysięcy subskrybentów. W kolejnych zeszytach hasła opracowywało źródłowo ogółem 181 autorów. Wydawca tak komentował dzieło: „Przywiązanie nazwiska swojego na zawsze do publikacji olbrzymiej, rzeczywiście pożytecznej i godnej trudów całego życia może stać się ideałem najwyższym, najpiękniejszą spuścizną”. W 1861 roku uruchomił wielki zakład poligraficzny, zatrudniający około 200 pracowników. Opublikował ogółem 303 książki w języku polskim i 100 w języku hebrajskim. Jego syn, Mieczysław, publikował kolejne edycje *Encyklopedii*. Brat Samuela, Maurycy Orgelbrand, wydał dwutomowy *Słownik języka polskiego do podręcznego użytku* (1861). Słownik zawierał 108 tysięcy wyrazów. Inny zakres niż powszechny miała *Encyklopedia Ogólna Wiedzy Ludzkiej*, którą w 12 tomach opracował Franciszek Maksymilian Sobieszkański (1872-1877). Nową *Wielką Encyklopedię Powszechną Ilustrowaną* zainicjował Saturnin Sikorski.

Wydano od 1892 do 1914 roku ogółem 55 tomów, nie została jednak ukończona. Znaczący dla nauki był też *Słownik języka polskiego* Adama Antoniego Kryńskiego i Władysława Niedoźwieckiego (1900–1927). Liczył ogółem 280 tys. haseł (czterokrotnie więcej niż słownik Lindego). W latach 1900–1903 ukazała się w czterech tomach *Encyklopedia staropolska* Zygmunta Glogera. Michał Arct opublikował *Słownik wyrazów obcych* (1882), *Słownik staropolski* (1914) oraz *Słownik ilustrowany języka polskiego* (1916), zawierający około 4300 miniaturowych drzeworytów. W latach 1925–1928 ukazała się *Ilustrowana Encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego*, zredagowana przez Stanisława Lama. Oryginalny charakter miała *Encyklopedia Powszechna Ultima Thule*, ukazała się w latach 1927–1938 10 tomów (wygasty na hasła „Szymonowicz”).

Kopaliński

Encyklopedie to nie tylko wielotomowe ciągi dzieł na półkach, ale i osoby autorów. W większości podtrzymywali oni wzorzec homines curiosi, mimo że wydawanie encyklopedii powierzono przedsiębiorczym księgarzom. O ile wydawanie encyklopedii powszechnych było dziełem licznej gromady autorów, o tyle słowniki encyklopedyczne miały z zasady charakter autorski i funkcjonowały często pod mianem osobowym autora. Jednym z ostatnich homines curiosi, gotowych poświęcać dziesiątki lat na zbieranie potrzebnych materiałów i gromadzenie fiszek, był Władysław Kopaliński (właściwie Jan Sterling). Urodził się w spolonizowanej rodzinie żydowskiej (14 XI 1907). Wychowywał się w kulcie nauki. Nie ukończył studiów (filologia angielska na UW), bowiem pomagał ojcu w prowadzeniu drukarni. Po wojnie pracował w Polskim Radiu, następnie prezesował Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Zmarł mając 100 lat (5 X 2007). Jego pasją było przygotowywanie materiałów do wyspecjalizowanych słowników. Między 1967 a 2007 rokiem ukazało się 30 wydań jego autorskiego *Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*. Z Paweł Hertzem opracował *Księgę cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku* (1975). Kopaliński wydał w 1985 roku głęboko erudycyjne dzieło *Słownik mitów i tradycji kultury*, mające kilka wydań i wiele dodruków. Jego dziełem były też: *Słownik symboli* (1990), *Słownik przypomnień* (1992), *Encyklopedia „drugiej plci”* (1995). W kolejnym roku opublikował *Słownik eponimów czyli wyrazów odmiennych* oraz *Podręczny słownik wyrazów obcych*. Z kolei wydał *Słownik wydarzeń, pojęć i legend XX wieku* (1999), mający kilka wydań i dodruków. Oryginalne były Kopalińskiego (nazwisko wybrał nieprzypadkowo) *Leksykon wątków miłosnych* (2002) oraz *Przygody słów i przysłów. Leksykon* (2007). Trudno będzie komukolwiek konkurować z takim dorobkiem.

Encyklopedie i słowniki encyklopedyczne dostarczały nie tylko okazjonalnie potrzebnej wiedzy, ale stanowiły też dowód kultury i erudycji właściciela domowego księgozbioru. Wielotomowe, oprawne wydania zajmowały reprezentacyjne miejsca w bibliotece. Mimo postępującej dezaktualizacji, encyklopedie i słowniki encyklopedyczne zawierały wiedzę z epoki i jako takie zachowywały nieprzemijającą wartość źródłową. Świadczyły też o osiągniętym stanie wiedzy ogólnej, prezentowanej bez bezpośredniego odwoływania się do profesjonalnej wiedzy akademickiej. Wspólną cechą wszystkich encyklopedii był ich porządkujący, systemowy charakter. Według Umberta Eco (*Od drzewa do labiryntu...*, 2009, część cytowaną tłumaczyła z języka włoskiego Joanna Szymanowska), „Encyklopedia jest jedynym narzędziem, które pozwala nam wyjaśnić nie tylko funkcjonowanie każdego systemu semiotycznego, ale również życie określonej kultury jako systemu wzajemnie połączonych systemów semiotycznych”.

Marcelina Smużewska

Wirtuoz chirurgii

Historia Jana Mikulicza-Radeckiego

W klinice pojawiał się około dziesiątej rano. Witął się z asystentami i adiunktami, którzy referowali mu dzienny raport o stanie kliniki. Do południa prowadził wykłady dla studentów. Potem operował. W pracy chirurga był zwinny, szybki i precyzyjny, co kontrastowało z jego wyglądem.

W zawiłej historii naszego kraju często jest tak, że podaje się w wątpliwość przynależność narodową ludzi, którzy coś osiągnęli w nauce, sztuce czy literaturze. Przykładem może być Mickiewicz, Chopin czy Skłodowska-Curie. Bierze się to z tego, że mieli międzynarodowe rodowody lub pracowali poza granicami Polski. Sytuacja ma się podobnie z bohaterem tej historii. Kim był więc Jan Mikulicz-Radecki?

Polak, Niemiec czy Austriak?

Urodził się 16 maja 1850 r. w Czerniowcach (zabór austriacki, obecnie południowo-zachodnia Ukraina). Ojciec był pół-Polakiem, pół-Niemcem, a matka pruską szlachcianką. Edukację zdobywał w Wiedniu. Pierwsze szlify zawodowe zdobył także w stolicy Austrii, w wyróżniającej się dyscypliną i dokonaniem Klinice Chirurgicznej Theodora Billrotha. Mikulicz podróżował po całej Europie, podpatrując najbardziej innowacyjnych chirurgów. Pracę habilitacyjną napisał – nie inaczej – w języku niemieckim. Całą edukację i większość życia zawodowego spędził otoczony przez język niemiecki. Ożenił się z Austriaczką Henriettą Pacher, która pałała niechęcią do polskości i siedmioro małych Mikuliczów wychowywała na przykładnych poddanych austriackich. Na polskojęzycznym uniwersytecie w Galicji spędził zaledwie pięć lat, potem były niemieckojęzyczne: w Królewcu i we Wrocławiu.

Mimo to Mikulicz deklarował się jako Polak. Uważał język polski za ojczysty (choć nie wiemy, ile było w tym okazjonalnego oportunisty). Wykształcił grupę polskich lekarzy, m.in. Zygmunta Radlińskiego, Leona Mieczkowskiego, Adama Czyżewicza, Józefa Starzewskiego, Eugeniusza Parczewskiego i Teofila Zalewskiego. Czytał polską literaturę naukową, a z polskimi lekarzami rozmawiał po polsku. Jego wkład w nowoczesną chirurgię (światową) jest niezaprzeczalny.

Jednocześnie trzeba pamiętać, że Polski nie było ówczesnie na mapach, a ludność polska zaczynała się (dobrowolnie lub nie) asymilować z narodami zaborczymi. Austria, wielkie mocarstwo, jednoczyła w swoich granicach wiele autonomicznych narodów. Czynnikiem spajającym była armia i urzędowy język niemiecki – aż tyle albo tylko tyle, żeby uformować tożsamość austriacką. W tym sensie Mikulicz był Austriakiem. Po przeprowadzce do Królewca przyjął narodowość niemiecką.

Kwestię narodowości Mikulicza obszernie skomentowała jego córka Hilda Anschütz. Rodzina Mikulicza była niemiecka i tym językiem się posługiwała. Polski dziadek Mikulicza porzucił rodzinę, co spowodowało, że babcia, Josepha Just, wychowywała wszystkie dzieci w duchu niemieckim. Ojciec Mikulicza zapisywał swoje nazwisko jako „Mikulitsch”. Żona sławnego chirurga – jak już wspominałam – nie znała polskiego i go nie ceniła. Córka zwróciła uwagę na to, że przez trzy pokolenia rodu Mikuliczów o ich „niemieckości” decydowały kobiety, które wychowywały potomstwo. Sam Mikulicz określił teren Bukowiny jako nędzne i przygnębiające miejsce i zestawiał je z „wolnym światem”, jakim był dla niego Zachód. Interesował się swoimi polskimi korzeniami, ale raczej w aspekcie położenia arystokratycznego rodu niż jakiegoś sentymentu do ojczyzny. Córka Mikulicza sugeruje, że miał liczne kontakty z Polakami, bo pracował na terenie zaboru i nie zdążył przenieść się tam, gdzie w istocie chciał być – do Niemiec właściwych. Tam chciał cieszyć się taką estymą jak na Śląsku. Podkreśla też, że specyficzne zawiłości rodowe sugerują, że był przede wszystkim Austriakiem, bo historia tego kraju ukształtowała jego biografię. Niemcem stał się w drugiej połowie życia, niejako z wyboru.

Podobno sam Mikulicz na pytanie o narodowość odpowiadał, że jest po prostu chirurgiem. Nie manifestował ani niemieckości, ani polskości. Pozostawiając więc te sprawy na marginesie, przedstawiam dorobek Jana Mikulicza-Radeckiego jako chirurga, leczącego wszystkich, bez względu na identyfikację narodową.

Okres krakowski

Mikulicz-Radecki w 1882 r. objął kierownictwo Katedry Chirurgii UJ i kliniki w Krakowie. Miał zaledwie 31 lat, ale był już znanym lekarzem. Stało się to wbrew preferencjom rady wydziału, ale zdecydowało ministerstwo w osobie namiestnika Galicji, hrabiego Potockiego. Chodziło o to, że zdaniem niektórych Mikulicz mówił zbyt słabo po polsku. Podczas mowy inauguracyjnej w 1882 r. powiedział: „Zarzucono mi, że nie znam języka polskiego, który jest przecież tak samo mową ojczystą dla mnie, jak i dla każdego z panów. Prawda, że przez ciągłe przebywanie w zakładach naukowych niemieckich zaniedbałem naszej mowy”. To jedyna zachowana deklaracja Mikuli-

cza, co do jego narodowości. Warto wspomnieć, że w klinice we Wrocławiu trzymał zawsze dwa miejsca asystenckie dla Polaków, a na międzynarodowych zjazdach przebywał najczęściej z polskimi i czeskimi chirurgami. Mikulicz był także jednym z najczęściej publikujących w wydawnictwach medycznych Polskiej Akademii Umiejętności.

O modernizację kliniki w Krakowie zaczął walczyć od początku. Kraków miał wtedy 50 tys. mieszkańców, a klinika mogła pomieścić zaledwie 21 pacjentów. Warunki sanitarne pozostawały wiele do życzenia. Jak podaje Waldemar Kozuschek, śmiertelność pooperacyjna jeszcze w połowie XIX wieku była bardzo wysoka. Po amputacji kończyn wynosiła 60%, w czasie chorób epidemicznych lub wojny 90%. Najwięcej wykonywano resekcji kończyn i zabiegów tracheotomii. Unikano zaś otwierania powłok brzusznych. Lekarze stawali do stołu operacyjnego w najgorszych ubraniach. Doświadczeni lekarze różnili się od młodych właśnie poziomem ich zabrudzenia. Bandaże, tzw. szarpie, były płukane w zimnej wodzie, suszone i zakładane kolejnemu pacjentowi. W takich warunkach niepowikłany przebieg leczenia należał do rzadkości. Krakowski Wydział Lekarski liczył nieco ponad 250 studentów. Mikulicz zaczynał pracę w klinice z jednym asystentem, Hilarym Schrammem, a po pięciu latach miał ich pięciu. W tym okresie nawiązał współpracę z innym wybitnym lekarzem polskiego pochodzenia, Napoleonem Cybulskim. Razem zajmowali się badaniem przełyku i krtani. W okresie krakowskim zaczął wykonywać laparotomie w przedziurawieniach żołądka i dwunastnicy (jako pierwszy na świecie zaszyl przedziurawiony wrzód żołądka), resekcje odźwiernika z powodu nowotworu, usuwanie macicy przez pochwę. Zaproponował innowacyjną metodę operacji zwężonego odźwiernika (tzw. pyloroplastyka Mikulicza), częściowego usuwania tarczycy, doszczętnej operacji migdałka zajętego rakiem, leczenia ropnego zapalenia zatok Highmore'a, plastikę nosa oraz osteoplastyczną operację stopy. Uzasadził konieczność drenowania jamy otrzewnowej za pomocą specjalnej tamponady (tzw. worek Mikulicza). Zastosował z sukcesem podawanie soli fizjologicznej po spoirej utracie krwi.

Pięcioro z jego dzieci przyszło na świat właśnie w Krakowie, ale jego żona Henrietta nigdy nie polubiła Krakowa, bo uważała go za zbyt polski. Uwzględniając te dwa aspekty, ograniczone możliwości kliniki w Krakowie i niechęć żony do tego miasta, Mikulicz zdecydował się przenieść do Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu w Królewcu. Miasto to było wtedy trzy razy większe od Krakowa. Poza tym wiązało się to z przyjęciem niemieckiego obywatelstwa i otwierało Mikuliczowi drogę do klinik na Zachodzie. Za polskim chirurgiem w Krakowie tęskniło wielu, a szczególnie społeczność żydowska, do której lekarz ten odnosił się z wyrozumiałością i „humanitaryzmem”. Cenili go także dlatego, że posługiwał się jidysz.



Jan Mikulicz-Radecki

Zródło: mbid.muzzeum.uni.wroc.pl

Okres królewiecki

Według pani Mikulicz okres królewiecki był najpłodniejszy w karierze męża. Wraz z kolegą po fachu założył pismo „Mitteilungen aus den Grenzgebieten der Medizin und Chirurgie”. Zaprzyjaźnił się z Feliksem Dahnem (poetą i powieściopisarzem), Karolem Chunem (zoologiem) oraz Gustawem Hirschfeldem (archeologiem). Pracował w dobrze wyposażonej i nowoczesnej klinice, w przyjaznym i koleżeńskim środowisku. Miał parowy aparat do wyjąławiania narzędzi. Wprowadził do polskich sal operacyjnych jodoform (antyseptyka) oraz bawełniane rękawiczki i maski zasłaniające usta i nos (aseptyka). Do gojenia ran sporządził maść z roztworem azotanu srebra (tzw. maść Mikulicza). Do dziś stosuje się ją w leczeniu np. odleżyn.

Operował wszystkich, bez względu na narodowość, choć zazwyczaj oczekiwał zapłaty. Będąc w Królewcu, odbywał często podróże na teren Rosji, gdzie leczył moźnych tego kraju. Złośliwi mawiali, że na pytanie, czy honorarium za operację nie mogło być mniejsze, odpowiadał: „Przy wysokich cenach biorę ostry nóż, a przy niskich cenach tępy nóż”. To jednak jedynie anegdota, a Mikulicz dał się poznać jako humanista, wrażliwy na cierpienie pacjenta. Często operował biednych i nie pobierał wynagrodzenia. Mikulicz wykazywał się jednak dużą pracowitością (pruską konsekwencją?), stąd majątek, który udało mu się zgromadzić. W spadku po sobie zostawił milion marek. Kwotę jak na owe czasy zawrotną.

W klinice pojawiał się około dziesiątej rano. Witął się z asystentami i adiunktami, którzy referowali mu dzienny raport o stanie kliniki. Do południa prowadził wykłady dla studentów.

Potem operował. W pracy chirurga był zwinny, szybki i precyzyjny, co kontrastowało z jego wyglądem. Wydawał się nerwowy, rozproszony, miał cudaczny akcent wynikający z posługiwania się wieloma językami, był delikatnej budowy i miał ruchliwą twarz (tiki nerwowe). W klinice pozostawał czasem do 17.00 lub 18.00. Nikomu nie wolno było wyjść przed Mikuliczem. Potem przeniósł się do prywatnego gabinetu. Nie pił i nie palił oraz prowadził zdrowy tryb życia. Często pojawiał się spóźniony, choć punktualność cenił sobie bardzo. Nienawidził czekać.

Okres wrocławski

Klinikę we Wrocławiu Mikulicz przejął w 1890 roku. Stąd było bliżej do Berlina, a nie przestał jeszcze marzyć o karierze na Zachodzie. Szpital mieścił około 60-90 łóżek i miał stosunkowo dużą, choć nie bardzo nowoczesną salę operacyjną. Nowa klinika była w budowie. Zaplanowano ją w dzielnicy Szczytniki, która wtedy nie była zabudowana. Nowy budynek umieszczono wśród ogrodów, niedaleko mostu Zwierzynieckiego, stąd nazwa ulicy Tiergartenstrasse. Po 7 latach otwarto nową salę operacyjną, która była najnowocześniejsza jak na tamte czasy w Europie. Od 1899 r. Mikulicz miał także prywatną klinikę we Wrocławiu przy obecnej ul. Skłodowskiej-Curie, gdzie dzienna opłata za miejsce wynosiła 5-10 marek. W 1895 r. zakupił willę w Pełcznicy. Utrzymywał kontakty z posiadaczami zamku Książ von Hochbergami. Miał bliską relację z siostrą Emilią Zborowską i bratem Walerianem, generałem armii austriackiej. Sporo czasu zajmowało mu hobby, jakim było polowanie i muzykowanie (grał na fortepianie i tak przed laty przekonał do siebie Billrotha). Cieszył się ogromnym uznaniem wśród mieszkańców Wrocławia. Żydzi powiadali, że najpierw jest Pan Bóg, ale zaraz potem prof. Mikulicz. Można powiedzieć, że lekarz odnalazł swoje miejsce i osiadł ostatecznie na Śląsku. Był wielokrotnie odrzucany na Zachodzie. W 1903 r. pojawiła się oferta z Wiednia, jednak Mikulicz odmówił. Możemy tylko spekulować, czy stało się to przez przywiązanie do Wrocławia i Śląska, czy przez wspomnienie wcześniejszych porażek.

Unowocześnienie chirurgii

Jeszcze w okresie asystury w wiedeńskiej Klinice Billrotha Mikulicz odseparował specyficzne komórki (tzw. olbrzymie), odpowiedzialne za chorobę zwaną twardzielą nosa. Do tamtej pory uważano, że jest to schorzenie nowotworowe, ale dzięki badaniom Mikulicza okazało się, że jest to przewlekła choroba zapalna. Komórki typowe dla twardzieli nosowej do dziś noszą nazwę komórek Mikulicza. Z tego samego okresu wiedeńskiego pochodzą projekty ezofagoscopu i gastroskopu – przyrządów do badania układu pokarmowego. Zajmował się też metodami leczenia kolan (praca habilitacyjna). Dużo uwagi poświęcił postępowaniu antyseptycznemu, co było kluczowe dla przeżywalności pacjentów. Opisał własne metody operacyjne: resekcję żołądka,

dwuczasowe wyłonienie jelita grubego, chirurgiczne leczenie kręczu szyi. Prowadził wraz z prof. Ferdinandem Sauerbruchem eksperymenty nad chirurgią klatki piersiowej. Pracowali nad komorą podciśnieniową, choć z czasem standardem stało się operowanie w nadciśnieniu. Mikulicz wykonał także po raz pierwszy resekcję nowotworu przełyku. W 1904 roku opisał nową jednostkę chorobową – torbiele kostne młodocianych. Był także współautorem podręcznika służącego do ćwiczeń rehabilitacyjnych.

Mikulicz konstruował sprzęt medyczny. Oprócz wspomnianych wcześniej przyrządów do gastroscopii, opracował także skoliozometr do mierzenia skrzywień bocznych kręgosłupa. Wymyślił uciskadło do tamowania krwotoków przy operacjach migdałków. Zaprojektował kleszcze harpunowate do operacji ginekologicznych. Dumą chirurga była też sama organizacja klinik, w których pracował. Podziwiano je nie tylko w Europie, ale także w Ameryce. Do Stanów Zjednoczonych Mikulicz trafił pierwszy i ostatni raz w 1903 roku, gdzie miał wykłady na dwudziestu uczelniach. W 1904 roku odbył naukową podróż do Wielkiej Brytanii, która okazała się jego ostatnią tego rodzaju wyprawą.

W tym samym roku zdiagnozował u siebie nowotwór żołądka. Okazał się nieoperacyjny. Jego przyjaciel i lekarz Anton Eiselsberg dokonał laparotomii w klinice we Wrocławiu i zakończył operację bez resekcji. Tak się umówili. Po operacji Mikulicz doszedł szybko do siebie. Na pierwszym wykładzie po zabiegu powiedział swoim studentom: „Największym i najszlachetniejszym zadaniem lekarza jest wówczas pomagać choremu, gdy pomoc chirurgiczna jest niemożliwa”. Czyżby pod koniec życia zaczął doceniać także inne specjalizacje medyczne, jak chociażby paliatywną? Wygląda na to, że tak.

Jan Mikulicz-Radecki zmarł we własnym domu, w wieku zaledwie 55 lat, ale pogodzony z losem, a pochówek odbył się na cmentarzu w Świebodzicach, niedaleko ukochanej willi w Pełcznicy.



Willa Mikulicza w Świebodzicach-Pełcznicy

Relatywizm w działaniu

Pytania: Mógł być? Miał zrobić? Może być? Czyżby nie był...? Na pewno był?

Twierdzenia: Mógł być złodziejem. Miał ukraść, a czy tak było, wypowie się sąd. Może być albo może będzie złodziejem. Czyżby nie był złodziejem? Na pewno był złodziejem, inaczej by go nie aresztowano.

To przykłady kwestii i orzeczeń względnych, relatywistycznych, tendencyjnych, podchwytliwych, podszytych fałszem. Można ich tworzyć dowolnie wiele, setki, tysiące, ponieważ możliwe permutacje niespójnych lub rozmytych i zarazem nielogicznych zestawień semantycznych idą w nieskończoność. Da się nimi brudzić dobro zgrzytliwymi nutami zła. Na nich opiera się większość fake newsów, prymitywnych zniekształceń informacji typu „wydaje się”.

„Podobno pan miał coś wspólnego z kradzieżą samochodu” – słyszymy i zanim się otrząśniemy i uświadomimy, że tak, istotnie, wczoraj ktoś nam buchnął auto, już zdążyła się rozejść wieść, że złodziejami jesteśmy my. Można oczywiście odpowiedzieć tak jak ów znany z dowcipów oskarżony o oszczerstwo, który na żądanie sądu, aby odwołał potwarz mówiącą, że osoba przezeń obrażona jest złodziejem, z charakterystycznym zaśpiewem wykrzykuje sądowi w oczy: „Proszę bardzo, już mówię: Kowalski nie jest złodziejem?”

Te cytaty to oczywiście klasyki wzięte ze szmoncesów, jakże trafne. Obrazują naszą codzienność wzmocnianą przez Internet i SMS-y. W dzisiejszych czasach niejedna myśląca mama uczy swoje dziecko, aby już w przedszkolu nie dawało się na takie sztuczki nabierać, ale niestety dla wielu pozostają one jednak atrakcyjnymi, i na pewno nieetycznymi, sposobami na bezpieczne zabawianie się cudzym nieszczęściem. Bezpieczne, bo wciąż działanie takie jest uznawane za społecznie mało szkodliwe, mimo że bynajmniej nie jest skutkiem dążenia do prawdy i dobra. To tak jak aresztowanie kogoś przez pomyłkę, bo się nazywa podobnie do złodzieja (Jan Kowalik z ulicy Słowiczej 23 zamiast Jerzego Kowalskiego z ulicy Słowackiego 25), a nawet skazanie niewinnego na długoletnie więzienie czy nie daj Boże śmierć. Obmowa przeważnie uruchamia podłą a skuteczną akcję niszczenia, nawet kończącą się śmiercią, czyli de facto morderstwem. Niestety niekaralnym. W ostatnich latach było bardzo dużo informacji publicystycznych i literackich na temat samobójstw dzieci pod wpływem urazu z pomawiania. Mniej czytamy o niezawinionych klęskach ludzi dorosłych, w tym o niesłusznych wyrokach śmierci. A szkoda, bo takich przypadków wcale nie brakuje, są tylko lepiej ukrywane i (albo) maskowane, i zbrojcy, mordercy (prokuratorzy, sędziowie) nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

Zatem orzeczenia, a zwłaszcza pytania względne w pewnych charakterystycznych kontekstach nie tylko nie mają na celu uzyskiwania czy przekazywania informacji, nie są też prośbą o odpowiedź ani nie mają charakteru retorycznego. Budują

natomiast okoliczności, stwarzają sytuację, w której mówiący (piszący, orzekający) nasycą słowami i gestami atmosferę znaczeniową wokół swej wypowiedzi w taki sposób, aby słuchający (czytający, skazany, też wykonujący wyroki) poczuł się przyciśnięty do muru, a widzowie stawali sędziami.

Nasuwa się tu myśl: niech minister sprawiedliwości nam powie, jak w zaostrzonym obecnie prawie będą chronieni niesłusznie osądzeni i skazani. Łatwo się przekracza granicę mordy sądowego i więziennego.

Zanim niewinny się zorientuje (przebudzi), już znajduje się w pułapce i nie wie, co z tym fantem zrobić. „Nie ukradłem” – odpowiada zdenerwowany, ale akcja trwa i osaczony napotyka ironiczną replikę: „Tak, tak, wszyscy wiemy, że nie ukradłeś”, a pogłos tym bardziej idzie w lud.

Pytania i orzeczenia relatywistyczne należą do kluczowych metod walki personalnej, stalkingu, mobbingu, dyskryminacji. Przestrzegał przed nimi św. Jan Paweł II. Ich sens zawiera się w chciejstwie, w życzeniach (rzecz jasna niepobożnych) i wcale nierzadko po prostu w złorzeczeniu, pomawianiu i obrażaniu, na które nie wiadomo jak reagować.

Jednym z zasadniczych elementów niczym nieograniczonej, całkiem swobodnej manipulacji w mediach, zwłaszcza w zakresie walki politycznej, jak zawsze brutalnej, jest omijanie szerokim łukiem dowodów na to, że coś istnieje, istniało, zaistniało, było, stało się i tak dalej, a także zręczne omijanie czy wręcz (przez sędziów!) ignorowanie dowodów lub ich braku i celowe (nieraz wręcz złośliwe) zastępowanie ich wyrażeniami w trybie przypuszczającym: mogło być, miało być, prowadzi do, zagraża tym a tym, stwarza niebezpieczeństwo że... itp.

Kilka miesięcy temu przez media przetoczyła się afera z izraelskim programem do podsłuchiwania „Pegasus”. Najpierw agencja Associated Press poinformowała, że grupa badaczy Citizen Lab z Uniwersytetu w Toronto wykazała, że w Polsce byli inwigilowani „Pegasusem” mecenas Roman Giertych i prokurator Ewa Wrzosek. Fakt, że śledzony przez telefon był senator Krzysztof Brejza, bezdowodowo „potwierdziła” Amnesty International. Potem dołączyła cała kolejka innych byłych polityków chętnych do rozgłosu za pomocą podsłuchów, na przykład Jarosław Gowin, który oświadczył, że „jego telefon był czysty”, ale jeszcze będzie sprawdzany. Jednak 29 grudnia 2021 roku Prokuratura Okręgowa w Warszawie odmówiła Wrzosek wszczęcia śledztwa na podstawie samych tylko podejrzeń, aż w końcu grupa ekspertów Citizen Lab oświadczyła, że żadnych dowodów na inwigilację wymienionych osób jako żywo nigdy nie było, a ona jedynie badała, czy mogło do nich dojść.

Ktoś dowcipnie to wszystko skomentował konkluzją: „Jak żona na moim ubraniu nie znajduje damskiego włosa, to mówi, że byłam u kobiety, ale łysej”.

Mistrzostwo w sztuce bycia człowiekiem



Kilka lat temu na ekrany kin, głównie studyjnych, wszedł film, w którym nie było ani jednego zbędnego słowa. Po prostu nie było ich wcale. Rzecz dzieje się we francuskich Alpach, ale nie na ośnieżonych stokach, lecz za murami klasztoru legendarnego zakonu kartuzów. Reżyser oparł się pokusie odtworzenia medytacyjnego życia mnichów, wołał pokazać jego istotę, stąd oszczędna forma i brak zbędnych w tym przypadku dodatków, jak choćby muzyki. Stworzył film o świadomości, absolutnej obecności. Nie bez powodu kadry z *Wielkiej ciszy* wróciły do mnie podczas lektury dwutomowego dzieła Pawła Armady.

O stosunku autora do ery nowoczesności można napisać wszystko, ale z pewnością nie to, że jest jej bałwochwalczym apologetą. Daleko mu jednak do banalnej nostalgii, zwykłej tęsknoty za tym, co było. Kieruje nim dezaprobatą wobec bezrefleksyjnego zachłystnięcia się postępem technologicznym bez spoglądania na moralny kompas. Jak w tym bezbrzeżnym hałasie, bezliku bodźców i ciągłym wyścigu szczurów skupić się, znaleźć autentyczne „ja”? Można zapytać à rebours, po co w gruncie rzeczy to robić, skoro myślą za nas „inni”: algorytmy, wyszukiwarki, systemy GPS?

Armada zauważa, że w tej przeładowanej codzienności, a w rzeczywistości pustce, znakomicie potrafiliśmy wypracować odruch obronny – spychanie „lęków egzystencjalnych” gdzieś głęboko pod spód. Kredyty, konsumpcja, przyjemności – na tym się, nomen omen, koncentrujemy. Tyle że to droga donikąd, o czym dobitnie świadczy chociażby nasze zdrowie psychiczne. Co więc proponuje? Zwrócenie się ku mistrzom koncentracji. „Powrót do klasycznej literatury i filozofii nie musi oznaczać desperackiej ucieczki z nowoczesnego świata. Może wiązać się z realistyczną oceną tego, co w tym świecie należy robić, aby uniknąć przegranej i tepego godzenia się z losem” – wyjaśnia.

Odprawia z kwitkiem zwolenników „prostego żywota”, rozumianego jako beznamiętne odtwarzanie przeciekającej między palcami codzienności, unikanie odpowiedzialności, podążanie szlakiem wytyczonym przez innych. Tylko samopoznanie i ćwiczenie w samoopanowaniu stanowią mur obronny naszego umysłu, nie wahajmy się – naszego człowieczeństwa. Czy jednak dziś, w tak różnym od tamtego świecie, warto i da się poruszać ścieżkami wydeptanymi przez założycieli naszej cywilizacji? Owszem, przekonuje autor, o ile nie poprzestaniemy jedynie na opisie mądrości sprzed setek i tysięcy lat, lecz będziemy gotowi na przekroczenie własnych dwudziestowiecznych horyzontów.

Armada pomaga w tym w sposób, który z początku lechce nasze ego i pozwala rozsiąść się w naszej strefie komfortu. O tak, w rzeczy samej, pełna zgoda! – nieraz wykrzyknie czytelnik, podążając za autorem. Tyle że ten po chwili dokonuje wolty, wywracającej do góry nogami zdroworoządkowe, wydawałoby się, myślenie. Jak wtedy, gdy pyta, czy zmieniające się przez lata – a w domyśle lepsze – metody, treści nauczania, standardy szkolne doprowadziły do wychowania geniuszy pokroju Einsteina? Ta przewrotna zabawa siłą rzeczy zmusza – przy czym nie ma mowy o żadnej opresyjności – do zastanowienia, namysłu, koncentracji właśnie. Szkoła to tylko jeden z elementów życia, ale ono całe wymaga refleksji.

Za przewodnika autor wybrał Paula Elmera More'a, co może zaskakiwać, zważywszy na niechęć żywną do niego (z wzajemnością) przez świat akademicki, ale i intrygującą podejściem na przekór nowoczesnej humanistyce. „Uczyl myślenia” – pisze o nim Armada i sięga m.in. po Platona, Arystotelesa, Sokratesa, Klemensa Aleksandryjskiego, Juliana Pomeriusza, Grzegorza Wielkiego z nadzieją nie tyle na odkrycie sensu naszego żywota, co świadome nim kierowanie. W tym sensie to książka także dla „ścisłowców”. Stworzone właśnie przez nich cuda techniki, odczłowieczone, a zarazem – przez zadziwiająco łatwość odpowiadania na nasze potrzeby – tak bliskie, u niejednego wywołują obawę, a u miłośników studyjnych kin wręcz chęć ucieczki do Wielkiej Kartuzi.

Mariusz Karwowski

Paweł ARMADA, *Mistrzowie koncentracji. Aktualne nauki dla przyszłych humanistów*, t. I–II, Wydawnictwo Animi2, Bielsko-Biała 2022.

Letni dom na wyspie



Książka Joanny Dembińskiej-Pawelec prezentuje Stanisława Barańczaka jednocześnie zwięźle i wielostronnie: jako poetę, tłumacza, myśliciela, przyjaciela, człowieka. Autorka umie też – co do dziś jest rzadkością w pracach literaturoznawczych – uniknąć prezentowania autora, jego życia i dzieła, jako czegoś skończonego, domkniętego, uporządkowanego. W omawianym tomie szkiców wciąż pojawiają się dwa napięcia: pierwsze między dyskrecją w mówieniu o sobie a ujawnianiem intymnych treści w poezji, drugie między zado-

wonieniem w języku ojczystym, mistrzostwem w sztuce przekładu a świadomością skazania na obcość nawet w kraju, którego językiem włada się perfekcyjnie i w którym jest się cenionym i zakorzenionym.

Na przykładzie *Płynąc na Sutton Island*, wiersza z tomu *Chirurgiczna precyzja*, autorka wskazuje, że twórczość Barańczaka cechuje jednocześnie przemyślana prostota i wielowarstwowość i uwidacznia łączenie przez poetę dyskrecji i otwartości. Twórca mówi o pragnieniu, ale i subiektywnej możliwości powrotu w towarzystwie ukochanej osoby do minionego czasu podczas wizyty w tym samym miejscu i podobnych okolicznościach, gdy „wtedy” i „teraz” przeplatają się, a jego interpretatorka umie to opisać, nie popadając w banał. Zwraca jednak także uwagę na to, jak Barańczak balansuje między perspektywami optymizmu i sceptycyzmu, jak raz odczarowuje świat, a innym razem nadaje mu sens. „Jeśli nie widzisz nigdzie sensu, twórz go sam. [...] Kształtuj może jakiś niejasny, ale dostępny komuś drugiemu sens” – powiedział Barańczak w wywiadzie dla miesięcznika „W Drodze” w 1995 roku. Śląska literaturoznawczyni podkreśla, że poeta raczej starał się podpowiadać sens niż narzucać odbiorcy własną siatkę pojęć i znaczeń, niejako „nawracać” na swój sens.

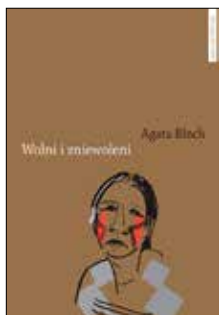
Dembińska-Pawelec pokazuje to na przykładzie mniej znanych przekładów Barańczaka; tłumaczył on nie tylko z angielskiego, lecz także z hiszpańskiego, i to poematy mistyczne Jana od Krzyża. To teologia mocno katefatyczna, tj. oparta na założeniu, że człowiek jest w stanie pozytywnie wypowiadać się o tym, jaki Bóg jest i jak ewentualnie można się do niego zbliżyć. Teologia katefatyczna jest przeciwieństwem teologii apofatycznej – zakładającej niepoznawalność Boga i w naturalny sposób znacznie częściej spotykanej w niekonfesyjnej liryce religijnej. Bóg jest, rzecz jasna, w oczach hiszpańskiego mistyka nie tyle nawet dawcą sensu, co Sensem samym w sobie. Przekład Barańczaka wydobywa jednak z tych poematów ich aspekt nie tylko paradoksu (obraz światła wydobywającego się z najgłębszego mroku), ale też pewnej nieuchwytności Boga jako Sensu. Mistyk porusza się wertykalnie, aby poznać Boga, ale bardziej jest w stanie wyrazić samo dążenie niż jego rezultat, dzięki temu metafora nie ulega udosłownieniu i nie okazuje się, że Bóg mieszka w Niebie utożsamianym z niebem nad głowami. Spojrzenie Barańczaka ukształtowało tłumaczenie – częściowo jeszcze w Polsce – angielskich poetów metafizycznych XVII stulecia. Autorka zwraca uwagę na kluczowe u niego rozróżnienie na poznanie mistyczne i metafizyczne. W uproszczeniu: mistyk odrywa się od doczesności, aby zjednoczyć się z Bogiem, zaś metafizyk przygląda się doczesnemu światu i w nim dostrzega albo ślady Bożej obecności, albo metafory, za pomocą których może mówić o Bogu i doświadczeniach z nim związanych (z naciskiem na te drugie).

Sutton Island z tytułu przywołanego wiersza to wyspa u wybrzeża stanu Maine, na której znajdują się dwa letnie domy, do 2007 roku należące do Uniwersytetu Harvarda. Stanisław Barańczak i jego żona Anna regularnie spędzali tam część wakacji, dopóki stan zdrowia poety na to pozwalał. Miejsce to wydaje mi się dobrą metaforą obrazu samego siebie w twórczości Barańczaka: chce się tam wracać, a jednocześnie to dom nie nasz i nie na cały rok – jak obcy język i obcy kraj.

Marek Misiak

Joanna DEMBIŃSKA-PAWELEC, *Sens życia, sens wiersza. Szkice o twórczości Stanisława Barańczaka*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

Z wyciszonych głosów uczynić orkiestrę



Zamorskie wyprawy, których skutkiem było odkrywanie, a zaraz potem kolonizowanie nowych lądów, zapisały się na wielu kartach światowej historii. Wielkie ekspedycje przynosiły sławę i wieczną chwałę eksploratorom, a ich zwierzchnikom dawały wymierne korzyści. Pozostawiały jednak gorzki posmak porażki u tych, na których nakładano jarzmo poddaństwa. Podbijający, którzy już w momencie postawienia stopy na nieznaną ziemię uznawali się za jej prawowitych właścicieli, szybko pozbawiali

głosu ludzi od lat żyjących na anektowanych terenach, których egzystencja, bez udziału ich woli, w jednym momencie stawała się zależna od konkwistadorów. Wydobycie głosów pomijanych grup społecznych zamieszkujących peryferia kolonialnego imperium portugalskiego, które stanowią obecnie obszary Brazylii, Angoli, Gwinei-Bissau, Wysp Zielonego Przylądka i Wysp Świętego Tomasza, postanowiła Agata Błoch. Jej książka *Wolni i zniewoleni* jest udaną próbą rekonstrukcji procesu walki o swoje prawa, jaki przechodzą ludzie, których status zmienia się diametralnie w wyniku zaistnienia niezależnych od nich okoliczności.

Autorka pokazuje, że następujące w wyniku inkorporacji włączenie do grupy Podporządkowanych Innymi determinowało jednostki do podejmowania szeregu różnorodnych działań, od pokojowych począwszy, na buntowniczych skończywszy. W opisywanych zbiorowościach – które, jak wynika z przeprowadzonych badań, nie były tworem homogenicznym, ale stanowiły zróżnicowaną strukturę, w skład której wchodziły zarówno mniejszości religijne uciekające przed przesładowaniem spotykającymi je w Portugalii, jak i mniejszości etniczne, ludy autochtoniczne Brazylii, a także nieszczęśliwi i wyrzuceni poza nawias oraz skazani na ostracyzm – istniały grupy, których głos był dobrze słyszalny wśród lisbońskiej administracji. To właśnie petycje wysyłane przez przedstawicieli tych środowisk stanowią główny przedmiot zainteresowań autorki. Dokumenty owe, charakteryzujące się tym, iż zostały spisane z własnej i nieprzymuszonej woli jednostek, a ich zawartość merytoryczna koncentrowała się wokół wielu spraw z bardzo różnych obszarów, w tym obejmujących zagadnienia związane m.in. z wolnością osobistą, królewską protekcją, sporami o ziemię czy zniewoleniem wbrew prawu, dowodzą faktu, iż na terenach XVIII-wiecznego imperium portugalskiego funkcjonowały osoby, które mimo niekorzystnego położenia potrafiły w aktywny i świadomy sposób zabiegać o poprawę przyszłego losu.

Dokonana przez autorkę rekonstrukcja minionego świata z małych fragmentów osobistych historii, w tym przypadku pisemnych petycji, jest przykładem podejścia egodokumentalnego, którego istota polega na „poszukiwaniu podmiotowości i osobowości autora tekstu oraz wszelkich jego subiektywnych ocen”. Zastosowanie tej metody pomaga uchronić jednostki wykluczane przed niebezpieczeństwem zostania ofiarami przemocy epistemicznej, przejawiającej się przez „marginalizowanie w dyskursie zachodnich intelektualistów punktu widzenia peryferyjnych społeczeństw, które były postrzegane jako gorsze w stosunku do europejskiej cywilizacji”.

Wydobywając na światło dzienne zachowane w wielu archiwach świadectwa ludzi uwikłanych w narzuconą im kolonialną rzeczywistość, Agata Błoch przywraca pamięć o pojedynczych jednostkach walczących o należne im prawa. Rozpisana na indywidualne głosy dysertacja pozwala zbliżyć się do grona tych, którzy mimo zmuszania do uległości znaleźli w sobie dość siły, by stawić czoło spotykającej ich niesprawiedliwości. Ich głosy stają się od teraz dobrze słyszalne dzięki autorce, która podjęła się ambitnego zadania przypomnienia przeszłości.

Aneta Zawadzka

Agata BŁOCH, *Wolni i zniewoleni. Głosy grup podporządkowanych w historii imperium portugalskiego*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2022, seria: Monografie FNP.

Akademicka walka ze smokami



O bezsensach związanych z awansami akademickimi napisano już bardzo dużo, ale chyba jeszcze nigdy nie włożono ich w ramy powieści fantasy, i to z takim humorem.

Akcję książki autor umieścił w trzynastym wieku, a główni bohaterowie mieli przywoływać na myśl wielkiego wojownika i jego giermka walczących z olbrzymami, smokami, zbójnikami i innymi postaciami z baśni i legend. Ale jak to w parodiach bywa, postaciom z książki daleko do odważnych wojów. Cilgeran jest doktorantem Uniwersytetu Wielkoboehaterskiego imienia Kelta Niezwycięzonego. Ma stereotypowy wygląd pracownika naukowego: „niesamowicie szczupły, wręcz wychudzony”, w drucianych okularach, na których utrzymywał się za duży hełm „z wielkimi rogami biesa”. Píše pracę z teorii wojowania o temacie: *Od „Arghhh!” do „Posmakuj tego, draniu!”*. *Semantyka okrzyków bitewnych na przykładzie współczesnych walk*.

Jego pomocnik to niziołek Rotry Pragmaticbuck, student, który żeby zaliczyć ćwiczenia, musi odrobić nieobecności na dyżurach. A ponieważ Cilgeran został delegowany na misje (bo na uniwersytecie jest sezon urlopowy i nie było nikogo innego), towarzyszenie mu na wyprawie to jedyny sposób szybkiego zaliczenia zajęć, tak by we wrześniu obronił licencjat.

Bohaterowie mają do wykonania kilka misji i chociaż zupełnie się do nich nie nadają, jakimś cudem za każdym razem udaje im się wyjść z opresji. Na swej drodze spotykają m.in. olbrzyma z baśni o zaczarowanej fasoli (tu olbrzym jest wegetarianinem, który potrzebuje magicznej księgi z przepisami, by przyrządzić pyszne danie dla swojej wrednej żony), czterdziestu – nie, nie rozbójników – plagiatorów oraz dżina z butelki, który co raz podaje nowe wyjątki do listy życzeń, które może spełnić (niestety, nie załatwi wtyków w redakcjach czasopism punktowanych). Dżin tak długo siedział w butelce, że w końcu zajął się pracą zdalną i zaczął oferować marzenia na dowóz. Co ciekawe, na początku każdego rozdziału jest kilka cytatów z różnych baśni czy książek, m.in. Tolkiena, Sapkowskiego, Poeo, Leśmiana.

Równie ciekawie przedstawiają się aluzje do realiów akademickich. Według nowego rozporządzenia Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego Sztuk Wojowniczych i Czarodziejskich każdy naukowiec jest zobowiązany złożyć wniosek grandowy, by utrzymać posiad. Nieważne jaki, ważne, by wniosek został złożony. Jeden z sędziwych czarodziejów, który już odkrył wszystko, co było do odkrycia, składa więc absurdalny wniosek dotyczący poszukiwania ostatniego smoka, chociaż każdy – oprócz ludzi w Ministerstwie – wie, że smoki wyginęły. Ale wniosek przechodzi, a do zadania zostaje wyznaczony Cilgeran. Szukając ostatniego smoka, zapisuje się on na turniej rycerski, w którym można wygrać worek złota, pół królestwa w skali 1 do 10 000 (sponsorem makiety jest firma modelarska Palladinum) i odlew dłoni królowej Giaury. Ale to nie tam „dzielny” doktorant i jego giermek-student realizują cele grandowe – recenzenci zmęczeni podróżą piszą w opiniach o „nietyposym sposobie dochodzenia do wniosków” oraz „wielointerpretacyjności pozornie wyczerpująco opisanych faktów” – i grand się dokonuje.

Książkę ubarwiają takie opisy jak: „gdy rozstała się ziemia i buchnęły z niej płomienie, byłem przekonany, że rozpoczyna się niezapowiedziana wizyta Państwowej Komisji Akredytacyjnej”, „Coście za jedni?! Szpiedzy? Złodzieje? Komisja do spraw tytułów naukowych?!”. Albo: „Profesor przez setki lat okupywał miejsce na katedrze, tym samym blokując potencjalny etat młodszemu kolegom. Jego doktoranci z czasem wyćwiczyli się w skrytobójczych próbach pozbycia się promotora”.

Powieść Kucharczyka to niezła rozrywka, chociaż nie jestem pewna, czy rzeczywiście powinniśmy się śmiać. Cóż, nic innego nie zostaje, bo absurdu rzeczywistości uczelnianej raczej nie znikną.

Justyna Jakubczyk

Łukasz KUCHARCZYK, *Granty i smoki*, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2022.

Archeologia opowiedziana ciekawie



Badania archeologiczne to żmudna i dla postronnych raczej nudnawa praca. Nie ma nic wspólnego z romantyczno-filmową wizją walk z gangami rabusiów lub tajemnymi siłami. Wiąże się z przesiadywaniem w bibliotekach, prace terenowe też wymagają precyzji i cierpliwości, a po zakończeniu wyniki ogłaszane są w rozległych, wielostronicowych tekstach, które dla zwykłego zjadacza chleba są lekturą nie do przebrnięcia. Dlatego też – co może dziwić – archeologia w sposób szczególnie potrzebuje

popularyzatorów, którzy będą potrafili opisać wyniki pracy w książkach i artykułach. Dzięki nim odkrycia akademików stają się wspaniałą opowieścią, pobudzając czytelników do niecierpliwego oczekiwania na nowe ustalenia.

Obecnie jest to tym bardziej niezbędne, ponieważ metody badawcze archeologii uległy dalekosiężnym przemianom. Stała się ona wiedzą interdyscyplinarną, sięgającą do nauk biologicznych i chemicznych z jednej, a do antropologii z drugiej strony. Zaś rozwój technologii pozwalających na bezinwazyjne badanie tego, co się znajduje pod ziemią (i pod morskim dnem), przyniósł możliwość odkrywania kolejnych znalezisk.

Dzięki tym możliwościom polscy archeolodzy dokonali szeregu ustaleń, które mogą zmienić naszą wizję pradziejów ziem nad Wisłą i Wartą. Należy dodać, że nie tylko pradziejów, wszak badacze rozwikłują też zagadnienia z czasów o wiele późniejszych. Jeżeli jeszcze dołożymy do tego obrazu imponujące w swym zakresie badania podejmowane w ostatnich latach, a związane z budową dróg, mostów i autostrad, to nie powinniśmy się dziwić, że na opisanie czeka przebogata skarbnica wiedzy, która będzie potrafiła nas zadziwić i zaciekawić.

A w Polsce mamy autorkę, która to przewybornie. Jest nią Agnieszka Krzemińska, redaktorka naukowa tygodnika „Polityka”. Jej niedawno wydana książka *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*, jest połączeniem znajomości tematu (co nie powinno dziwić, zważywszy, że jest z wykształcenia archeologiem) oraz umiejętności opowiadania najbardziej hermetycznych zagadnień „kuchni badawczej” w sposób przystępny i zajmujący. Mówiąc krótko: mamy do czynienia z popularyzacją najwyższej próby.

Trzyście opowieści, które składają się na omawianą książkę, układa się w dwie ściśle powiązane ze sobą historie. Pierwszą jest opowieść o dziejach Polski od najwcześniejszego osadnictwa po czasy nowożytne. Dodajmy, że historii, która dzięki najnowszym odkryciom jest nie tyle odmienna, co o wiele bardziej rozbudowana od tej, którą zaliśmy z podręczników. Drugą jest gawęda o samej archeologii, jej rozwoju oraz metodach badawczych. A w ostatnim rozdziale autorka ukazuje możliwe kierunki dalszego rozwoju tej dziedziny. Zatem możemy śmiało twierdzić, że spełnia ona marzenie każdego specjalisty od marketingu – to jest prawdziwe „dwa w jednym”.

A oprócz tych popularnych wykładów książka zawiera przykłady ciekawych prac archeologicznych. Jak się okazuje, potwierdzenie tożsamości zwłok Kopernika nie jest bynajmniej proste. Dowiadujemy się także, że ustalenie linii genetycznej rodu Piastów jest niemożliwe, ponieważ nie umiemy potwierdzić ponad wszelką wątpliwość, które grobowce przechowują ciała tych dynastów. Okazuje się także, że skład etniczny plemion Gotów i Wandalów nie był ani prosty, ani oczywisty.

Dowiadujemy się także, jakie wnioski można wyciągnąć z odkrycia cmentarzyska w Bodzi. Jest to zagadnienie o tyle interesujące, że wpisuje się w stary spór, dotyczący tego, jaki wpływ mieli Wikingowie na powstanie państwa polskiego. Takich mniej lub bardziej szczegółowych opowieści czytelnik otrzymuje o wiele więcej. Książkę można zatem traktować także jako wzorowy przykład popularyzacji nauki w ogóle. I jest to jeszcze jedna, naprawdę niebagatelna zaleta tej publikacji.

Juliusz Gałkowski

Agnieszka KRZEMIŃSKA, *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022.

Osobne warianty „lubuskości”



Mirosława Szott książką *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki* weszła w nurt refleksji literaturoznawczej, dla której to, co regionalne, nie jest obciążeniem, lecz wyzwaniem. Strategia badawcza przyjęta przez zielonogórską literaturoznawczynię, wyznaczona przez poszukiwanie nowego regionalizmu, odbiega od centralistycznego pojmowania historii literatury. Szott idzie śladem swej mentorki, znanej z wielu metodologicznych opracowań noworegionalnych, Małgorzaty Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Książka zakomponowana jest koncentrycznie, a nade wszystko przejrzysto i zgodnie z przyjętymi założeniami. Autorka, dążąc do zwięzłości, konsekwentnie unika erudycyjnego gadulstwa. Nie hierarchizuje arbitralnie poetów Ziemi Lubuskiej. Szanuje osobność światów, języków, doświadczeń. O randzie wierszy decyduje ich semantyczny potencjał, a także zakodowane w ich artystycznym języku idee, horyzonty, asocjacje, możliwości konceptualizowania. Autorka obrała cel, którym „nie jest odkrywanie praw, ale szukanie znaczeń”; dzięki nim odkrywa poprzez poezję „obraz lubuskiego miejsca”. Sprawnie posługuje się geopoetyką jako kategorią operacyjną.

W opracowaniu Szott występuje zazwyczaj zawaolowany swego rodzaju kompleks obecny w reprezentowanym przez nią środowisku (jest także lubuską poetką). Wyrażany jest żal, że „Ziemia Lubuska” jest nazwą geograficzną utworzoną sztucznie w 1945 roku. Przez to region miał się stać obszarem bez właściwości, krainą bez tożsamości, bez złóż i znaków, które pozwalają identyfikować się z nią. W narracji Szott ów kompleks się przełamuje.

W szkicach poznajemy piętnaście światów poetyckich, które poprzedza omówienie kształtowania się powojennego lubuskiego środowiska literackiego. W rozdziale o twórczości słynnej Papuszy (Bronisławy Wajs) refleksję wspomaga etnopoetyka. W portrecie Ireny Dowgielewicz przydało się pojęcie „topografii przemilczanej”. Teksty Janusza Werstlera wskazują na adaptowanie w krajobrazie lubuskim przywiezionej kresowości. Andrzeja Krzysztofa Waskiewicza określa mianem „metafizyka ruin”. Przywołana czwórka wykreowała „miejsca wspomniane i adaptowane”.

W przedstawianiu „miejsc prywatnych” Czesław Sobkowiak jawi się jako poetycki fenomenolog. Liryka Mieczysława Warszawskiego to zapis „praktyk przestrzennych” zbliżonych do uprawianych przez Kennetha White’a (co zrozumiałe, nie było się tu bez zastrzeżeń). Uprywatnienie lubuskich miejsc Wojciecha Śmigiełskiego jest ujęte w pojemną i wewnętrznie paradoksalną formułę „geografii otwartej”. Prywatny wymiar „lubuskości” Jolanty Pytel jest opisywany jako kreacja motywowana biograficznie i oparta na toposie „domu”. Zaś *Ogród sztuk* Eugeniusza Kurzawy manifestuje dobrowolną i pożądaną przez poetę przemysłną izolację od rzeczywistości nie tylko bliższej, ale i dalszej.

Jak wynika z wywodu autorki, komplikowanie się twórczych związków z Ziemią Lubuską następuje u poetów i poetek już na niej urodzonych. Bez kompleksów, występujących u twórców-przybyszów, traktują oni uobecnioną w przestrzeni niemiecką historię regionu. Marek Lobo Wojciechowski świadczy swej okolicy jako „polsko-niemieckiemu pograniczu”. W wierszach Joanny Ziemińskiej-Kurek Lubuskie jest odkrywane przez medium fotografii oraz miejscowych rzeczy. Charakteryzując poetycki świat Krzysztofa Fedorowicza, Szott wyodrębnia w nim specyficznym rozumiane „figury transgraniczności”, które „znoszą podział na polsko-niemieckie terytoria”. Metaforyczny „orzeczowy” koncept określa problematykę poezji Agnieszki Leśniewskiej. Małomiejskość i zaangażowanie społeczne cechują wiersze Małgorzaty Stachowiak, która wykreowała w nich poetycko-socjologiczny obraz prowincji lubuskiej. Projekcje nie-miejsca, anomia, niezakorzenie się są śledzone w utworach Karola Graczyka.

Ma więc rację autorka, stwierdzając, że poezja lubuska nie jest emanacją regionalnej wspólnoty. W wierszach poetów z Ziemi Lubuskiej istnieją osobne warianty „lubuskości”.

Zbigniew Chojnowski

Mirosława SZOTT, *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2021.



Leszek Szaruga

Europa Środkowo-Wschodnia

Fot. Stefan Cichan

Wciąż w różnych materiałach prasowych, także w publikacjach na Zachodzie, analizujących sytuację powstałą na Ukrainie, powracają pojęcia Europa Wschodnia bądź Europa Środkowo-Wschodnia, co zresztą dla większości zachodnich czytelników oznacza tyle, co określenie „gdzieś tam na wschodnich rubieżach kontynentu”. To zresztą zrozumiałe – dla obserwatorów życia politycznego w Iowa City, w USA, czy w Jekaterynburgu, w Federacji Rosyjskiej, bądź w Wellington, w Nowej Zelandii, cały kontynent europejski wydaje się odległym i w gruncie rzeczy nieco bardziej niż Indie rozległym półwyspem Azji. Dla zachodnich Europejczyków natomiast jest to jakaś „za lasami” (Transylwania) położona i zapyziała prowincja. Ci bardziej od większości zorientowani w geografii i historii kontynentu potrafią od biedy wyodrębnić w tym obszarze Bałkany, Europę Środkową oraz – tu już zresztą sprawa się komplikuje – kraje bałtyckie: pisząca o nich świetne reportaże Maria Dąbrowska miała na myśli Estonię, Łotwę i Finlandię, podczas gdy większość z nas o Finlandii tu nie wspomina, ale zalicza do tego grona Litwę.

Samo pojęcie Europy Środkowej czy Europy Środkowo-Wschodniej jest od dawna przedmiotem dyskusji, poczynając od koncepcji Mitteleuropy Naumanna z roku 1915, przez znany esej Kundery *Zachód porwany albo Tragedia Europy Środkowej* z początku lat 80., aż po współcześnie rozwijane projekty wyodrębniające Europę Środkowo-Wschodnią. Kundera opisywaną przez siebie przestrzeń ograniczył w gruncie rzeczy do Czechosłowacji, Węgier, Polski i Austrii, nie wspomniał przy tym ani o Białorusi, ani o Ukrainie, ale też był to okres, w którym te dwa kraje „przypisano” Rosji i mało kto się ich losem przejmował. Dziś w wymiarze politycznym redukuje się ten koncept do V4, czyli Grupy Wyszehradzkiej, redukującej obszar działania do Polski, Węgier, Słowacji oraz Czech, a zatem do swoistego makroregionu w ramach Unii Europejskiej. W moim pojmowaniu całego obszaru obejmuje on zarówno Grupę Wyszehradzką, jak Ukrainę, Białoruś i Litwę.

Bez wątpienia tym, co łączy kraje Europy Środkowo-Wschodniej, jest wspólnota doświadczeń historycznych: wszystkie mają tylko epizodyczne zaszłości w formacyjnym dla Zachodu ruchu wypraw krzyżowych i tworzeniu zakonów rycerskich, słabą recepcję zarówno przełomu protestanckiego, jak oświecenia, żadne z nich nie miało kolonii zamorskich, wreszcie wszystkie były pozbawione bytu politycznego w XIX stuleciu, gdy kształtowały się państwa narodowe, a w dużej mie-

rze także w XX wieku, gdy po II wojnie poddane zostały dominacji Sowietów. W odróżnieniu od Zachodu doświadczyły też obu totalitaryzmów – nazistowskiego i bolszewickiego. I właśnie te doświadczenia kształtują ich poczucie tożsamości, które ma dwa punkty odniesienia: z jednej strony Zachód, z drugiej zagrożenie ze wschodu, przy czym, jeśli wobec Zachodu odczuwają coś w rodzaju kompleksu niższości, to wobec wschodu z chęcią demonstrują poczucie wyższości.

Czy to w pełni określa tożsamość całego regionu? I czy w ogóle można mówić o wspólnej tożsamości tak zróżnicowanych społeczeństw? Cóż, jeżeli w dyskusji dotyczącej UE podnosi się wagę tożsamości narodowej i podkreśla, że nie może istnieć tożsamość europejska, wówczas i mówienie o tożsamości Europy Środkowo-Wschodniej zdaje się podejrzane. A jednak takie stanowisko wydaje mi się wątpliwe. Rzecz w tym, że owa tożsamość kształtowana jest przez co najmniej trzy czynniki. Pierwszym jest poczucie więzi łączących dany region i jego społeczność, drugim określenie się jej wobec innych, trzecim wreszcie postrzeganie tej zbiorowości z zewnątrz.

Jeśli ograniczyć się do najbliższego sąsiedztwa, a zatem do Europy, ważne wydają się dwa punkty odniesienia. Pierwszym jest postrzeganie naszego makroregionu przez Wschód, czyli przede wszystkim przez Rosję. Z jej perspektywy cały ten obszar oraz właściwie cała Europa Środkowo-Wschodnia, kraje bałtyckie i Europa Południowa wraz z Grecją to „bliska zagranica”, która siłą rzeczy winna być poddana dominacji Kremla. Nieco inaczej rzecz wygląda z punktu widzenia Zachodu, który, delikatnie rzecz ujmując, ma do tych terenów i ich społeczności stosunek paternalistyczny, w pewnej tylko mierze niuansowany przez poczucie winy związane z oddaniem ich po 1945 pod panowanie Sowietów. Być może najpełniej stosunek do tej części Europy wyraził Jean-Marie Domenach w szkicu *Europa: wyzwanie dla kultury*, w którym, nawiązując do przemian po roku 1989, pisze, że Rosja winna próbować „korzystając z odprężenia, odbudować swą siłę, powierzając kraje satelickie troskliwej opiece Zachodu”. Jak wynika z tych słów, również część elit zachodnich nie jest skłonna poważnie traktować dążenia krajów Europy Środkowo-Wschodniej do pozyskania politycznej podmiotowości. I być może tocząca się obecnie wojna rosyjsko-ukraińska doprowadzi wreszcie do przyspieszonej rewizji tego stanowiska, choć trzeba zauważyć, że nie wszystkie polityczne działania w tym obszarze – jak choćby postawa Węgier – zdają się temu sprzyjać.



AKADEMICKIE MISTRZOSTWA POLSKI

Fot. IMAGE W. Rożnowska, A. Modliński, M. Szypliński (NTN Snow & More), Okapi Studio Live, P. Jaskółka, G. Jędrzejewski, R. Oleksiewicz, M. Selerski, B. Wójtowicz





25 lat Uniwersytetu w Białymstoku

Fotografie: UwB

